

BLAKE CROUCH

WAYWARD PINES

KRZYK



BLAKE CROUCH

WAYWARD PINES **KRZYK**

TŁUMACZENIE
PAWEŁ LIPSZYC


OTWARTE
KRAKÓW 2015

O OSTATNIM MIEŚCIE

Witajcie w Wayward Pines, ostatnim mieście.

Agent służb specjalnych Ethan Burke przybył do Wayward Pines w stanie Idaho trzy tygodnie temu. W tym mieście ludziom mówi się, kogo mają poślubić, gdzie mieszkać, gdzie pracować. Dzieci uczą się, że twórca miasta David Pilcher jest bogiem. Nikomu nie wolno opuścić tego miejsca, a zadawanie pytań można przypłacić życiem.

Ethan odkrył jednak zdumiewającą tajemnicę o tym, co znajduje się za podłączonym do prądu ogrodzeniem, które otacza Wayward Pines i chroni je przed przerażającym światem. Z powodu tej tajemnicy wszyscy mieszkańcy są we władzy szaleńca i armii jego zwolenników. Teraz groza ma sforsować ogrodzenie i zmieść z powierzchni ziemi kruchą resztkę ludzkości.

I z wichru Pan odpowiedział
Hiobowi tymi słowami:
„Któż tu zaciemnić chce zamiar
słowami nierozumnymi?
Przepasz no biodra jak mocarz!
Będę cię pytał – pouczysz Mnie.
Gdzieś był, gdy zakładałem ziemię?
Powiedz, jeżeli znasz mądrość.
Kto wybadał jej przestworza?
Wiesz, kto ją sznurem wymierzył?
Na czym się słupy wspierają?
Kto założył jej kamień węgielny
ku uciesze porannych gwiazd,
ku radości wszystkich synów Bożych? [...]”

Biblia Tysiąclecia, Księga Hioba, 38,1–7

JESTEŚMY OSTATNIMI PRZEDSTAWICIELAMI NASZEGO GATUNKU, KOLONIĄ LUDZI
Z POCZĄTKU XXI WIEKU. MIESZKAMY W GÓRACH DAWNEGO STANU IDAHO, W MIEŚCIE
O NAZWIE WAYWARD PINES. NASZE WSPÓLRZĘDNE GEOGRAFICZNE TO 44 STOPNIE, 13
MINUT SZEROKOŚCI PÓŁNOCNEJ I 114 STOPNI, 56 MINUT, 16 SEKUND DŁUGOŚCI
ZACHODNIEJ.
JEST TAM KTO?

Fragment głosowego i nadawanego alfabetem Morse'a komunikatu radiowego, który od jedenastu
lat jest w kółko wysyłany z superstruktury Wayward Pines na wszystkich częstotliwościach fal
krótkich.

PRELUDIUM

DAVID PILCHER

Superstruktura

Wayward Pines

Czternaście lat wcześniej

Otwiera oczy.

Skostniały z zimna.

Drży.

Pulsujący ból głowy.

Nad nim stoi ktoś w masce chirurgicznej, twarz jest nieostra.

Nie wie, gdzie się znajduje, nie wie nawet, kim jest.

Wyraźnie rysująca się maska zbliża się do jego ust.

Głos – kobiecy głos – mówi nagłaco:

– Weź długi, głęboki wdech i nie przestawaj oddychać.

Gaz, który wdycha, jest ciepłym tlenem o dużym stężeniu. Tlen spływa tchawicą i eksploduje w płucach upragnionym ciepłem. Pochylona kobieta ma usta zasłonięte maską, ale on widzi w jej oczach, że się do niego uśmiecha.

– Lepiej? – pyta.

On potakuje. Twarz kobiety nabiera ostrości. Jej głos... Jest w nim coś znajomego. Może nie w samym brzmieniu, ale w uczuciach, jakie w nim budzi. Opiekuńczy. Niemal matczyny.

– Boli cię głowa? – pyta kobieta.

Potakuje.

– Ból wkrótce ustąpi. Wiem, że czujesz się zdezorientowany.

Skinienie głową.

– To całkowicie normalne. Wiesz, gdzie się znajdujesz?

Potrząsa głową.

– Wiesz, kim jesteś?

Potrząsa głową.

– To też nie jest powód do obaw. Krew krąży w twoich żyłach dopiero od trzydziestu pięciu minut.

Człowiek zazwyczaj orientuje się w sytuacji dopiero po paru godzinach.

Patrzy na światła nad głową: długie jarzeniówki, o wiele za jasne.

Otwiera usta.

– Nie próbuj jeszcze mówić. Mam ci wyjaśnić, co się dzieje?

Skinienie głową.

– Nazywasz się David Pilcher.

Wydaje mu się, że ta informacja brzmi właściwie. Na poziomie, którego nie potrafi w pełni uchwycić, czuje, że to jego nazwisko, a przynajmniej, że jest to gwiazda należąca do jego nieba.

– Nie jesteś w szpitalu. Nie przeżyłeś wypadku samochodowego ani zawału. Nic podobnego.

Chce powiedzieć, że nie może się ruszać. Że jest mu śmiertelnie zimno i czuje lęk.

Kobieta w masce mówi dalej:

– Właśnie wyprowadziliśmy cię ze stanu zawieszenia funkcji życiowych. Wszystkie twoje narządy funkcjonują bez zarzutu. Spałeś tysiąc osiemset lat w jednym z tysiąca modułów zawieszających, które sam stworzyłeś. Wszyscy jesteśmy niezmiernie podnieceni. Twój eksperyment się powiódł. Dziewięćdziesiąt siedem procent ekipy przeżyło stan zawieszenia. To o kilka punktów procentowych więcej, niż zakładałeś. Gratuluję.

Pilcher leży na łóżku na kółkach i mruży oczy w ostrym świetle.

Monitor pracy serca, do którego jest podłączony, zaczyna szybciej pikać, ale przyczyną nie jest lęk ani stres.

Przyczyną jest uniesienie.

W ciągu pięciu sekund wszystko do niego wraca.

Przypomina sobie, kim jest.

Gdzie się znajduje.

Dlaczego istnieje.

Niczym kamera sunąca po twarzach.

Pilcher podnosi rękę – ciężką jak kawał granitu – po czym ściąga z ust maskę. Podnosi wzrok na pielęgniarkę. Po raz pierwszy od blisko dwóch tysiącleci odzywa się, ochryple, ale wyraźnie:

– Czy ktoś wyszedł na zewnątrz?

Kobieta zdejmuje maskę. To Pam. Ma dwadzieścia lat i po długim, jakże długim śnie przypomina zjawę.

Mimo to jest bardzo piękna.

Pam się uśmiecha.

– Wiesz, że bym na to nie pozwoliła, Davidzie. Czekaliśmy na ciebie.

** * **

Sześć godzin później Pilcher idzie chwiejnym krokiem przez korytarz na Poziomie 1. Asystują mu Ted Upshaw, Pam, Arnold Pope oraz niejaki Francis Leven. Ten ostatni nosi oficjalnie tytuł stewarda superstruktury i mówi z szybkością karabinu maszynowego.

– ... siedemset osiemdziesiąt trzy lata temu mieliśmy uszkodzenie kadłuba arki, ale czujniki próżniowe to wychwyciły.

– Czyli nasze zapasy... – mówi Pilcher.

– Przeprowadzam cały szereg testów, ale wygląda na to, że wszystko przetrwało w nienaruszonym stanie.

– Ile osób z załogi obudzono?

– Tylko osiem, włącznie z nami.

Dotarli do automatycznych szklanych drzwi, prowadzących do jaskini o powierzchni ponad pięciu tysięcy hektarów, pełniącej funkcję magazynu na zapasy i materiały budowlane. Jaskinia, czule zwana arką, jest jednym ze szczytowych osiągnięć ludzkiej ambicji i talentu inżynieryjnego.

W powietrzu unosi się wilgotny, mineralny zapach.

Z sufitu zwieszają się ogromne kuliste lampy, które ciągną się jak okiem sięgnąć w głąb jaskini.

Podchodzą do humvee'a zaparkowanego przed wlotem do tunelu, Pilcherowi już brakuje tchu, w nogach czuje zbliżające się skurcze.

Pope prowadzi.

Oświetlenie jarzeniowe tunelu jeszcze nie funkcjonuje, więc humvee toczy się w dół pod kątem piętnastu stopni w deprymującą ciemność, rozjaśnianą tylko przednimi światłami, odbijającymi się od wilgotnych skał.

Pilcher siedzi z przodu, obok swojego człowieka od mokrej roboty.

Wciąż czuje się zdezorientowany, ale stopniowo wraca do siebie.

Jego ludzie powiedzieli mu, że stan zawieszenia trwał tysiąc osiemset lat, ale z każdym wdechem wydaje mu się to coraz mniej możliwe. Pilcher ma wrażenie, że zaledwie kilka godzin minęło od zabawy sylwestrowej w 2013 roku, kiedy on i cała załoga spełnili toast szampanem Dom Pérignon, rozebrali się do naga, po czym weszli do modułów zawieszających.

W miarę jak zjeżdżają w dół, czuje w uszach ucisk wywołany różnicą ciśnień.

W brzuchu narasta nerwowe łaskotanie.

Pilcher zerka przez ramię na siedzącego z tyłu Levena, szczupłego młodego człowieka o twarzy dziecka i oczach mędrca.

– Możemy bez obaw oddychać w tej atmosferze? – pyta Pilcher.

– Owszem, uległa zmianie, ale tylko nieznacznie – odpowiada Leven. – Tlen i azot nadal są, dzięki Bogu, głównymi składnikami. Obecnie jednak w powietrzu jest o jeden procent więcej tlenu i o jeden procent mniej azotu. Gazy cieplarniane powróciły do poziomu z czasów przedindustrialnych.

– Rozumiem, że rozpoczęliście już dekompresję superstruktury?

– Przystąpiliśmy do niej niezwłocznie. Już zasysamy powietrze z zewnątrz.

– Jeszcze jakieś istotne informacje?

– Nasze organizmy odzyskają pełnię sił i zaadaptują się dopiero za kilka dni.

– Co pokazuje nasz zegar elektronowy?

– Dziś jest czternasty lutego roku Pańskiego trzy tysiące osiemset trzynastego – mówi Leven z szerokim uśmiechem. – Wesołych walentynek dla wszystkich.

* * *

Arnold Pope zatrzymuje humvee'a, długie światła odbijają się od tytanowego portalu chroniącego przed światem zewnętrznym tunel, superstrukturę oraz wszystkich śpiących.

Pope gasi silnik, ale nie wyłącza świateł.

Wszyscy wysiadają z wozu, a Pope idzie na tył i otwiera drzwi bagażowe.

Z półki zdejmuje strzelbę powtarzalną.

– Na miłość boską, Arnie – mówi Pilcher. – Jesteś nieuleczalnym pesymistą.

– Za to płacisz mi ciężką forszę, nie? Gdyby to ode mnie zależało, jechaliby z nami wszyscy ochroniarze.

– Nie, na razie wszystko ma przebiegać kameralnie.

– Pam, mogłabyś tu poświecić latarką? – odzywa się Leven.

Kiedy dziewczyna kieruje światło na koło otwierające portal, Pilcher mówi:

– Odczekajmy chwilę.

Leven się prostuje.

Pope podchodzi bliżej.

Ted i Pam zwracają się ku niemu.

Pilcher wciąż ma ochryply głos od środków farmakologicznych, którymi go obudzono.

– Nie pozwólmy, by ta chwila nam umknęła – mówi, a jego ludzie przyglądają mu się uważnie. –

Czy wszyscy pojmujecie, czego dokonaliśmy? Oto odbyliśmy najniebezpieczniejszą i najśmielszą podróż w historii ludzkości. Nie w przestrzeni. W czasie. Wiecie, co czeka na nas za tymi drzwiami?

Pilcher pozwala, by pytanie zawisło w powietrzu.

Nikt nie reaguje.

– Czyste odkrycie.

– Nie rozumiem – przyznaje Pam.

– Już to mówiłem, ale powtórzę. Oto Neil Armstrong schodzi po stopniach Apollo 11, by po raz pierwszy stanąć na Księżycu. Bracia Wright testują samolot w Kitty Hawk. Kolumb wychodzi na brzeg Nowego Świata. Nie sposób stwierdzić, co leży za tym portalem.

– Przewidywałeś, że ludzkość wyginie – mówi Pam.

– Owszem, ale moje przewidywania nie były niczym innym niż właśnie tym. Przewidywaniami. Mogłem się mylić. Za tymi drzwiami mogą stać wieżowce wysokie na trzy tysiące metrów. Wyobraźcie sobie człowieka z dwieście trzynastego roku, który wkracza w rok dwa tysiące trzynasty. „Najpiękniejszą rzeczą, jakiej możemy doświadczyć, jest tajemnica”. To słowa Alberta Einsteina. Powinniśmy smakować tę chwilę.

Leven kieruje uwagę na koło otwierające drzwi, zaczyna obracać nim w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Kiedy koło zatrzymuje się w pozycji docelowej, Leven mówi:

– Czy zechce pan pełnić honory?

Pilcher podchodzi do portalu.

– To ta zapadka.

Pilcher otwiera zapadkę.

Przez chwilę nic się nie dzieje.

Światła humvee’a gasną.

Mrok rozjaśnia tylko mizerna latarka Pam.

Pod ich stopami rozlega się jęk przypominający skrzypienie starego statku.

Ciężkie drzwi portalu dygoczą i zaczynają ustępować.

Potem...

Chodnik zalewa światło, sunie ku nim jaskrawa plama.

Serce Pilchera wali jak młotem.

To najbardziej ekscytująca chwila jego życia.

Na chodnik sypie się śnieg, tunel przecina porażający mróz. Pilcher mruży oczy w świetle.

Gdy wysoki na sto dwadzieścia centymetrów portal otwiera się na oścież, świat ukazuje się niczym obraz.

Widzą smagany śnieżycą las sosnowy pełen głązów.

* * *

Stąpając w miękkim, głębokim na trzydzieści centymetrów puchu, wchodzą do lasu.

Jest ciszej niż cicho.

Szepcze padający śnieg.

Po blisko dwustu metrach Pilcher staje. Reszta robi to samo.

– Wydaje mi się, że tędy biegła droga do Wayward Pines.

Stoją w gęstym sosnowym lesie, nigdzie nie widać ani śladu drogi.

Pilcher wyciąga kompas.

Idą na północ, w dolinę.

Nad nimi piętrzą się sosny.

– Ciekawe, ile razy ten las palił się i odrastał – odzywa się Pilcher.

Zmarzył. Bolą go nogi. Pewien jest, że pozostali czują podobną słabość, ale nikt się nie skarży.

Grupa brnie dalej, aż do miejsca, w którym drzewa się kończą. Pilcher nie wie dokładnie, jak daleko zaszli. Śnieg przestał padać i Pilcher po raz pierwszy widzi coś znajomego: potężne skalne zbocza, które przed blisko dwoma tysiącami lat otaczały miasteczko Wayward Pines.

Sam się dziwi, jaką otuchą napawa go ponowny widok tych gór. Dwa tysiąclecia to długi okres w odniesieniu do lasów i rzek, ale zbocza wyglądają praktycznie tak samo. Jak starzy przyjaciele.

Wkrótce grupa staje w samym środku doliny.

Nie ostał się ani jeden dom.

Nie ma nawet śladu ruin.

– Jakby tu nigdy nie było miasta – mówi Leven.

– Co to znaczy? – pyta Pam.

– Co „co znaczy”? – dopytuje Pilcher.

– Że przyroda odzyskała, co do niej należało. Miasto zniknęło.

– Trudno stwierdzić. Może Idaho jest teraz wielkim rezerwatem. Może Idaho już nie ma. Musimy się sporo dowiedzieć o tym nowym świecie.

Pilcher rozgląda się za Pope'em. Ten zapuścił się dwadzieścia metrów w głąb polany i klęka w śniegu.

– Co jest, Arnie?

Pope macha na Pilchera, żeby podszedł.

Grupa zbiera się wokół Pope'a, który pokazuje na ślady.

– Ludzkie? – pyta Pilcher.

– Mają rozmiar śladu ludzkiej stopy, ale rozstaw zupełnie się nie zgadza.

– Dlaczego?

– Czymkolwiek jest to coś, poruszało się na czterech kończynach. Widzicie? – Pope dotyka śniegu. – Tu są tylne nogi. Tam przednie. Spójrzcie na odległość między śladami. To cholernie długi krok.

W południowo-zachodnim zakątku doliny, pośród karłowatych dębów i topoli osikowych znajdują

głazowisko. Pilcher kuca, żeby przyjrzeć się jednemu z głazów, zgarnia śnieg z podstawy. Marmur, niegdyś wypolerowany, z biegiem lat stał się chropowaty.

– Co to za kamienie? – pyta Pam, przesuając dłonią po podobnej bryle.

– Ruiny cmentarza – odpowiada Pilcher. – Inskrypcje uległy erozji. To wszystko, co zostało z Wayward Pines z XXI wieku.

* * *

Wracają do superstruktury.

Wszyscy są osłabieni.

Wszyscy zmarznięci.

Znowu sypie gęsty śnieg, za całunem bieli mającą skały i wiecznie zielone rośliny.

– Chyba nikogo nie ma w domu – zauważa Leven.

– Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobimy, będzie wysłanie dronów – mówi Pilcher. – Poślemy je do Boise, Missouli, nawet do Seattle. Dowiemy się, czy cokolwiek przetrwało.

Po własnych śladach wracają do lasu. Grupę ogarnia cisza, ale po chwili, w dolinie za nimi, rozlega się słaby, niepokojący krzyk, który odbija się echem od ośnieżonych szczytów.

Wszyscy się zatrzymują.

Pierwszemu krzykowi odpowiada drugi, niższy, ale wyrażający takie samo połączenie smutku i agresji.

Pope otwiera usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle w okolicznych lasach rozbrzmiewa prawdziwa kanonada krzyków.

Pędzą po śniegu, najpierw truchtem, ale gdy krzyki się zbliżają, wszyscy przyspieszają do sprintu.

Około stu metrów od tunelu nogi odmawiają Pilcherowi posłuszeństwa, pot cieknie mu po twarzy. Pozostali dobiegli już do portalu. Właśnie wchodzi do środka, ponaglają Pilchera, ich głosy mieszają się z krzykami.

Obraz świata rozmywa się w oczach Pilchera.

Ogląda się za siebie.

Wśród sosen dostrzega ruch – ścigają go jasne postacie na czterech nogach.

Dysząc, chwytając powietrze i myśli: „Zginę pierwszego dnia po wyjściu z zawieszenia”.

Świat czernieje, jego twarz kostnieje z zimna.

Nie stracił przytomności.

Po prostu leży twarzą w śniegu i nie może się ruszyć.

Krzyki się zbliżają, ktoś nagle podnosi go z puchu. Przewieszony przez ramię Arnolda Pope’a Pilcher widzi zeskakujące z drzew i nadciągające człekokształtne stworzenia, najbliższe o kilkanaście

metrów od nich.

Pope wpycha go w tytanowe drzwi, a gdy Pilcher pada na ziemię, Pope gramoli się do środka.

Pilcher leży z twarzą przyciśniętą do zimnego betonu.

– Cofnij się! – krzyczy Pope. – Leżysz tuż przy drzwiach!

Portal się zatrząskuje.

Po drugiej stronie rozlega się łomotanie o metal.

Pilcher, wreszcie bezpieczny, stopniowo traci przytomność.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszy przed osunięciem się w mrok, są słowa Pam przekrzykującej ogólną histerię:

– Co to, kurwa, za stwory!?

CZEŚĆ I

**DWIE GODZINY PO UJAWNIENIU REWELACJI PRZEZ
ETHANA BURKE'A**

JENNIFER ROCHESTER

W domu było cholernie ciemno.

Jennifer z przyzwyczajenia spróbowała zapalić światło w kuchni, ale bez skutku.

Obeszła lodówkę, otworzyła szafkę nad kuchenką, chwyciła kryształowy świecznik, świecę i pudełko zapalek. Odkręciwszy gaz, zapaliła fajerkę w głębi i postawiła czajnik z wodą na herbatę na niebieskich płomykach.

Potem zapaliła resztkę świecy i usiadła przy stole śniadaniowym.

W poprzednim życiu paliła paczkę dziennie, a teraz sporo by oddała za papierosa – pomógłby ukoić nerwy i opanować drżenie rąk.

Oczy zaszły jej łzami, płomień świecy rozbił się na garść jasnych okruchów.

Jennifer mogła myśleć tylko o mężu, Teddym, i o tym, jak bardzo była od niego oddalona.

Dokładnie rzecz biorąc, o dwa tysiące lat.

Jennifer zawsze żywiła w sercu nadzieję, że tam, na zewnątrz, ciągle istnieje świat. Za ogrodzeniem. Z dala od tego koszmaru. Miała nadzieję, że jej mąż wciąż tam żyje. Liczyła na to, że istnieje jej dom. Jej praca na uniwersytecie. W pewnym sensie właśnie ta nadzieja pomogła jej przetrwać minione lata. Nadzieja, że pewnego dnia znowu obudzi się w Spokane. Teddy będzie spał u jej boku, a to miasteczko – Wayward Pines – okaże się snem. Ona cicho wstanie z łóżka, pójdzie do kuchni i ugotuje dla niego jajka. Zaparzy mocnej kawy. Poczeka przy stole, aż Teddy wypełźnie z łóżka w tym swoim ohydny szlafroku, rozczochrany, zaspany, dokładnie taki, jakiego kochała. Wtedy ona powie:

– Zeszłej nocy miałam najdziwniejszy sen.

Ale kiedy spróbuje wyjaśnić, co przeżyła w Wayward Pines, wszystko rozplynie się we mgle zapomnianych snów.

Wtedy uśmiechnie się do męża i powie:

– Zapomniałam.

Teraz nadzieja się ulotniła.

Osamotnienie paraliżowało.

W głębi duszy wrzał jednak gniew.

Gniew na to, co jej zrobiono.

Wściekłość z powodu straty.

Czajnik zaczął gwizdać.

Z trudem wstała, w głowie jej wirowało.

Zdjęła czajnik z gazu, gwizd ucichł. Wlała wrzątek do ulubionego ceramicznego kubka, w którym

trzymała zaparzaczkę stale wypełnioną liśćmi rumianku. Z kubkiem w jednej dłoni i świecą w drugiej przeszła z ciemnej kuchni do holu.

Prawie wszyscy mieszkańcy wciąż byli w teatrze, oszołomieni rewelacjami szeryfa; może zresztą powinna być z nimi, ale prawdę mówiąc, chciała zostać sama. Tej nocy chciała się tylko wypłakać w łóżku. Gdyby przyszedł sen, byłoby świetnie, ale raczej się go nie spodziewała.

Skręciwszy za balustradę, ruszyła po skrzypiących schodach, blask świecy tańczył po ścianach. W przeszłości już kilkakrotnie dochodziło do przerw w dostawie prądu, ale Jennifer nie mogła się oprzeć myśli, że akurat tej nocy miało to szczególne znaczenie.

Fakt, że pozamykała wszystkie drzwi i okna, przynosił niewielkie – bardzo niewielkie – ukojenie.

SZERYF ETHAN BURKE

Ethan patrzył w górę na ośmiometrowe wsporniki i przewody owinięte drutem kolczastym. Zazwyczaj w ogrodzeniu szumiał prąd tysiąckrotnie mocniejszy niż ten potrzebny do zabicia człowieka. Szumiał tak głośno, że słyszało się go z odległości stu metrów, a po podejściu do ogrodzenia czuło się go w plombach.

Tej nocy Ethan nie słyszał nic.

Co gorsza, dziesięciometrowa brama była otwarta na oścież.

Ktoś otworzył zamek.

Mgła wpływała przez bramę niczym front burzowy, Ethan patrzył w głąb ciemnego lasu za ogrodzeniem. Łomoczące serce nie mogło zagłuszyć wrzasków, które zaczynały nieść się echem pośród drzew.

Abiki nadchodziły.

W głowie rozbrzmiały mu ostatnie słowa Davida Pilchera.

„Piekło idzie po ciebie”.

To była wina Ethana.

„Piekło idzie po ciebie”.

Popełnił błąd i sprawdził, czy ten psychol blefuje.

„Piekło idzie po ciebie”.

Popełnił błąd, mówiąc ludziom prawdę.

Teraz wszyscy w miasteczku, włącznie z jego żoną i synem, mieli zginąć.

* * *

Ethan popędził z powrotem przez las, panika narastała z każdym krokiem, z każdym rozpaczliwym oddechem. Kluczył wśród sosen, potem pobiegł wzdłuż cichego ogrodzenia.

Jego bronco stał tuż przed nim, a wrzaski przybliżały się i rozbrzmiewały coraz głośniej.

Usiadł za kierownicą, odpalił i pomknął w las, dając wycisk zawieszaniu. Resztki przedniej szyby wypadły z obramowania.

Po dotarciu do szosy prowadzącej z powrotem do miasteczka z rykiem silnika wpadł na pobocze i wjechał na chodnik.

Wdusił do oporu pedał gazu.

Silnik zawył.

Ethan wypadł z lasu i pomknął wzdłuż pastwiska.

Przednie światła omiotły billboard na rogatkach, ukazując czteroosobową rodzinę z lat

pięćdziesiątych, która machała i szczyrzyła zęby w beztroskich uśmiechach. Pod spodem widniał slogan:

WITAJCIE W WAYWARD PINES,
GDZIE RAJ JEST DOMEM

„Już nie”, pomyślał Ethan.

Gdyby mieszkańcom dopisało szczęście, abiki na początek dotarłyby do gospodarstwa mleczarskiego i rozszarpały bydło, dopiero potem ruszyłyby na miasteczko.

Oto ono.

Tuż przed nim.

Obrzeża Wayward Pines.

W słoneczny dzień miasteczko było obrazem doskonałości. Schludne bryły domków w stylu wiktoriańskim w jaskrawych kolorach. Białe płotki. Soczyście zielona trawa. Ulica Główna wyglądała tak, jakby zbudowano ją dla turystów, żeby spacerowali i marzyli o tym, by tu osiąść i wieść wygodne, słodkie życie. Górskie zbocza otaczające miasteczko obiecywały azyl i bezpieczeństwo. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, że z tej miejsciny nie można wyjechać, a samą próbę wyjazdu człowiek przypłacał życiem.

Ale nie dzisiejszej nocy.

Dziś wszystkie domy spowiła złowroga ciemność.

Ethan skręcił w Dziesiątą Aleję, przemknął przez siedem przecznic, potem gwałtownie skręcił w Główną, aż koła po prawej oderwały się od ziemi.

Przed nim, na skrzyżowaniu Główniej z Ósmą, mieszkańcy stali tam, gdzie ich zostawił – przed gmachem opery. Ponad czterysta osób czekało w ciemności, jakby wyrzucono ich z balu, wciąż w komicznych przebraniach na igrzyska.

Ethan wyłączył silnik i wysiadł.

Pogrążona w mroku Główna, z witrynami oświetlanymi tylko przez pochodnie, wyglądała niesamowicie.

Oto Steaming Bean.

Drewniane Skarby – sklep z zabawkami Kate i Harolda Ballingerów.

Piekarnia Richardsona.

Ogródek piwny.

Sklep ze słodyczami Smakołyk.

Agencja nieruchomości, gdzie pracowała żona Ethana Theresa.

Wrzawa tłumu obezwładniała.

Właśnie ustępowały szok i niedowierzanie, które ogarnęły ludzi, gdy Ethan wyznał im prawdę o Wayward Pines. Mieszkańcy zaczęli rozmawiać ze sobą, w pewnym sensie po raz pierwszy.

Do Ethana podbiegła Kate Ballinger. To ona i jej mąż Harold mieli paść ofiarami nocnych igrzysk, ale rewelacje Ethana ocaliły im życie. Ktoś pospiesznie zaszył ranę nad lewym okiem Kate, lecz twarz wciąż miała zakrwawioną; krew posklejała też przedwcześnie posiwiałe włosy. Z powodu zaginięcia Kate w Wayward Pines przed dwoma tysiącami lat Ethan przybył do miasteczka. W poprzednim życiu pracowali razem w służbach specjalnych jako partnerzy. Przez krótką, gorącą chwilę byli partnerami nie tylko w pracy.

Ethan ujął Kate za ramię i zaprowadził za bronco, gdzie ludzie nie mogli ich słyszeć. Tej nocy Kate o mały włos nie zginęła, a Ethan widział w jej oczach, że z najwyższym trudem zachowywała równowagę psychiczną.

– Pilcher wyłączył prąd – powiedział.

– Wiem.

– Nie, chcę powiedzieć, że wyłączył też prąd w ogrodzeniu. Otworzył bramę.

Kate wpatrywała się w Ethana, jakby usiłowała odgadnąć, jak złe wieści właśnie usłyszała.

– Czyli te stworzenia... – wykrztusiła. – Aberracje...

– Teraz mogą wejść do miasteczka. Już nadciągają. Słyszałem je przy ogrodzeniu.

– Ile?

– Nie wiem. Nawet małe stado oznaczałoby katastrofę.

Kate obejrzała się na tłum przed operą.

Rozmowy cichły, ludzie podchodzili, żeby usłyszeć nowiny.

– Niektórzy z nas mają broń – powiedziała. – Kilka osób ma maczety.

– To nie wystarczy.

– Nie możesz się dogadać z Pilcherem? Wezwać go z powrotem? Sprawić, by zmienił zdanie?

– Już nie ma takiej możliwości.

– Wobec tego każemy wszystkim wrócić do opery – postanowiła Kate. – W budynku nie ma okien.

Tylko po jednym wyjściu z obu stron sceny. Podwójne drzwi wejściowe. Zabarykadujemy się w środku.

– A jeśli zostaniemy otoczeni na wiele dni? Nie mamy jedzenia, ogrzewania, wody. Żadna barykada nie powstrzyma abików na wieczność.

– To co robić, Ethanie?

– Nie wiem, ale nie możemy po prostu odesłać ludzi do domów.

– Część już się rozeszła.

– Prosiłem, żebyś wszystkich tu zatrzymała.

– Próbowałam.

– Ile osób wróciło do domu?

– Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt.

– Jezu.

Ethan dostrzegł Theresę i Bena – swoją ukochaną rodzinę – idących ku niemu przez tłum.

– Gdybym zdołał się dostać do superstruktury, gdybym mógł pokazać ludziom Pilchera, kim naprawdę jest człowiek, któremu służą, chyba mielibyśmy szansę.

– To idź. Natychmiast.

– Nie zostawię rodziny w takiej sytuacji. Najpierw musimy opracować plan z prawdziwego zdarzenia.

Theresa podeszła do Ethana. Długie jasne włosy związała w koński ogon; ona i Ben mieli na sobie ciemne ubrania.

Ethan pocałował żonę i zmierzwił włosy Bena. W oczach dwunastoletniego syna widział już mężczyznę. Dostrzegał groźną dojrzałość.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała Theresa.

– Niczego dobrego.

– Już wiem – powiedziała Kate. – Musimy się ukryć w bezpiecznym miejscu, a ty włamiesz się do superstruktury.

– Otóż to.

– Potrzebne nam miejsce, gdzie będziemy mogli się bronić. Z zapasami jedzenia i wody.

– Tak jest.

– Chyba znam dokładnie takie miejsce – powiedziała z uśmiechem Kate.

– Jaskinia Wędrowców – domyślił się Ethan.

– Tak.

– To mogłoby się udać. Na posterunku szeryfa mam broń.

– Idź po nią. Weź ze sobą Brada Fishera. – Kate wskazała na chodnik. – Jest tam.

– Jakim cudem zdołamy zaprowadzić tyle osób na górę?

– Porozdzielałam ludzi na stuosobowe grupy – powiedziała Kate. – Każdą poprowadzi ktoś, kto dobrze zna drogę.

– A co z tymi, którzy rozeszli się do domów? – spytała Theresa.

Odpowiedział jej pojedynczy, odległy krzyk.

Wcześniej ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami.

Teraz zapadła cisza.

Krzyk – a raczej słaby, złowrogi jęk – dobiegł z południowej strony miasteczka.

Tego odgłosu nie dało się wyjaśnić ani opisać, ponieważ oddziaływał nie tylko na zmysł słuchu. Człowiek czuł jego znaczenie.

Ten krzyk oznaczał: „Piekło nadchodzi”.

– Wystarczająco trudno będzie chronić ludzi, którzy zostali – stwierdził Ethan.

– Czyli tamci są zdani tylko na siebie?

– Wszyscy jesteśmy zdani tylko na siebie.

Ethan podszedł do przednich drzwi bronco i z siedzenia obok kierowcy wziął megafon. Wręczając go Kate, spytał:

– Wiesz, co masz robić?

Kate przytaknęła.

– Chcę, żebyście ty i Ben zostali z Kate – zwrócił się Ethan do Theresy.

– Zgoda.

– Idę z tobą, tato – oświadczył Ben.

– Powinieneś zostać z mamą.

– Ale mogę ci pomóc.

– Pomagasz mi właśnie w ten sposób – powiedział Ethan, potem rzucił w stronę Kate: – Dołączę do was, kiedy przejdę przez biuro szeryfa.

– Przyjdź do małego parku na północy miasteczka.

– Tego z altaną?

– Właśnie.

* * *

Brad Fisher, jedyny prawnik w Wayward Pines, z dłonią zaciśniętą na klamce siedział na zniszczonym przednim siedzeniu wozu Ethana, gdy ten pędził Pierwszą Aleją z szybkością stu kilometrów na godzinę.

– Gdzie twoja żona? – spytał Ethan, zerkając na Brada.

– Byliśmy w operze. Ty przemawiałeś, wyjawiałeś nam całą prawdę. Kiedy się za nią rozejrzałem, Megan znikła.

– Biorąc pod uwagę, czego uczyła dzieci bez wiedzy rodziców, pomyślała pewnie, że ludzie uznają ją za zdrajczynię. Obawiała się o własne życie. Co teraz do niej czujesz?

Pytanie chyba zaskoczyło Brada. Zazwyczaj był wymuskany i gładko ogolony – modelowy przykład młodego, kompetentnego prawnika. Teraz podrapał zarost na podbródku.

– Sam nie wiem. Nigdy nie czułem, że ją znam, nie czułem też, że Megan zna mnie. Żyliśmy razem, bo nam kazano. Spaliśmy w jednym łóżku. Czasami uprawialiśmy seks.

- To samo można chyba powiedzieć o wielu małżeństwach. Kochałeś ją?
- To skomplikowane. – Brad westchnął. – Swoją drogą, słusznie postąpiłeś, mówiąc nam prawdę.
- Gdybym wiedział, że on wyłączy prąd w ogrodzeniu...
- Nie idź tam, Ethanie. Nie daj się wplątać w tę grę. Zrobiłeś to, co uznałeś za właściwe. Ocaliłeś Kate i Harolda. Pokazałeś nam, ile naprawdę warte jest nasze życie.

– Ciekawe, jak długo utrzyma się takie przekonanie, kiedy ludzie zaczną ginąć – powiedział Ethan.

Długie światła omiotły ciemny posterunek szeryfa. Ethan wjechał na krawężnik, zatrzymał się na chodniku przed wejściem i wysiadł. Zapaliwszy latarkę, podszedł do skrzydłowych drzwi, przekręcił klucz i pchnął jedno skrzydło. Brad nie odstępował go na krok.

– Co bierzemy? – spytał Brad, gdy przebiegli przez hol i skręcili w korytarz do biura Ethana.

– Wszystko, co strzela.

Brad zajął się latarką, Ethan wyjął z szafki broń i dopasował amunicję.

Strzelbę Mossberg 930 położył na biurku i wepchnął do niej osiem naboí.

Trzydzieści naboí wsunął do magazynka bushmastera AR-15.

Magazynek swojego desert eagle'a załadował do pełna.

Na posterunku były też inne strzelby.

Karabiny myśliwskie.

Pistolety Glock i Sig Sauer.

Rewolwer Smith & Wesson na amunicję typu .357 Magnum.

Załadował jeszcze dwie sztuki broni, ale to wszystko trwało zbyt długo.

KATE HEWSON BALLINGER

Chwyciła Harolda za ramię. Mąż Kate miał zaprowadzić swoją grupę do wejścia położonego kilka przecznic na południe, ona zaś wiodła ludzi na północny skraj miasteczka.

Kate zarzuciła mu ramiona na szyję i wycisnęła na jego wargach długi, głęboki pocałunek.

– Kocham cię – powiedziała.

Harold uśmiechnął się szeroko. Mimo chłodu był spocony, siwe włosy lepiły się do czoła, sińce na twarzy zaczynały ciemnieć.

– Kate, jeśli coś się stanie...

– Nie rób tego.

– Czego?

– Po prostu weź dupę w troki i ruszaj w góry.

W głębi zabudowań coś zawyło. Kate pospieszyła ku ludziom czekającym, aż zaprowadzi ich w bezpieczne miejsce, potem się obejrzała i posłała Haroldowi całusa.

Złapał go w powietrzu.

JENNIFER

Jennifer postawiła świecę na toaletce w sypialni i zdjęła kostium, który włożyła na igrzyska – czerwoną bieliznę, czarny trenecz i diabelskie rogi domowej roboty. Na drzwiach wisiała jej koszula nocna.

Wsunąwszy się do łóżka, wypła rumianek i popatrzyła na refleksy świecy tańczące na suficie.

Napój ogrzewał jej przełyk.

Od trzech lat postępowała tak samo, a teraz pomyślała, że mądrze zrobiła, nie rezygnując ze swych przyzwyczajień. Kiedy twój świat się rozpada, trzymaj się tego, co dobrze znane.

Jennifer myślała o mieszkańcach Wayward Pines.

Ich myśli biegły pewnie podobnym torem.

Kwestionowali wszystko, co im wmawiano.

Dochodzili do ładu z tym, jak bardzo ich skrzywdzono.

Co miał przynieść dzień jutrzejszy?

Przez pękniętą szybę w oknie obok łóżka wpadało chłodne nocne powietrze. Jennifer rozmyślnie utrzymywała niską temperaturę, bo uwielbiała spać w wyziębionej sypialni pod stertą koców.

Za oknem panowała nieprzenikniona ciemność.

Świerszcze ucichły.

Jennifer odstawiła kubek na nocny stolik i naciągnęła koce na nogi. Ze świecy został najwyżej centymetrowy ogarek, ale ona jeszcze nie chciała pograć się w ciemności.

Niech się sama dopali.

Zamknęła oczy.

Poczuła się, jakby spadała.

Natłok myśli, napierający lęk.

Namacalny ciężar.

„Po prostu zaśnij”.

Pomyślała o Teddym. W minionym roku przyłapywała się na tym, że jego zapach, ton głosu, dotyk jego dłoni na swym ciele pamiętała znacznie lepiej niż jego twarz.

Stopniowo zapomniała, jak wyglądał.

Gdzieś w ciemności zaczął krzyczeć człowiek.

Jennifer zerwała się na równe nogi.

Jeszcze nigdy nie słyszała nic podobnego.

Groza, niedowierzanie i niewyobrażalna agonია zlały się w krzyk, który zdawał się trwać bez końca.

To krzyczał mordowany człowiek.

„Czyżby mimo wszystko dokonali egzekucji Kate i Harolda?”

Krzyk ucichł, jakby ktoś zakręcił kran.

Jennifer spuściła wzrok.

Stała na zimnej drewnianej podłodze.

Podeszła do okna i podniosła je trochę wyżej.

Do sypialni wlał się chłód.

W sąsiednim domu ktoś zawołał.

Trzasnęły drzwi.

Ktoś popędził uliczką.

W dolinie rozbrzmiał echem wrzask, ale ten był inny. Identyczny odgłos wydawał potwór w bronco szeryfa.

Upiorne, nieludzkie skrzeczenie.

Odpowiedziały mu kolejne wrzaski, a wiatr wepchnął do sypialni silną, gryzącą woń, jakby zapach gnijącego piżma.

W ogrodzie Jennifer rozległ się niski, gardłowy warkot.

Zamknęła okno i przekręciła klamkę.

Chwiejnym krokiem wróciła do łóżka, a kiedy siadała, usłyszała, jak coś wchodzi przez okno salonu na parterze.

Jennifer raptownie odwróciła głowę w stronę drzwi.

Świeca na toaletce zgasła.

Z ust kobiety wyrwał się krzyk.

Sypialnię ogarnął mrok, nie widziała własnej dłoni przed twarzą.

Zerwała się i pobiegła w stronę drzwi, po drodze zawadziła kolanem o skrzynię przy łóżku, ale zdołała utrzymać się na nogach.

Dotarła do drzwi sypialni.

Od schodów dobiegło skrzypienie kroków.

Jennifer zamknęła drzwi i pomacała w poszukiwaniu zasuw.

Ze szczękiem wsunęła ją we framugę.

To, co wdarło się do jej domu, znajdowało się już w korytarzu, podłoga trzeszczała pod ciężarem kroków.

Znów hałasy na parterze.

Dom wypełniły skrzeczenie i stukot.

Kroki za drzwiami się przybliżały, a Jennifer pełzła na czworakach. W końcu przywarła do

podłogi i wcisnęła się pod łóżko, czując, jak jej serce łomocze o zakurzone deski.

Słyszała kolejnych intruzów wchodzących po schodach.

Drzwi sypialni wyleciały z zawiasów.

Stworzenia, które wdarły się do sypialni, stąpały po podłodze, stukając. To mógł być odgłos pazurów.

Lub szponów.

Jennifer poczuła silniejszy niż dotychczas i przekraczający jej zdolność pojmowania nieziemski smród truchła, zgnilizny i krwi.

Bezgłośnie leżała pod łóżkiem.

Coś twardego i gładkiego otarło się o jej ramię.

Z krzykiem cofnęła rękę.

Ramię ogarnął nagły chłód.

Dotknęła je.

Kiedy cofnęła dłoń, poczuła na niej wilgoć. Coś ją skaleczyło.

– Proszę, Boże... – wyszeptała.

Do sypialni weszły kolejne stwory.

Och, Teddy. Pragnęła jedynie ujrzeć jego twarz. Ostatni raz, jeśli to naprawdę był koniec.

Łóżko uniosło się, zawadziło nogą o jej bok, po czym trzasnęło o ścianę.

Leżała w całkowitej ciemności, sparaliżowana ze strachu. Ramię obficie krwawiło, ale nic nie czuła. Zdrętwiała, lecz po chwili jej myśli uformowały się w prosty wybór: walcz albo uciekaj.

Napastnicy stali tuż nad nią, słyszała obce, urywane oddechy, przywodzące na myśl dyszenie psów.

Wtuliła głowę między kolana.

Dwa tygodnie przed brzemieną w skutki wyprawą do Wayward Pines Jennifer i Teddy spędzili sobotę w Riverfront Park w Spokane. Na rozłożonym na trawie kocu do zmierzchu czytali książki i patrzyli na spieniony wodospad.

Na jedną krótką chwilę ujrzała jego twarz. Nie *en face*, lecz z profilu. Wieczne słońce okalało resztki włosów Teddy'ego, odbijało się od okularów w drucianych oprawkach. Teddy patrzył, jak słońce zachodzi za wodospadem. Zadowolony. Obecny w tej chwili. Jennifer także.

Teddy.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

Uśmiechał się.

Wtedy przyszedł kres.

ETHAN

Brad wpychał plecak z amunicją przez wybite tylne okno, gdy Ethan siadał za kierownicą.

Zerknął na zegarek.

Zmarnotrawili jedenaście minut.

– Ruszajmy! – zawołał.

Brad szarpnął drzwiczki i zajął miejsce na zdemolowanym siedzeniu.

Przednie światła omiotły przeszklone drzwi i wydobyły z mroku hol posterunku.

Ethan spojrział w lusterko wsteczne. W czerwonym blasku tylnych świateł mignął jasny kształt.

Wrzucił wsteczny.

Bronco zaczął się cofać po chodniku, a gdy opony ześlizgnęły się z krawężnika, Ethan uderzył głową o dach.

Mocno wciskając hamulec, zatrzymał wóz na środku jezdni, wrzucił bieg.

Coś uderzyło w drzwi od strony pasażera. Brad krzyknął, a kiedy Ethan spojrział w bok, zobaczył jego nogi wysuwające się przez okno.

W ciemności Ethan nie widział krwi, ale czuł jej woń – silny zapach rdzy.

Wyciągnął pistolet.

Wrzaski ucichły.

Słyszał jedynie oddalające się szuranie butów Brada wleczonego po chodniku.

Chwycił latarkę, którą Brad upuścił w odstęp między siedzeniami.

Poświecił na ulicę.

„Mój Boże”.

Światło latarki padło na aberrację.

Stwór przysiadł na tylnych nogach nad Bradem i zatopił zęby w jego gardle.

Na widok światła podniósł zakrwawiony pysk i ostrzegawczo zasyczał jak wilk broniący zdobyczy.

Za nim ukazało się więcej jasnych sylwetek sunących środkiem jezdni.

Ethan wcisnął gaz.

W lusterku wstecznym widział kilkanaście abików pędzących na czterech łapach za samochodem. Stwór biegnący na czele znalazł się przy drzwiach Ethana. Skoczył na okno, chybił, uderzył o bok bronco i odbił się od karoserii.

Patrząc, jak napastnik toczy się po ulicy, Ethan wcisnął pedał gazu do oporu.

Kiedy znów spojrział przez przednią szybę, zobaczył niedużego stwora, który zastygł siedem metrów przed nim i szczyrzył zęby.

Ethan przygotował się na uderzenie.

Zderzak odrzucił abika dziesięć metrów do tyłu. Ethan rozjechał go, potem powlókł po jezdni, ale samochodem tak rzucało, że z trudem utrzymywał dłonie na kierownicy.

W końcu podwozie wypluło zwłoki.

Ethan popędził na północ.

W lusterku wstecznym widział ciemną, pustą ulicę.

Znowu oddychał.

* * *

Dojeżdżając do północnego skraju miasteczka, Ethan skręcił na zachód w stronę Głównej i minął kilka przecznic, aż przednie światła dobiły z mroku szereg ludzi z twarzami oświetlanymi przez pochodnie.

Wjechał na chodnik.

Kluczyki zostawił w stacyjce, żeby światła nie zgasły.

Przeszedł na tył wozu, otworzył bagażnik i chwycił jedną z trzech naładowanych strzelb.

Kate stała obok ławki przy otwartej klapie z desek, osadzonej na zardzewiałych zawiasach, której wierzchnią stronę zamaskowano ziemią i trawą. Przy pomocy jednego z mężczyzn pomagała ludziom schodzić kolejno pod ziemię.

Gdy Ethan podszedł, ich oczy się spotkały.

Podał Kate strzelbę, potem spojrział na ludzi, którzy jeszcze nie zeszli – zostało ich około trzydziestu.

– Oni powinni znaleźć się pod ziemią pięć minut temu – oświadczył.

– Spieszmy się, jak możemy.

– Gdzie Ben i Theresa?

– Już zeszli.

– Aberracje są w mieście, Kate.

Ujrzał pytanie w jej oczach, zanim spytała:

– Gdzie jest Brad?

– Dopadły go. Mówię ci, że zostało nam najwyżej parę minut. Potem będzie po wszystkim.

Ludzie sprawnie schodzili pod ziemię; panował typowy dla ewakuacji porządek, nikt nie rozmawiał, wyczuwało się tłumione napięcie.

W miasteczku coraz częściej rozlegały się krzyki, zarówno ludzkie, jak i nieludzkie.

Ethan zwrócił się do grupy:

– W samochodzie mam broń. Jeśli w poprzednim życiu mieliście do czynienia z bronią palną, jeżeli macie jakiegokolwiek doświadczenie, chodźcie za mną.

Dziesięć osób wystąpiło z tłumu i podeszło z Ethanem na tył samochodu.

W grupie stał Hecter Gaither, pianista. Wysoki i szczupły, miał przyprószone siwizną włosy i delikatne, niemal królewskie rysy twarzy. Na igrzyska przywdział białe skrzydła, by upodobnić się do morderczej wróżki.

– Do czego strzelałeś w poprzednim życiu, Hecter? – spytał Ethan.

– W każde Boże Narodzenie chodziłem rano z ojcem na kaczki.

Ethan wręczył mu mossberga.

– Naładowałem go dwunastkami. Będzie kopać trochę mocniej niż śrut, do którego przywykłeś.

Hecter ujął strzelbę za kolbę. Dziwnie wyglądały te subtelne, zręczne dłonie na strzelbie bojowej.

– Ty i ja zejdziemy jako ostatni – rozkazał Ethan. – Zaraz do ciebie dołączę. – Ponownie skierował uwagę na arsenał w wozie. – Zostało mi kilka rewolwerów i parę pistoletów półautomatycznych. Kto chce?

CZEŚĆ II

PILCHER

Wayward Pines

Dwanaście lat wcześniej

Ranek.

Jesienny dzień.

W jego poprzednim życiu niebo nie było takie niebieskie. Teraz można wejrzeć w głąb błękitu. Powietrze jest przejrzyste, niemal hiperrealistyczne, intensywne kolory oślepiają.

Pilcher idzie drogą do miasteczka. Położony dwa tygodnie wcześniej asfalt ciągle cuchnie.

Na mijanym billboardzie pracownik maluje „a” w słowie „raj”. Po ukończeniu napis będzie brzmiał: „Witajcie w Wayward Pines, gdzie raj jest domem”.

– Dzień dobry! – mówi Pilcher. – Miłej pracy!

– Dziękuję panu!

Miasteczko jest dalekie od ukończenia, ale dolina zaczyna przybierać niemal cywilizowany wygląd. Większość lasu wycięto, zostało tylko trochę drzew dla upiększenia ulic i zacieniania podwórek przed domami.

Nieopodal przejeżdża z turkotem betoniarka.

W oddali widnieją nowe domy w różnych stadiach ukończenia. Prefabrykaty budowlane przygotowano przed wprowadzeniem ludzi w stan zawieszenia. Dzięki gotowym fundamentom roboty nabierają tempa, miasteczko codziennie rozrasta się szybciej, domy zaczynają się formować.

Szkoła jest prawie na ukończeniu.

Gotowe są trzy kondygnacje szpitala.

Pilcher dociera do skrzyżowania, jeszcze będącego w stanie surowym. Pewnego dnia będą się tu zbiegać Ósma Aleja z ulicą Główną.

Dolina rozbrzmiewa wyciem pił i wystrzałami wbijanych pneumatycznie gwoździ.

Domy, które wkrótce uformują ulicę Główną, są już gotowe; sosnowe deski żółcą się w porannym słońcu.

Arnold Pope podjeżdża jeepem wranglerem bez dachu.

Wysiada z wozu i podchodzi do szefa.

– Przyjechałeś sprawdzić postęp robót? – pyta Pope.

– Wspaniale, prawda?

– W zasadzie przegoniliśmy plan. Jak dobrze pójdzie, przed pierwszym śniegiem ukończymy sto dwadzieścia domów mieszkalnych i elewacje wszystkich budynków, a to znaczy, że w zimie będziemy

mogli pracować nad wnętrzami.

– Na kiedy mogę zaplanować oficjalną inaugurację?

– Na wiosnę.

Pilcher uśmiecha się, widząc to oczyma wyobraźni: ciepły majowy dzień, dolina skąpana w kwiatkach i młodych, zielonych listkach.

Nowy początek. Czyste konto dla ludzkości.

– Zastanawiałeś się nad tym, jak wytłumaczysz wszystko pierwszym mieszkańcom?

Razem idą środkiem ulicy, Pilcher zerka na rusztowanie na budynku, który stanie się gmachem opery.

– Początkowo pewnie ludzie doznają szoku i zareagują niedowierzaniem, ale kiedy pojmą, w jakim projekcie mogą uczestniczyć dzięki mnie...

– Padną przed tobą plackiem w podzięcie – mówi Pope.

Pilcher się uśmiecha.

Ulicą przejeżdża ciężarówka z surowym drewnem.

– Czy pojmujesz, jakie możliwości otwierają się przed nami? – myśli głośno Pilcher. – W świecie, z którego się wywodzimy, żyło się nam łatwo, a ta łatwość rodziła niezadowolenie. Jak znaleźć sens, jeśli jest się jednym z siedmiu miliardów? Gdy pożywienie, odzież i wszystko, czego ci trzeba, są na wyciągnięcie ręki w najbliższym supermarkecie? Kiedy otepiamy się, gapiąc się w najróżniejsze ekrany i otaczając technologią, sens życia, cel naszej egzystencji ginie.

– A czym on jest? – pyta Pope.

– Czym co jest?

– Nasz cel.

– Naszym celem jest, rzecz jasna, zachowanie gatunku. Sprawowanie rządów na tej planecie. Znowu tak się stanie. Nie za twojego czy mojego życia, ale się stanie. Ludzie, których wyprowadzę ze stanu zawieszenia, by zaludnili moje miasto, nie będą mieli Facebooka, iPhone'ów, iPadów, Twittera, zakupów przez internet z dostawą w ciągu dwudziestu czterech godzin. Będą się porozumiewać tak, jak czynili to dawniej przedstawiciele naszego gatunku. Twarzą w twarz. Ich życiu będzie towarzyszyć wiedza, że są ostatnimi ludźmi, a za ogrodzeniem żyje miliard potworów, które chcą ich pożreć. Wraz z tą wiedzą zrodzi się pełne zrozumienie niebotycznej stawki, o jaką toczy się gra, a ich życie nabierze niepojętej wartości. Czyż nie tego właśnie wszyscy pragniemy? Czuć się ludźmi wartościowymi i pożytecznymi? – Pilcher uśmiecha się, widząc, jak jego miasteczko, jego marzenie, ożywa na jego oczach. – To będzie nasz Eden – mówi.

TURNEROWIE

Jim Turner pocałował swoją ośmioletnią córkę w czoło i otarł łzy płynące jej z oczu.

– Chcę, żebyś został z nami – powiedziała.

– Muszę pójść i zabezpieczyć dom.

– Boję się.

– Mama zostanie z tobą.

– Dlaczego ludzie na dworze krzyczą?

– Nie wiem – skłamał.

– To z powodu potworów? Uczyliśmy się o nich w szkole. Pan Pilcher ochrania nas przed nimi.

– Nie wiem, czym one są, Jessico, ale muszę pójść i zapewnić bezpieczeństwo mamie i tobie, dobrze?

Dziewczynka skinęła główką.

– Kocham cię, najdroższa.

– Ja też cię kocham, tato.

Jim wstał i ujął w dłonie twarz żony. Nie widział jej w ciemności, ale czuł drżenie jej warg i wilgoć łez.

– Macie wodę, jedzenie, latarkę – powiedział, siląc się na żartobliwy ton. – Macie nawet nocnik do sikania.

Żona chwyciła go za szyję i zbliżyła usta do jego ucha.

– Nie rób tego.

– Wiesz, że nie ma innego wyjścia.

– Piwnica...

– Nic z tego. Deski są za długie, żeby zabić drzwi. – Usłyszał, jak ich sąsiedzi Millerowie giną w domu naprzeciwko. – Kiedy nadejdzie czas, żeby wyjść...

– Ty nas wydostaniesz.

– Niczego bardziej nie pragnę, ale gdybym nie przyszedł, użyj łomu. Będziesz musiała podważyć framugę.

– Powinniśmy byli zostać z resztą.

– Wiem, ale postąpiliśmy inaczej, a teraz robimy, co w naszej mocy. Bez względu na to, co usłyszysz w tej sypialni, nie wychodź z szafy i siedź cicho. Zatkaj uszy, jeżeli...

– Nie mów tego.

– Jeżeli co, tato?

– O Boże, nie mów tego.

– Kocham was, dziewczyny. Teraz muszę zamknąć te drzwi.

– Nie, tato!

– Cichutko, Jess – szepnął.

Jim Turner pocałował żonę.

Ucałował córkę.

Następnie zamknął je w szafie sypialni na piętrze ich domu w kolorze lawendowym.

Na podłodze stała jego otwarta skrzynka z narzędziami.

Jim zapalił latarkę i wybrał dobrą deskę ze sterty przywleczonej z drewnutni – resztki psiej budy, którą zbił w zeszłe lato.

Te ciepłe popołudnia, kiedy pracował za domem...

Krzyki pani Miller rozpędziły wspomnienia.

– Nie-nie-nie-nie-nie! O Booooożeeee!!!

Jessica płakała w szafie, Gracie usiłowała ją pocieszyć.

Jim chwycił młotek i zaczął wbijać gwoździe po obu końcach deski. Lepsze byłyby śruby, ale nie miał czasu. Przyłożył deskę do framugi i wbił gwoździe.

W głowie miał mętlik.

Raz po raz powtarzał w myślach słowa szeryfa, ale przekraczały jego zdolność pojmowania.

Jak to możliwe, że tylko tyle zostało z ludzkości?

Kiedy zabił drzwi czterema deskami, Millerowie ucichli.

Jim upuścił młotek, otarł czoło.

Pot lał się z niego strumieniami.

Ukląkł i zbliżył usta do drzwi szafy.

– Jessico? Gracie?

– Słyszę cię – powiedziała żona.

– Drzwi są zabite deskami, jesteście bezpieczne. Teraz muszę pójść i znaleźć kryjówkę.

– Proszę, uważaj na siebie.

Jim położył dłoń na drzwiach.

– Tak bardzo was kocham.

Gracie coś odpowiedziała, ale Jim nie zrozumiał. Drzwi tłumiły słowa zniekształcone przez łyżę.

Podniósł się, chwycił latarkę i młotek – jedyny przedmiot w skrzynce z narzędziami mogący służyć jako broń.

Po wyjściu z sypialni delikatnie zamknął drzwi na zasuwkę.

W korytarzu panowała ciemność.

Ostatnie pół godziny wypełniały krzyki i wrzaski, więc teraz cisza wydała mu się czymś

niewłaściwym, fałszywym.

„Gdzie się ukryjesz?”

„Jak przetrwasz?”

U szczytu schodów Jim przystanął. Kusilo go, by zapalić światło, ale bał się ściągać na siebie uwagę.

Macając dłonią po poręczy, powoli zszedł po skrzypiących schodach. Salon spowijał nieprzenikniony cień. Podszedł do drzwi wejściowych. Wcześniej zamknął zasuwę, ale czuł, że to nie ma znaczenia. Z tego, co widział, stwory potrafiły wyłamywać okna.

„Zostać w domu?”

„Wyjść?”

Za drzwiami usłyszał szuranie.

Zbliżył oko do judasza.

Żadna z latarni ulicznych nie działała, ale Jim dostrzegł chodnik, płoty i samochody w słabym świetle gwiazd.

Trzy stwory czołgały się po chodniku prowadzącym od płotu do drzwi wejściowych.

Wcześniej widział z okna sypialni na piętrze skradające się ulicą abiki, ale dopiero teraz zobaczył je z bliska.

Żaden z nich nie był większy od niego, ale ich mięśnie prezentowały się niewiarygodnie.

Wyglądały jak...

Ludzie w przebraniu potworów.

Zamiast palców miały szpony, zęby stworzone do cięcia i rozdzierania, wymachiwały nieproporcjonalnie długimi przednimi kończynami, dłuższymi nawet niż nogi.

– Czym wy, u licha, jesteście? – mruknął pod nosem Jim.

Potwory dotarły do werandy.

Strach oblepił Jima jak ciasna rękawiczka.

Cofnąwszy się od drzwi, znowu zagłębił się w mrok między sofą a stolikiem do kawy, potem wszedł do kuchni, gdzie przez okno nad zlewem wpadało światło gwiazd, dzięki czemu mógł się poruszać w miarę sprawnie.

Odłożył młotek na blat i z haka przy drzwiach zdjął klucz do tylnych drzwi.

Kiedy wsuwał klucz do zamka, coś grzmotnęło o drzwi wejściowe.

Od uderzenia trzasnęło drewno i zagrzechotał zamek.

W chwili gdy Jim przekraczał próg, drzwi wejściowe gwałtownie otworzyły się na oścież.

Pierwszą rzeczą, jaką musiały zobaczyć potwory, były schody prowadzące na piętro, do sypialni i szafy, gdzie kryły się jego dziewczyny.

Jim cofnął się do kuchni i powiedział:

– Hej, panowie. Tutaj!

Dom wypełnił wrzask rozsadzający bębny w uszach.

Jim nic nie widział, ale słyszał, jak bestie pędzą ku niemu, roztrącając stoły i krzesła. Zatrzasnął za sobą drzwi, przebiegł przez kuchnię, potem przesadził susem pojedynczy stopień i wylądował na wymuskany, kwadratowy trawniku.

Przebiegł obok psiej budy.

Do płotu.

Tuż za nim trzasnęło szkło.

Dobiegając do bramy wychodzącej na zaułek, obejrzał się i zobaczył stwora, który wypełzał przez kuchenne okno, dwa pozostałe runęły przez tylne drzwi.

Jim szarpnął skobel i pchnął bramę ramieniem.

ETHAN

Wrzaski aberracji rozlegały się najwyżej o przecznicę dalej, kiedy Ethan zszedł pod ziemię, złapał za uchwyt klapy i zamknął ją za sobą.

W dole tunel rozbrzmiewał setkami głosów, zagłuszających wrzawę abików.

Ethan zbadał klapę, ale nie znalazł żadnego zamka, pozwalającego odgrodzić się od świata w górze.

Zszedł dwadzieścia pięć szczebli po drabinie na dno tunelu skąpanego w blasku tuzina pochodni.

Korzenie i pnącza porozrywały beton przepustu, szerokiego na metr osiemdziesiąt i takiej samej wysokości. Liczył parę tysięcy lat i wraz z cmentarzem stanowił ostatnią oryginalną pozostałość po Wayward Pines z XXI wieku.

W tunelu panował chłód, zalatywało stęchlizną.

Ludzie stali w szeregu plecami do ściany, jak uczniowie zebrani na przerażające ćwiczenia. Spięci. Pełni oczekiwania. Drżący. Jedni z szeroko otwartymi oczami, inni z beznamiętnym wyrazem twarzy, jakby zupełnie nie dopuszczali do siebie tego, co się działo.

Ethan podbiegł do Kate.

– Wszyscy są? – spytała.

– Tak. Prowadź. Hecter i ja pójdziemy z tyłu.

Idąc na tył grupy, Ethan przytknął palec do ust, nakazując milczenie.

Kiedy mijał żonę i syna, pochwycił wzrok Theresy, mrugnął, uścisnął jej dłoń i szybko ruszył dalej.

Gdy stawał w ariergardzie, grupa szła już przed siebie.

Ethan wyciągnął z szeregu ostatnią osobę z pochodnią. Maggie pracowała w weekendy za barem w Piwiarni.

– Co mam robić? – spytała.

Dziewczyna była młoda i przestraszona.

– Po prostu trzymaj pochodnię – odparł. – Masz na imię Maggie, zgadza się?

– Tak.

– Jestem Ethan.

– Wiem.

– Ruszajmy.

Grupa posuwała się naprzód na tyle wolno, że Ethan, Hecter i Maggie mogli podążyć za nią bez obaw, że się przewrócą. Blask pochodni tańczył na popękany beton, oświetlając pusty odcinek tunelu kilkanaście metrów za nimi; światło wydobywało ściany z mroku, ale środek przejścia

spowijała niepokojąca czern.

Słysząc było kroki w wodzie, kilka przytłumionych głosów i niewiele ponadto.

Idąc przed siebie, Ethan myślał o Theresie i Benie. Znajdowali się niespełna dwadzieścia metrów od niego, ale w zaistniałych warunkach w ogóle nie chciał się z nimi rozstawać.

Dotarli do skrzyżowania.

Pochodnia Maggie na chwilę oświetliła przecinające się tunele.

Przez ułamek sekundy Ethanowi zdawało się, że słyszy w ciemności echo krzyków, ale stłumił je tupot nóg.

– Jak nam idzie? – spytała Maggie drżącym głosem.

– W porządku – zapewnił Ethan. – Wkrótce będziemy bezpieczni.

– Jest mi zimno.

Na igrzyska włożyła bikini, płaszcz przeciwdeszczowy i futrzane buty.

– Kiedy dotrzemy do celu, rozpalimy ogień – powiedział Ethan.

– Boję się.

– Świetnie sobie radzisz, Maggie.

Minąwszy dwa skrzyżowania, skręcili w prawo w nowy tunel.

Gdy przechodzili obok starej żelaznej drabinki ginącej w mroku, Ethan przystanął.

– Co to za odgłos? – spytał Hecter.

– Daj mi pochodnię – zwrócił się Ethan do Maggie.

– Dlaczego?

Chwycił pochodnię i wręczył dziewczynie strzelbę.

Jedną dłonią łapiąc się szczebli, w drugiej trzymając pochodnię, zaczął się wspinać.

Po dziesięciu krokach dobiegł go z dołu głos Hectera:

– Ethanie, nie chcę się skarżyć, ale nic tu nie widzę.

– Za minutę wracam.

– Co robisz!?! – zawołała Maggie płaczliwie, ale Ethan wspinał się dalej, aż uderzył głową o klapę.

Mocno trzymał się najwyższego szczebla drabiny, pochodnia oświetlała klapę i ogrzewała mu twarz.

Maggie i Hecter nie przestawali go nawoływać.

Pchnął klapę włązu.

W porównaniu z tunelem w oświetlonym gwiazdami miasteczku było jasno jak w dzień.

Hałas, który skłonił go do wdrapania się na drabinę, okazał się krzykiem.

Ludzkim krzykiem.

Ethan patrzył i nie był w stanie pojąć tego, co widzi.

Jaki sens mają ludzie biegnący ulicą, której zdjęcie mogłoby zdobić pierwszą stronę „Saturday

Evening Post”, ścigani przez horde białych potworów, przezroczystych w mroku nocy, pędzących na dwóch i sadzących wilcze susy na czterech łapach?

Taki widok należy rozłożyć na kawałki.

Na szereg niezatartych obrazów.

Wrzaski z najbliższego domu, kiedy aberracja wdziera się przez okno od frontu.

Trzy abiki dopadają jednego z wykonawców igrzysk, który w ostatniej chwili stawia im czoło, zbyt wcześnie robi zamach maczetą, chybia głowy tego na czele, dwa pozostałe przewracają go na ziemię.

Trzydzieści metrów dalej potwór wyciąga zwoje wnętrzości, wpycha je sobie do pyska, a przygwożdżona pazurami ofiara wydaje ostatni w życiu, upiorny, rozpaczliwy krzyk.

Na środku Głównej duży abik siedzi na Megan Fisher i rozszarpuje ją na kawałki.

Na ulicy leży już z tuzin ciał, większość zastygła w kałużach krwi, wśród własnych wnętrzości, dwie ofiary ledwo się czołgają, trzech ludzi stwory pożerają żywcem.

Niczym w upiornej grze, nikt nie biegnie w żadnym konkretnym kierunku.

Targnięty impulsem Ethan chciał wyjść z tunelu i biec na pomoc. Ocalić kogoś. Chociaż jednego człowieka. Zabić choć jednego potwora.

Ale to oznaczałoby śmierć.

Nawet nie miał strzelby.

Ta grupa – jedna czwarta mieszkańców Wayward Pines – zmierzała do wjazdu, gdy została osaczona przez bestie.

Ludzie byli uzbrojeni tylko w kilka maczet. Ale czy broń dla wszystkich cokolwiek by zmieniła? Czy pomogłaby grupie Ethana, gdyby aberracje wpadły na trop tuneli?

Przerażająca myśl.

„Pomyśl o rodzinie”.

„W tej chwili są pod tobą”.

„Potrzebują cię”.

„Potrzebują cię żywego”.

– Ethanie! – zawołała Maggie. – Schodź na dół!

Ethan zobaczył biegnącego mężczyznę. Nigdy jeszcze nie widział, by ktoś tak gnał. Na taką szybkość i wysiłek mógł się zdobyć jedynie człowiek bojący się rychłej, niewyobrażalnej śmierci.

Pędzący na czterech łapach stwór w szybkim tempie zmniejszał dystans, a gdy uciekający się odwrócił, Ethan rozpoznał Jima Turnera, miejscowego dentystę.

Drugi abik zderzył się z Jimem na pełnej prędkości, skręcając mu kark.

Cisnęły się nieuniknione pytania: a gdyby nie wyjawiał prawdy mieszkańcom? Gdyby pozwolił im zabić Kate i Harolda i dał im żyć jak dotychczas? Wtedy ci ludzie z pewnością by nie ginęli.

Ethan ostrożnie opuścił klapę i zszedł do tunelu.

Hecter próbował uspokoić rozhisteryzowaną Maggie.

Ethan dotarł na dno, wymienił pochodnię na strzelbę i rzekł:

– Idziemy.

Ruszyli szybko, bo grupa znikła im z oczu.

– Co się działo na górze? – zapytała Maggie.

Na widok błysku pochodni w oddali Ethan przyspieszył kroku.

– Musimy się skoncentrować na doprowadzeniu naszej grupy w bezpieczne miejsce, to wszystko.

– Czy ludzie ginęli? – dopytywała się Maggie.

– Tak.

– Ilu?

– Myślę, że w końcu zginą wszyscy.

RICHARDSONOWIE

Bob Richardson siadł za kierownicą swego oldsmobile'a cutlass ciery z 1982 roku i włączył silnik, a jego żona Barbara zajęła miejsce obok.

– To najgłupszy pomysł na świecie – stwierdziła.

Bob wrzucił wsteczny i wyjechał na ciemną ulicę.

– A ty co proponujesz? – odparował. – Czekać w domu, aż te stwory się włamią?

– Nie zapaliłeś świateł – zauważyła Barbara.

– Specjalnie, kochanie.

– Nie sądzisz, że usłyszą silnik?

– Może się zamkniesz i dasz mi prowadzić?

– Naturalnie. To będzie bardzo krótka podróż, jako że nie ma dróg, którymi dałoby się wyjechać z tego miasta.

Bob skręcił w Pierwszą Aleję.

Nie chciał tego głośno przyznać, ale rzeczywiście było dość ciemno. Raczej za ciemno na jazdę bez świateł.

Od wielu miesięcy nie siedział za kółkiem i czuł, że nieco wyszedł z wprawy.

Minęli posterunek szeryfa.

Dzięki podniesionym szybom krzyki rozbrzmiewające w mieście prawie nie zakłócały ciszy w samochodzie.

Wkrótce dotarli do rogatek.

Bob dostrzegł przez okno ruch na pastwisku.

– Są tam – powiedziała Barbara.

– Wiem.

Żona wyciągnęła rękę nad jego kolanami i zapaliła światła. Dwie smugi omiotły łąkę. Na pastwisku leżały dziesiątki wypatroszonych krów, a wokół każdej zebrały się napychające się zachłannie abiki.

– Niech to szlag, Barbaro!

Stwory podniosły wzrok, w długich światłach zalśniły krwawe pyski.

Bob wcisnął pedał gazu do oporu.

Samochód śmignął obok billboardu, na którym idealna rodzina z lat pięćdziesiątych uśmiechała się i machała na pożegnanie.

MAMY NADZIEJĘ, ŻE PODOBAŁO CI SIĘ

W WAYWARD PINES!
NIE BĄDŹ OBCY! WRÓĆ WKRÓTCE!

Szosa zagłębiła się w las.

Bob przełączył światła na krótkie; dzięki reflektorom przeciwmgielnym nie musiał jechać okrakiem po podwójnej ciągłej linii.

W wąskim korytarzu między sosnami kłęby mgły sunęły po szosie.

Bob zerkał w lusterko wsteczne, ale widział tylko skrawek chodnika omiatanego czerwonymi tylnymi światłami.

– Jedź szybciej! – ponagliła go żona.

– Nie mogę. Przed nami jest ostry zakręt.

Barbara precyzyjnie się między siedzeniami na tył i kucnęła, wyglądając przez okno.

– Widać coś? – spytał Bob.

– Nie. Co teraz zrobimy?

– Nie wiem. Przynajmniej nie jesteśmy w mieście, w oku cyklonu. Może uda się ukryć wśród drzew i przeczekać to wszystko?

– A jeśli to się nie skończy? – spytała.

Pytanie zawisło między nimi jak czarna chmura.

Szosa wychodząca z miasteczka zaczęła zakręcać, Bob nie przekraczał trzydziestu kilometrów na godzinę.

Barbara płakała na tylnym siedzeniu.

– Żałuję, że on nam powiedział – wyznała.

– O czym ty mówisz?

– Szeryf Burke. To wszystko dzieje się dlatego, że powiedział nam prawdę.

– Pewnie masz rację.

– Nie twierdzę, że uwielbiałam nasze życie w tym mieście, ale wiesz co? – Pociągnęła nosem. – Nie martwiłam się o rachunki. Nie martwiłam się o hipotekę. Ty i ja prowadziliśmy piekarnię.

– Przywykłaś do tego trybu życia.

– Właśnie.

– Ale nie mogliśmy rozmawiać o przeszłości – przypomniał Bob. – Nie widywaliśmy przyjaciół ani krewnych. Zmuszono nas do małżeństwa.

– Nie wyszło wcale tak źle – zauważyła.

Wyjeżdżając z zakrętu, Bob wysunął koniuszek języka.

Droga wychodząca z miasteczka stała się drogą do miasteczka.

Kiedy mijali billboard powitalny, zdjął nogę z gazu.

Przed nimi, pogrążone w ciemności, leżało Wayward Pines.

Bob zwolnił, poczekał, aż auto się zatrzyma, i wyłączył silnik.

– Mamy tu stać? – spytała Barbara.

– Na razie.

– Nie powinniśmy jechać dalej?

– Kończy nam się paliwo.

Barbara wróciła na przednie siedzenie.

– Tam giną ludzie – powiedziała. – W tej chwili.

– Wiem.

– Ten przeklęty szeryf.

– Cieszę się, że to zrobił.

– Co takiego?

– Powiedziałem, że się cieszę.

– Usłyszałam za pierwszym razem. Pytam: dlaczego? Naszych sąsiadów wyrzynają, Bob.

– Byliśmy niewolnikami.

– I jak ci smakuje twoja nowa wolność?

– Jeśli to jest koniec, to cieszę się, że znam prawdę.

– Nie boisz się?

– Jestem przerażony.

Bob otworzył drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – spytała Barbara.

Od blasku lampki nad tablicą rozdzielczą piekły go oczy.

– Muszę chwilę pobyć sam.

– Nie zamierzam wysiadać z samochodu.

– Tak trzymaj, kochanie.

ETHAN

W miarę jak zbliżali się do grupy, Ethan coraz dobitniej uświadamiał sobie kontrast między tym, co widział na górze, a faktem, że jego ludzie nadal żyli tu, w tunelu. Po raz kolejny pomyślał o roli losu i przypadku podczas walki – gdybyś skręcił w lewo zamiast w prawo, kula trafiłaby w oko ciebie, a nie twego przyjaciela. Gdyby Kate poprowadziła swoją grupę do innego wjazdu, na Głównej mógłby zostać rozszarpany Ethan z rodziną. Za żadne skarby nie potrafił wymazać z umysłu Megan Fisher. W Iraku wystarczająco napatrzył się na śmierć i bestialstwo, by wiedzieć, że przez wiele następnych nocy nieszczęsna Megan będzie nawiedzać jego sny. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie opędzi się od myśli w rodzaju: a gdyby położył wszystko na jedną szalę i jednak wyszedł z tunelu? Gdyby zabił stwora, który zaatakował Megan? Ocalił ją? Zniósł pod ziemię? Teraz miał raz po raz odgrywać tę scenę w wyobraźni, aż urośnie do rozmiarów uporczywej fantazji. Wszystko było lepsze niż widok tej kobiety w łapach potwora tam, na środku jezdni. Nadal nosił w sobie – i miał nosić już zawsze – wspomnienia z wojny, obrazy potwornej agonii i cierpienia.

Ale to, co przed chwilą zobaczył, przebijało wszystko.

Ethan, Hecter i Maggie dogonili pozostałych w chwili, kiedy tamci skręcali w kolejny tunel.

„Jedną czwartą ludzkości właśnie zmieciono z powierzchni ziemi”, myślał Ethan.

Wiodąc wzrokiem po rzędzie swoich ludzi, w słabym świetle ujrzał tył głowy Theresy.

Ogarnęło go obezwładniające pragnienie, aby znaleźć się blisko żony i syna.

Megan na ulicy.

„Przestań”.

Megan krzycząca.

„Przestań”.

Megan...

W głębi rozległ się pojedynczy przenikliwy skowyt.

Maggie i Hecter stanęli.

Ethan uniósł strzelbę.

Latarka w dłoni Maggie zaczęła gwałtownie drżeć.

Ethan obejrzał się za siebie.

Ludzie zwolnili – wszyscy usłyszeli skowyt, wszyscy wyciągali szyje, usiłując wejrzeć w mrok tunelu.

– Ruszajcie – rozkazał Ethan. – Choćby nie wiem co się działo, nie zatrzymujcie się.

Posłusznie poszli dalej.

– Chyba coś słyszę – oznajmiła po kilkunastu metrach Maggie.

– Co takiego? – spytał Hecter.

– Jakby... plusk. Ktoś idzie przez wodę.

– To tylko nasi ludzie.

Maggie potrząsnęła głową i wskazała na mrok.

– Odgłos dobiega stamtąd.

– Zatrzymajcie się – polecił Ethan. – Niech wszyscy nas wyprzedzą.

Kiedy ostatni ludzie z grupy zaczęli się oddalać, Ethan zmrużył oczy i utkwiał wzrok w ciemnym tunelu. Teraz i on usłyszał, ale nie były to odgłosy chodzenia.

Ktoś biegł.

W uszach mu zaschło i nagle uświadomił sobie, jak gwałtownie łomocze mu serce.

– Czas wycelować broń, Hecter – powiedział Ethan.

– Coś się zbliża?

– Coś się zbliża.

Maggie zrobiła kilka kroków w tył.

– Wiem, że się boisz, Maggie, ale jesteś naszym światłem – powiedział Ethan. – Bez względu na to, co zobaczysz, nie ruszaj się z miejsca. Jeśli uciekniesz, wszyscy zginiemy. Rozumiesz?

Plusk stawał się coraz głośniejszy, zbliżał się.

– Maggie? Rozumiesz, co mówię?

– Tak – jęknęła cicho.

Ethan załadował strzelbę.

– Hecter, odbezpieczyłeś broń?

– Tak.

Ethan obejrzał się, próbując wypatrzeć Theresę i Bena, ale grupa za bardzo się oddaliła, a oświetlenie było cholernie słabe.

Przytknąwszy do ramienia lufę z czarnego syntetyku, spojrzął w celownik. W mroku jaśniały trzy zielone punkty trytu.

– Strzelasz nabojami, nie śrutem – przypomniał Ethan Hecterowi.

– Czyli nie będzie rozrzutu?

– Otóż to. Celuj dokładnie.

– A jeśli skończą mi się naboje?

– Wtedy będziemy się martwić...

Stwór wypadł z mroku, pędząc na czterech łapach ze zdumiewającą szybkością.

Mknął jak chart.

Ethan wycelował.

Hecter wystrzelił.

Błysk rozjaśnił ciemność i na ułamek sekundy oślepił Ethana.

Kiedy przejrzał na oczy, aberracja znajdowała się siedem metrów, czyli dwie sekundy od nich, i nadal się zbliżała.

– O Boże, o Boże, o Boże, o Boże – dyszała nieprzytomnie Maggie.

Ethan strzelił, kolba kopnęła go w ramię, wystrzał zabrzmiał w tej zamkniętej przestrzeni jak huk działa.

Abik, ze sporym kawałkiem czaszki odstrzelonym od tyłu głowy, znieruchomiał o metr przed butami Ethana.

– O, w mordę – wykrztusił Hecter.

Ethanowi dzwoniło w uszach, więc głos Hectera wydał mu się przytłumiony.

Truchtem pobiegli za grupą, która jawiła się w oddali jako pojedynczy świetlny punkt. Gdy Ethan odzyskał słuch, dobiegł go nowy skowyt rozbrzmiewający echem w korytarzu.

– Szybciej – rozkazał.

Coraz wyraźniej słyszał kroki abików w strumieniu.

Raz po raz oglądał się za siebie, ale widział tylko mrok.

Biegli, Maggie na przedzie, Ethan z Hecterem ramię w ramię, co kilka kroków trącąc się łokciami.

Minęli skrzyżowanie.

W tunelu po prawej rozległy się wrzaski, krzyki, zawodzenie...

HAROLD BALLINGER

Ludzie z tyłu zaczęli krzyczeć pierwsi.

Wrzaski w ciemności.

Ludzkie.

Nieludzkie.

– Biegiem, biegiem, biegiem, biegiem...

– O Boże, one tu są...

– Pomóżcie mi...

– Nie, nie, nie, nieeeee...

Ludzie zaczęli się tłoczyć, padać w wodę.

Kolejne wołanie o pomoc.

Potem agonia.

Wszystko działo się tak cholernie szybko.

Harold chciał tam biec, chciał wrócić, ale nie było już do czego wracać. Wszystkie pochodnie z tyłu zgasły. Tylko mrok i krzyki – hałas odbijał się od ścian kanału – a on myślał, że taki odgłos musi wydawać piekło.

W sąsiednim tunelu usłyszał strzały.

„Kate?”

Tiffany Golden zawołała go po imieniu. Wołała do niego, do wszystkich, żeby się pospieszyli.

– Szybciej! Nie stójcie tak!

Tiffany, z ostatnią pochodnią w dłoni, stała dziesięć metrów dalej.

Ludzie zaczęli się przeciskać obok Harolda.

Czyjeś ramię pchnęło go na popękana betonową ścianę.

Krzyki umierających rozbrzmiewały coraz bliżej.

Harold zaczął biec między dwiema kobietami, które uderzały go łokciami w boki, pędząc ku niknącemu światłu pochodni.

Ocecił, że nie mieli przed sobą długiej drogi. Po trzystu, najwyżej czterystu metrach tunel wychodził na las.

Gdyby zdołali się wydostać, choćby połowa grupy...

Krzyk. Pochodnia w oddali znikła.

Natychmiastowa ciemność.

Krzyki trzykrotnie się nasiliły.

Harold wyczuwał w powietrzu woń paniki.

Część tej paniki emanowała z niego.

Ktoś przewrócił go w wodę, ludzie zaczęli deptać mu po nogach, po całym ciele. Próbował wstać, znów go przewrócili, przełazili przez niego jak przez przeszkodę, ktoś nadepnął mu na głowę.

Przeturlał się na bok i wstał.

Coś przemknęło obok niego w ciemności.

Cuchnęło rozkładem.

Kilka kroków od Harolda jakiś człowiek błagał o pomoc przy wtórze miażdżonych kości i chrząstek.

Harolda przytłoczyło poczucie nierealności, czuł, że lada chwila przestanie panować nad sobą.

Powinien ruszać.

Po prostu biec.

Biedny sukinsyn tuż obok ucichł, słychać było tylko, jak potwór pożera ofiarę.

Jak coś podobnego mogło się dziać naprawdę?

Cuchnący oddech zionął mu w twarz.

Tuż przy nim narastał cichy warkot.

– Nie rób tego – powiedział Harold.

Nagle w gardle poczuł gorąco. Piers stała się wilgotna i ciepła. Wciąż mógł oddychać, nie czuł bólu, ale z szyi chlustała krew.

Kręciło mu się w głowie.

Runął do zimnego strumienia, gdy bestia jednym cięciem rozplatała mu brzuch.

Kiedy aberracja zaczęła się posilać, Harold czuł jedynie odległy, przytępiony ból.

Wszędzie wokół niego rozbrzmiewały jęki i krzyki umierających i przerażonych.

Ludzie wciąż pędzili obok niego, przepychali się ku wybawieniu.

Harold nawet nie jęknął.

Nie walczył.

Sparaliżowany przez szok, utratę krwi, przerażenie.

Nie mógł uwierzyć, że to mu się przydarza.

Bestia zjadała go z łapczywością stworzenia, które od wielu dni nie miało nic w pysku. Tylne pazury przygwoździły nogi Harolda, przednie przyciskały mu ramiona do betonu.

Nadal praktycznie nie odczuwał bólu.

Przyszło mu na myśl, że jest jednym ze szczęściarzy.

Zanim zacznie się prawdziwy ból, umrze.

ETHAN

Czyste ludzkie cierpienie i groza.

Chaos.

– Nie zatrzymujcie się! – zawołał Ethan. – Idźcie dalej!

„Czyżby w sąsiednim tunelu kolejna grupa wpadła w pułapkę?”, myślał.

Niewyobrażalne.

Dać się tutaj zaskoczyć.

Ludzie przełazący przez siebie, by uciec przed potworami.

Pochodnie rzucone na ziemię.

Gasnące w strumieniu.

Pożerani w ciemności.

Z przodu pochodnia grupy Ethana znikła.

– Dokąd oni poszli? – wydyszał Ethan.

– Nie wiem – odparł Hecter. – Światło po prostu znikło.

Z tunelu wyszli na kamieniste dno strumienia, a odgłosy aberracji zostały na chwilę zagłuszone przez łoskot spienionej wody, nieodległej, lecz niewidocznej w mroku.

Ethan spojrzał na zbocze i dostrzegł pochodnie sunące w górę przez las.

– Idźcie za światłem – poleciał Hecterowi i Maggie, wskazując na świetlne punkty.

– Zostajesz? – spytał Hecter.

– Wkrótce dołączę.

Wrzaski abików przebiły się przez szum wodospadu.

– Ruszajcie! – ponaglił Ethan.

Hecter i Maggie zagłębili się w las.

Ethan załadował strzelbę, potem wdrapał się na brzeg, gdzie znalazł płaską półkę. Oczy powoli przystosowywały się do światła. Dostrzegał kontury drzew, nawet wodospad w oddali – oświetlaną przez gwiazdy czarną wodę spływającą ze skał sto kilkadziesiąt metrów nad nim.

Po biegu piekły go mięśnie ud, a mimo chłodu podkoszulek nasiąkł potem.

Abik wypadł z tunelu i zastygł w strumieniu.

Rozejrzał się po nowej okolicy.

Spojrzał na Ethana.

„Zaczynamy”.

Stwór przekrzywił głowę na bok.

Nabój ugodził go w środek tułowia i potwór zwałił się do strumienia.

Z tunelu wypadły dwie kolejne aberracje.

Jedna podbiegła do leżącego towarzysza i wydała niski, pulsujący okrzyk.

Druga pomknęła wprost na Ethana, szorując czterema łapami po kamienistym brzegu.

Błyskawicznie zarepetował strzelbę i strzelił napastnikowi w zęby.

Kiedy stwór padał, drugi był tuż za nim, a z tunelu wybiegały już dwa następne.

Ethan przeładował broń i strzelił.

Dwa kolejne stwory nadbiegały, a za nimi narastały nowe wrzaski.

Pierwszego zdjął strzałem w brzuch, ale nie udało mu się trafić w głowę jego towarzysza.

Załadował nowy nabój.

Strzelił z bliska i trafił tuż pod szyją.

Krew opryskała Ethanowi oczy.

Właśnie ocierał twarz, gdy do zabawy dołączył kolejny abik.

Ethan załadował, wymierzył, pociągnął za spust.

Klik.

„Szlag by to”.

Abik usłyszał ten odgłos.

Zrobił unik.

Ethan odrzucił pustą strzelbę, wyciągnął desert eagle'a i strzelił bestii w pierś.

W powietrzu kłębił się dym, serce Ethana biło jak oszalałe, z tunelu wciąż dobiegały nowe wrzaski.

„Biegnij, biegnij, biegnij!”

Wsunął pistolet do kabury, chwycił strzelbę i oddalił się od strumienia, gramoląc się po piachu wśród skał, aż dotarł do drzew. Pot piekł go w oczy.

W dali widział światła.

Za jego plecami rozlegały się wrzaski.

Zarzuciwszy strzelbę na ramię, pobiegł.

Po minucie odgłosy aberracji brzmiały już inaczej.

Wydostały się z tunelu.

Cała chmara.

Nie oglądał się za siebie.

Biegł dalej.

Ciągle w górę.

CZEŚĆ III

ADAM TOBIAS HASSLER

Ekspedycja Hasslera Północno-zachodnie Wyoming 678 dni wcześniej

Wzdłuż brzegu widnieje pas alg w jaskrawych barwach, tu i tam z płynnego podziemnego świata wypływają strużki wody mineralnej. W powietrzu unosi się intensywna woń siarki i innych minerałów.

Hassler rozbiera się do naga w padającym śniegu, ubranie i sprzęt chowa pod cuchnącą kamizelką. Potem biegnie po trawie, daje nura i jęczy z rozkoszy.

Na środku stawu woda jest głęboka, przejrzysta i błękitna jak niebo.

Niedaleko brzegu znajduje półmetrową płyciznę i wyciąga się na spadzistej, długiej i gładkiej skale.

Czysta, nieskrępowana rozkosz.

Zupełnie jakby to miejsce do tego właśnie stworzono.

Pada śnieg. Hassler wyleguje się w wodzie o temperaturze czterdziestu stopni, przymyka powieki i delektuje się stanem, który przypomina mu, jak się czuł, gdy był prawdziwym człowiekiem, żyjącym w przytulnym, cywilizowanym świecie pełnym wygód, a możliwość śmierci nie przesłaniała cieniem każdej chwili.

Jednak myśl o tym, gdzie i dlaczego się znajduje, nigdy nie jest odległa. Niespokojny głos – ten sam, który pozwalał mu pozostać przy życiu w ciągu minionych sześciuset iluś tam dni w dziczy – szepcze, że zatrzymywanie się na kąpiel w tym stawie było głupotą. Niepoważnym folgowaniem sobie. To nie jest spa. Lada chwila może się pojawić chmara aberracji.

Zazwyczaj Hassler zachowuje czujność, ale ten staw jest istnym darem, a on wie, że wspomnienie tej kąpieli będzie dodawać mu sił w nadchodzących tygodniach. Poza tym mapa i kompas są bezużyteczne podczas burzy śnieżnej. Postanowił przeczekać złą pogodę.

Ponownie zamyka oczy, czuje płatki lądujące na rzęsach.

W oddali słyszy odgłos podobny do dźwięku wody wydmuchiwanej przez wieloryba – to eksplodował jeden z pomniejszych gejzerów.

Jego własny uśmiech wprawia go w zdumienie.

Pierwszy raz zobaczył to miejsce na wyblakłych kolorowych zdjęciach w tomie Encyklopedii Britannica oznaczonym literami „XYZ”: lata sześćdziesiąte, ludzie obserwują z chodnika dla turystów, jak gejzer Old Faithful wyrzuca wrzącą wodę.

Od dzieciństwa marzył o tym, by tu przyjechać. Nie przyszło mu na myśl, że po raz pierwszy odwiedzi Yellowstone w takich okolicznościach.

Dwa tysiące lat później, kiedy świat diabli wzięli.

** * **

Hassler bierze garść żwiru i zaczyna ścierać brud, który oblepił mu ciało niczym odzież ochronna. Na środku stawu, gdzie woda zakrywa mu głowę, zanurza się całkowicie.

Czysty po raz pierwszy od miesiący, wypęła z wody i siada na oszronionej trawie, żeby wyschnąć.

Ramiona mu parują.

Od gorąca zaczyna mu się kręcić w głowie.

Zimozielone rośliny na łące przypominają duchy, prawie niewidzialne za welonem pary i śniegu.

I wtedy...

Coś, co uznał za krzak, zaczyna pełznąć.

Hasslerowi zamiera serce.

Prostuje się i mruży oczy.

Nie potrafi określić, jak daleko od niego jest obiekt, ale z pewnością nie dalej niż sto metrów. Z tej odległości łatwo go wziąć za czołgającego się człowieka, ale na świecie nie ma już ludzi. W każdym razie nie ma ich za zelektryfikowanym ogrodzeniem najeżonym drutem kolczastym, które otacza Wayward Pines.

Cóż, właściwie jest jeden człowiek.

On.

Postać się zbliża.

Nie.

Postacie.

Trzy.

„Ty idioto”.

Hassler jest nagi, a jego najlepsza broń – magnum .357 – tkwi w kieszeni kamizelki na brzegu stawu.

Jednak nawet smith & wesson nie zdałby się na wiele w bliskim starciu z trzema przeciwnikami podczas śnieżycy. Gdyby był przygotowany, gdyby dostrzegł je w oddali, mógłby zdjąć jednego stwora czy dwa winchesterem. Ostatniemu strzeliłby z rewolweru prosto w czaszkę.

Ten tok rozumowania jest bezużyteczny.

Abiki zbliżają się do stawu.

Hassler bezgłośnie wraca do wody i zanurza się po szyję. Prawie nie widzi wrogów przez kłęby pary, modli się, by zła widoczność okazała się bronią obosieczną.

Aberracje są coraz bliżej, a Hassler zanurza się po oczy.

To dorosła samica z dwójgiem smuklejszych młodych, każdym ważącym około pięćdziesięciu kilo, czyli śmiertelnie groźnym. Hassler widział już, jak mniejsze osobniki powalają dorosłego bizona.

Samica ma rozmiary obu młodych razem.

Z odległości dwudziestu metrów Hassler patrzy, jak samica zatrzymuje się przy jego ubraniu i sprzęcie.

Zbliża nozdrza do kamizelki.

Młode podchodzą za matką i też niuchają.

Hassler podnosi się o kilka milimetrów, wynurza nos tuż nad powierzchnię wody.

Długim wydechem wyrzuca z płuc tyle powietrza, by zanurkować.

Po chwili siedzi na kamienistym dnie stawu.

Z drobnych szczelin pod jego nogami strzelają strumienie gorącej wody.

Hassler zamyka oczy, a w miarę jak rośnie ból w płucach, brak tlenu daje o sobie znać w postaci świetlnych eksplozji.

Wbija paznokcie w uda.

Pragnienie oddechu gwałtownie rośnie.

Jest wszechogarniające.

W końcu nie może już wytrzymać, wynurza się i łapie haust powietrza.

Aberracje zniknęły.

Powoli, centymetr za centymetrem, odwraca się w wodzie...

Zastyga.

Pragnienie, by rzucić się w tył i po prostu czmychnąć, jest niemal nieodparte.

Trzy metry dalej, na brzegu stawu, siedzi jeden z młodych abików.

Nieruchomo.

Z głową lekko przekrzywioną na bok.

Zafascynowany.

Czyżby obserwował własne odbicie?

Hassler napatrzył się na te potwory więcej, niżby sobie życzył, ale głównie przez celownik strzelby. Z oddali.

Jeszcze nigdy, niezauważony, nie znajdował się tak blisko jednego z nich.

Hassler nie może oderwać oczu od jego serca; pulsujący mięsień widać wyraźnie pod przezroczystą skórą, krew płynie tętnicami – purpurowe arterie zbiegają się w centrum tułowia. Wszystko jest zamazane i przyćmione, jak za kwarcową płytką.

Abik ma drobne oczka, przywodzące mu na myśl czarne diamenty, twarde i nie z tego świata.

O dziwo jednak, to nie przerażające cechy stwora tak bardzo niepokoją Hasslera.

Łapy o pięciu pazurach, rzędy ostrych jak brzytwa zębów i przytłaczająca siła fizyczna nie są w stanie przesłonić ludzkich cech aberracji. Te stworzenia najwyraźniej wyewoluowały od nas i oto świat należy do nich. David Pilcher, szef Hasslera i twórca Wayward Pines, ocenia, że tylko na tym kontynencie żyje ich pół miliarda.

Para jest gęsta, ale Hassler nie ma odwagi ponownie zanurkować.

Nie rusza się.

Abik nieustannie przygląda się swemu odbiciu w wodzie.

Albo dostrzeże Hasslera, który wtedy zginie, albo...

W oddali rozlega się krzyk matki.

Młody unosi głowę.

Matka krzyczy znowu, groźnie i natarczywie.

Abik czmycha.

Hassler nasłuchuje, jak trójka oddala się od stawu, a kiedy ryzykuje najdrobniejszy ruch – szybki skręt szyi – aberracje znikają w śnieżycy.

** * **

Hassler czeka, aż śnieg przestanie padać, bezskutecznie. W końcu wychodzi ze stawu, strzepuje z kamizelki siedmiocentymetrową warstwę puchu, suszy stopy i wsuwa je w buty.

Kamizelkę zarzuca na mokre ciało, chwytając sprzęt i truchta przez polanę ku kępie sosen. Nurkuje pod niskie gałęzie, które osłaniają ziemię równie dokładnie jak dach kryty strzechą. Drżąc, rzuca wszystko i rozdziera plecak. Na samej górze leżą porosty, a pod nimi suche szczapki, które zebrał rano.

Porosty zajmują się od trzeciej iskry.

Kiedy szczapki zaczynają się palić trzaskającym ogniem, Hassler odrywa kilka większych gałęzi i łamie je na kolanie.

** * **

Ogień buzuje.

Chłód się zmniejsza.

Nagi Hassler grzeje się przy ognisku.

Po chwili ubiera się, wygodnie opiera plecami o drzewo i wystawia dłonie do ognia.

Poza jego kryjówką na łąkę sypie gęsty śnieg.

Nadchodzi noc.

Jest mu ciepło.

Jest suchy.

I jak na razie...

Żywy.

Biorąc wszystko pod uwagę, w tym zasranym nowym świecie na koniec długiego, zimnego dnia człowiek nie może liczyć na nic więcej.

** * **

Kiedy znów otwiera oczy, prześwitujące przez gałęzie niebo jest ciemnobłękitne, a polanę przykrywa trzydziestocentymetrowa warstwa połyskującej bieli.

Ognisko zgasło wiele godzin temu.

Młode drzewka na łące uginają się pod ciężarem śniegu jak małe łukowate bramki.

Dzięki gorącym źródłom po raz pierwszy od wielu miesięcy Hassler staje na równych nogach i nie sztywnieje jak zardzewiały zawias.

Chce mu się pić, ale jego woda zamarzła przez noc.

Zjada akurat tyle suszonego mięsa, by odegnać wściekły głód, który zawsze wita go po przebudzeniu.

Unosząc strzelbę, przez celownik lustruje polanę w poszukiwaniu ruchu.

Jest o kilkanaście stopni zimniej niż wczoraj – pewnie z osiemnaście poniżej zera – więc nad gorącymi źródłami unoszą się nieprzerwanie kłęby pary.

Poza tym w rozległym zimowym krajobrazie nic się nie porusza.

Hassler wydobywa kompas i mapkę, potem zarzuca plecak.

Wypełznawszy spod niskich gałęzi, rusza przez łąkę.

Zimno, wszystko trwa w bezruchu, wschodzi słońce.

Pośrodku łąki przystaje i bada okolicę przez celownik winchestera.

Przynajmniej przez chwilę świat należy tylko do niego.

** * **

W miarę jak słońce wspina się coraz wyżej, odbłask śniegu zaczyna boleśnie razić. Hassler chętnie by się zatrzymał, by wyjąć okulary przeciwsłoneczne, ale upragniona ciemność lasu jest już w jego zasięgu.

Cały las składa się z sosen wydmowych.

Blisko siedemdziesięciometrowe olbrzymy mają proste, smukłe pnie i wąskie korony.

Wędrówka przez las jest znacznie bardziej niebezpieczna, toteż na skraju drzew Hassler wyciąga z kieszeni kamizelki rewolwer i sprawdza magazynek.

Las pnie się coraz wyżej.

Słońce przeciska się przez sosny świetlistymi plamami.

** * **

Hassler wspina się na górski grzbiet.

Jego oczom ukazuje się jezioro połyskujące jak klejnot. Przy brzegu woda zamarzła, ale na środku nie. Siada na zbielełym pniaku i przysuwa kolbę strzelby do ramienia.

Jezioro jest ogromne. Hassler lustruje brzeg. W kierunku, w którym zamierza iść, rozciąga się nieskazitelna połać połyskliwej bieli.

Po przeciwnej stronie – parę kilometrów od niego – na zakrwawionym śniegu dostrzega samca abika, wywlekającego długie sznury wnętrzości z potężnego niedźwiedzia grizzly, któremu rozorał gardło.

Hassler rusza w dół łagodnym zboczem.

Na brzegu jeziora ponownie studiuje mapę.

Las schodzi prawie nad samą wodę. Idąc między brzegiem a drzewami, Hassler kieruje się ku zachodniej stronie jeziora.

Wędrówka po śniegu go wyczerpała.

Zdejmuje strzelbę z ramienia i osuwa się na ziemię nieopodal wody. Z bliska widzi, że lód nie jest gruby, to tylko krucha warstwa po całonocnych przymrozkach. Ten śnieg spadł wcześniej. O wiele za wcześniej. Według jego obliczeń jest dopiero lipiec.

Ponownie lustruje przez celownik linię brzegową.

Lasy za plecami.

Nie porusza się nic prócz abika po drugiej stronie jeziora, który napycha się, zanurzwszy całą głowę w brzuchu niedźwiedzia.

Hassler opiera się o plecak i wyjmuje mapę.

Nie ma wiatru, a ponieważ słońce stoi dokładnie nad nim, ciepło przenika go do samych kości.

Wprost ubóstwia poranki, to bez wątpienia jego ulubiona pora dnia. Gdy człowiek budzi się o świtaniu i jeszcze nie wie, co przyniesie dzień, jest w tym jakaś nadzieja. Pod względem emocjonalnym najgorsze są późne popołudnia, kiedy zapada mrok, a wraz z nim nadchodzi pewność, że czeka go kolejna samotna noc pełna śmiertelnych niebezpieczeństw.

Ale przynajmniej teraz noc wydaje się bardzo odległa.

Myśli Hasslera raz jeszcze wędrują na północ.

Do Wayward Pines.

Do dnia, kiedy dotrze do ogrodzenia i znów będzie bezpieczny.

Do małego wiktoriańskiego domu przy Szóstej.

Do kobiety, którą kocha gwałtownie, choć nigdy tego w pełni nie pojmie. Tylko dla niej dobrowolnie porzucił życie w 2013 roku i zgodził się poddać zawieszeniu funkcji życiowych na dwa tysiące lat, nie mając pojęcia, w jakim świecie się obudzi. Jednak sama świadomość, że będzie tam żyła Theresa Burke, a jej mąż od dawna będzie martwy, wystarczyła z nawiązką, by Hassler położył wszystko na jednej szali.

Koreluje mapę z kompasem.

Najbardziej charakterystycznym punktem tego regionu jest trzytysięcznik, noszący niegdyś nazwę Sheridan. Najwyższe trzysta metrów bieleje na tle purpurowego nieba ponad linią drzew. Hulający na szczycie wiatr wzbija wstęgi śniegu.

W doskonałych warunkach godzina drogi.

Przy trzydziestocentymetrowej warstwie świeżego śniegu – dwie do trzech.

Na razie wznosząca się przed nim góra stanowi po prostu jego północ.

Wyznacza drogę do domu.

RICHARDSONOWIE

Bob wysiadł z samochodu i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

W lesie panowała cisza, krzyki z miasteczka dochodziły z oddali.

Odszedł kilka kroków, próbował zebrać myśli.

Wyjazd z miasteczka okazał się trafnym wyborem. Nadal żyli.

Lampka nad tablicą rozdzielczą zgasła.

Zapadła ciemność.

Bob osunął się na chodnik i wtulił twarz w kolana. Cicho załkał. Po minucie usłyszał, jak otwierają się drzwi auta, na drogę padły barwne światła z jego wnętrza.

Podeszła Barbara.

– Powiedziałem, że chcę chwilę побыć sam – powiedział Bob.

– Ty płaczesz?

– Nie. – Otarł oczy.

– O Boże, ty płaczesz.

– Zostaw mnie, proszę.

– Czemu płaczesz?

– To nie wystarczy? – Wskazał dłonią w stronę miasteczka.

Barbara usiadła obok niego.

– Miałeś kogoś, prawda? – spytała. – To znaczy przed Wayward Pines.

Nie odpowiedział.

– Żonę?

– Miał na imię...

– Miał?

– Paul.

Siedzieli na drodze.

Przez chwilę słychać było tylko ich oddechy.

– To musiało być dla ciebie okropne – powiedziała w końcu Barbara.

– Jestem pewien, że i tobie nie było lekko.

– Nigdy nie sprawiałeś wrażenia, że...

– Przykro mi.

– Mnie też.

– To chyba w żadnej mierze nie jest twoja wina, prawda? Przecież to nie był twój wybór, Barbaro.

Wcześniej nie miałaś męża, co?

– Byłeś moim pierwszym. Pod wieloma względami.

– Boże, tak mi przykro.

– To chyba w żadnej mierze nie jest twoja wina? – Barbara się zaśmiała. – Pięćdziesięcioletnia dziewczica...

– I gej.

– Jak w kiepskim filmie.

– Prawda?

– Jak długo ty i Paul...?

– Szesnaście lat. W głowie mi się nie mieści, że on nie żyje, wiesz? Nie żyje od dwóch tysięcy lat.

Zawsze sądziłem, że znowu się spotkamy.

– Może jeszcze tak się stanie.

– Miło, że to mówisz.

Barbara wzięła męża za rękę i powiedziała:

– Przez te ostatnie pięć lat byłeś wszystkim, co miałam, Bob. Zawsze się o mnie troszczyłeś.

Szanowałeś mnie.

– Chyba wykorzystaliśmy sytuację najlepiej, jak mogliśmy.

W dolinie rozległy się strzały.

– Nie chcę umrzeć tej nocy, kochanie – powiedziała.

– Nie dopuszczę do tego – zapewnił Bob, ściskając jej dłoń.

BELINDA MORAN

Stara kobieta siedziała w skórzanym fotelu z wysuniętym podnóżkiem, na kolanach trzymała tacę obiadową. Przy świecach odwracała karty; była w połowie pasjansa.

W sąsiednim domu mordowano jej sąsiadów.

Kobieta cicho pomrukiwała pod nosem.

Wyciągnęła waleta pik.

Położyła go na damie kier w środkowej kolumnie.

Następną kartą była szóstka karo, która trafiła na siódmkę pik.

Coś runęło na drzwi wejściowe.

Kobieta nadal odwracała karty.

Kładła je na właściwe miejsca.

Dwa kolejne uderzenia.

Drzwi otwały się na oścież.

Podniosła wzrok.

Do domu wpełzł potwór, na widok siedzącej kobiety zawarczał.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – oznajmiła. – Nie sądziłam, że zajmie ci to aż tyle czasu.

Dziesiątka treflowa. Hmm. Na razie nie ma na nią miejsca. Z powrotem na kupkę.

Abik podpełzł bliżej. Spojrzała w drobne, czarne oczka.

– Nie wiesz, że wchodzenie do cudzego domu bez zaproszenia jest niegrzeczne? – spytała.

Głos kobiety sprawił, że stwór zamarł i przekrzywił głowę.

Krew – niewątpliwie jednego z jej sąsiadów – kapiała z jego piersi na podłogę.

Belinda położyła następną kartę.

– Obawiam się, że to jest gra dla jednej osoby – rzekła. – W dodatku nie mam herbaty, żeby cię poczęstować.

Stwór otworzył pysk i zaskrzeczał jak upiorne ptaszysko.

– To nie jest twój wewnętrzny głos – zauważyła ostro Belinda.

Abik cofnął się o kilka kroków.

– Ha! – Zaklaskała. – Właśnie wygrałam.

Zebrawszy karty, przełożyła talię, potem potasowała.

– Całymi dniami mogę stawiać pasjansa – powiedziała. – Życie nauczyło mnie, że czasami człowiek najlepiej bawi się sam.

Z gardła stwora znów dobył się warkot.

– Masz natychmiast przestać! – krzyknęła. – Nie życzę sobie, żeby w ten sposób zwracano się do

mnie w moim domu.

Warkot przeszedł w swego rodzaju mruczenie.

– Tak już lepiej – stwierdziła Belinda, rozkładając nowe rozdanie. – Przepraszam za swój wybuch.

Czasem ponoszą mnie nerwy.

ETHAN

Światło w oddali się przybliżało, ale wokół niego panował nieprzenikniony mrok.

Co kilka kroków potykał się i chwycił gałęzi, obcierając dłonie.

„Czy abiki są w stanie nas wytropić – myślał – po zapachu? Odgłosach? Wzrokiem? Za pomocą wszystkich zmysłów naraz?”

Pochodnie znajdowały się już blisko.

W ich blasku dostrzegł swoją grupę.

Wyszedł z lasu u podnóża urwiska.

Ludzie wspinali się już jak rząd mrówek, pochodnie w górze jaśniały na skale niczym lampki choinkowe.

Dotychczas Ethan odbył tę drogę tylko raz, kiedy postanowił przeniknąć do Wędrowców, tajnego bractwa Kate i Harolda.

W skale wykuto stopnie i uchwyty, obok przynitowano stalowe kable, biegnące ostrym trawersem.

U stóp zbocza stał tuzin ludzi, czekających na swoją kolej. Ethan rozejrzał się za żoną i synem, ale ich nie zobaczył.

– To zły pomysł – stwierdził Hecter, podchodząc pod skałę. – Kazać dzieciakom wspinać się w nocy po kablach.

Ethan pomyślał o Benie, ale natychmiast wyrzucił tę myśl z głowy.

– Ile ich nadchodzi? – spytał Hecter.

– Więcej, niż jesteśmy w stanie przyjąć.

W dole rozległ się trzask gałęzi.

Nie odrywając wzroku od skraju lasu, Ethan zaczął ładować do magazynka naboje dwunastki, których garść miał w kieszeni.

Po załadowaniu ostatniego wycelował strzelbę w linię drzew.

„Jeszcze nie – pomyślał – proszę, jeszcze chwilę”.

– Już czas – powiedział Hecter, klepiąc Ethana w ramię.

Chwycili lodowaty kabel i zaczęli się wspinać.

Kiedy dotarli do trzeciego trawersu, las w dole zahuczał od wrzasków i krzyków.

Nad drzewami wznosiły się rozdzierające jęki.

Najbliższa pochodnia znajdowała się siedem metrów wyżej, ale skałę oświetlały liczne gwiazdy.

Ethan spojrział w dół urwiska w chwili, gdy spomiędzy drzew wypadł pierwszy abik.

Potem kolejny.

I jeszcze jeden.

Później pięć następnych.

Potem dziesięć.

Po chwili u podnóża kłębiło się trzydzieści stworów.

Nie przestawał się wspinać, koncentrując się na chwytaniu kabli i uważnym stawianiu nóg, ale ilekroć spoglądał w dół, widział więcej aberracji.

Skała wznosiła się pionowo.

Zastanawiał się, jak poradzili sobie Theresa i Ben.

Czy byli już bezpieczni w Jaskini Wędrowców?

Nagle poraził go krzyk.

Bliżej, bliżej, bliżej, bliżejbliżejbliżej...

Krzyk gwałtownie narastał, aż Ethan usłyszał go tuż nad sobą.

Podniósł wzrok i zobaczył spadającego człowieka, który wymachiwał rękami. Oczy miał wytrzeszczone z przerażenia.

Nieszczęśnik chybił Ethana o kilka centymetrów, uderzył głową o półkę skalną parę metrów niżej, wykonał salto i bezgłośnie runął w głąb urwiska.

„Jezu”.

Pod Ethanem ugięły się nogi.

W lewej stopie poczuł drżenie.

Przywierając do skały, złapał za wykuty występ. Zamknął oczy, czekając, aż ustąpi panika.

Groza minęła.

Wspinał się dalej, opierając stopy na zardzewiałym kablu i podciągając się, podczas gdy aberracje rozszarpały człowieka, który ześlizgnął się ze skały.

Po pewnym czasie Ethan dotarł do szerokiego na piętnaście centymetrów drewnianego chodnika, biegnącego trawersem po zboczu.

Hecter znajdował się już w połowie jego długości.

Ethan ruszył za nim.

Las znajdował się teraz sto metrów w dole.

Gdzieś tam leżało Wayward Pines, pogrążone w ciemności, ale rozbrzmiewające przerażającymi krzykami.

Na skale pod sobą Ethan dostrzegł ruch.

Wdrapywały się ku niemu białe postacie.

– Są na zboczu! – zawołał do Hectera. Ten spojrział w dół.

Aberracje wspinały się szybko, nieustraszenie, jakby upadek nie wchodził w grę.

Jedną dłonią przytrzymując się kabla, Ethan próbował porządnie uchwycić strzelbę.

Nic z tego.

– Chodź tutaj! – krzyknął do Hectera.

Ten niezdarnie wykonał półobrót na wąskim chodniku i zawrócił.

– Przytrzymaj mnie za pasek – rozkazał Ethan.

– Czemu?

– Za mało tu miejsca, żebym stanął i wycelował.

– Nie rozumiem.

– Jedną dłonią przytrzymaj mnie za pasek, drugą trzymaj się kabla. Wychylę się i strzelę jak trzeba.

– Rozumiem, że zapiąłeś klamrę od paska? – spytał Hecter.

– To dobra klamra. Trzymasz mnie?

– Trzymam.

Dopiero po kilku sekundach Ethan opanował nerwy.

Puścił kabel, zsunął z ramienia pasek strzelby i ustawił świetlny celownik w stronę zbocza.

Abiki wspinały się zwartą grupą. Ethan starał się skoncentrować, przegnać strach, ale wciąż widział tego człowieka spadającego wprost na niego, głowę roztrzaskującą się na skałach.

Wrzask.

Cisza.

Wrzask.

Cisza.

Żołądek podszedł mu do gardła. Miał wrażenie, że świat jednocześnie pędził na niego i odpadał.

„Weź się w garść”.

Ustawił celownik na przywódcy grupy.

Strzelba kopnęła go na skałę, wystrzał poniósł się echem po dolinie, odbił od zachodniej ściany, wrócił.

To był celny strzał.

Stwór zaskrzeczał przeraźliwie i stoczył się ze skały, strącając cztery inne jak kręgle.

Pozostałe twardo wspinały się dalej, znajdowały się już o dwadzieścia metrów od chodnika.

Ethan znowu wychylił się zza półki skalnej, usłyszał jęk Hectera i wyobraził sobie, jak kabel wrzyna się mu w palce.

Pozostałe aberracje poszły po rozum do głowy i się rozdzieliły.

Nie spiesząc się, strzelał do nich od lewej do prawej.

Bez pudła.

Patrzył, jak spadają w ciemność, pociągając za sobą kilka innych, które właśnie rozpoczęły

wspinaczkę.

Wystrzelał całą amunicję.

– Dobra – powiedział.

Hecter wciągnął go z powrotem na chodnik, pospiesznie ruszyli dalej, przeszli po skalnym zboczu i skręcili za załomem.

Po rozszerzającej się półce zagłębiali się we wnętrze góry.

Ethan prawie nic nie widział. Wejście do jaskini było zamknięte.

Załomotał.

– Jest tu jeszcze dwóch! Otwierać!

Po drugiej stronie przesunęła się zasuwą, skrzypnęły zawiasy i drzwi ustąpiły.

Podczas pierwszej wizyty Ethan nie zwrócił na nie uwagi, ale teraz przyjrzał się im uważnie.

Poziomo ułożone sosnowe bale połączono zaprawą murarską, złożoną głównie z ziemi.

W ślad za Hecterem wszedł do jaskini.

Kate zamknęła za nim drzwi i zasunęła ciężką, stalową sztabę.

– Moja rodzina... – zaczął Ethan.

– Są tu, cali i zdrowi.

Ujrawszy nieopodal sceny Theresę i Bena, złożył dłonie w kształt serca. Potem powiódł wzrokiem po jaskini o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych, oświetlonej lampami naftowymi zwisającymi na drutach z niskiego sklepienia.

Nieliczne meble.

Zarówno bar po lewej, jak i scena po prawej wyglądały na sklecone z odpadków drzewnych. Na sporym palenisku w głębi ktoś już rozpalał ogień.

Ethan oceniał, że zebrała się tu zaledwie setka ludzi. Wszyscy skulili się wokół pochodni, oczy połyskiwały w ich blasku.

– Gdzie są inne grupy? – spytał Ethan.

Kate potrząsnęła głową.

– Jesteśmy tylko my?

Kiedy łzy napłynęły jej do oczu, przytulił ją i obiecał:

– Znajdziemy Harolda.

Za drzwiami rozlegały się wrzaski aberracji.

– Gdzie nasza armia? – zapytał Ethan.

– Tutaj.

Wtedy spojrział na kilku przerażonych ludzi, którzy nie zadawali sobie nawet trudu, by trzymać broń.

Jednym słowem: zbieranina.

Ethan ponownie sprawdził wejście. Solidna, gruba na ponad centymetr sztaba biegła przez całą półtorametrową szerokość drzwi, wyciętych zręcznie tak, by pasowały do łukowatego wejścia. Framuga wyglądała na trwałą.

– Moglibyśmy stanąć tuż za drzwiami – zaproponowała Kate. – Strzelalibyśmy do wszystkiego, co próbowałoby się przedostać korytarzem.

– Nie podoba mi się ten plan. Nie mamy pojęcia, ile stworów nadchodzi, poza tym, bez obrazy... – Ethan powiódł wzrokiem po przerażonych twarzach wokół siebie. – Ilu z was potrafi strzelać celnie w zaistniałej sytuacji? Tych stworzeń nie powala się łatwo. Ci z was, którzy mają magnum, powinni za każdym razem trafiać w głowę. Nie, sędzę, że powinniśmy zostać tutaj. Módlmy się, żeby te drzwi wytrzymały.

Następnie Ethan odezwał się do reszty grupy:

– Chcę, żeby wszyscy odsunęli się pod ścianę w głębi jaskini. Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Zachowajcie ciszę.

Ludzie zaczęli się oddalać od sceny i baru, gromadząc się przy sofach pod ścianą.

– Zostaniemy tutaj, przed drzwiami – zwrócił się Ethan do Kate. – Cokolwiek przejdzie, zginie. Gdzie torba z nabojami?

– Mam ją tu – odparł młody człowiek pracujący w mleczarni.

Ethan wziął torbę, postawił na podłodze, klęknął i powiedział:

– Poproszę o trochę światła.

Maggie uniosła pochodnię nad jego głową.

Ethan poszperał w torbie, wyjął pudełko z nabojami kaliber siedemdziesiąt milimetrów do swego winchestera, potem rozdał wszystkim zapas amunicji.

Oddaliwszy się o siedem metrów od drzwi, załadował mossberga, a w jaskini zapanowało niepokojące milczenie.

Za strzelcami Maggie i jeden z mężczyzn trzymali pochodnie.

Kate, uzbrojona w strzelbę, stała obok Ethana, a on słyszał, że z trudem walczy o zachowanie spokoju.

Nagle w korytarzu dał się słyszeć ruch.

Kate wzięła gwałtowny wdech, otarła oczy.

Ethan czuł, że zbliża się walka. Obejrzał się, szukając w tłumie rodziny, ale Ben i Theresa skryli się w cieniu. Pogodził się z myślą o własnej śmierci, lecz nie zniósłby widoku aberracji, która rozszarpuje jego jedyne syna i patroszy żonę. Po czymś takim nie byłoby dalszego ciągu. Nawet gdyby pozostał przy życiu, nie przetrwałby.

Jeśli abiki sforsują drzwi, jeśli będzie ich więcej niż dziesięć, wszyscy zginą potworną śmiercią.

Spodziewał się wrzasku, ale usłyszał tylko stukot szponów na kamiennym chodniku.
Coś skrobało w bale, potem zaczęło chrobotać wokół metalowej klamki.

CZEŚĆ IV

PILCHER

Miasteczko Wayward Pines było zrujnowane – budynki do góry nogami, samochody porzucane, rozorane drogi. Zniszczono nawet szpital, którego górne trzy kondygnacje zostały zmiecione. Najbardziej ucierpiał dom Ethana – został dosłownie zmiażdżony, topole na tylnym podwórzu trzasnęły jak zapałki i wpychały się przez okna.

Ten architektoniczny model Wayward Pines David Pilcher zamówił w 2010 roku, nie szczędząc pieniędzy; całość zamknęła się kwotą trzydziestu pięciu tysięcy dolarów. Przez dwa tysiące lat oszklona miniatura stanowiła główną ozdobę jego gabinetu, będąc symbolem nie tylko samego miasta, ale także niezaspokojonej ambicji jego twórcy.

Zniszczenie modelu zajęło mu piętnaście sekund.

David Pilcher siedział na skórzanej sofie i oglądał na monitorach unicestwienie rzeczywistego miasta.

Wcześniej wyłączył dopływ prądu do całej doliny, ale kamery działały na baterie, a większość mogła pracować w trybie nocnym. Krzyki potwierdzały to, co widziały kamery, a te porozmieszczano w niemal wszystkich pomieszczeniach wszystkich domów. We wszystkich instytucjach. W krzakach. W ulicznych latarniach. Trzeba przyznać, że kamery, uruchamiane przez chipy zaszyte w ciałach wszystkich mieszkańców Wayward Pines, tej nocy miały mnóstwo roboty.

Niemal wszystkie monitory się włączyły.

Na jednym z ekranów abik gonił kobietę po schodach.

Na innym – trzy stwory rozszarpały mężczyznę w kuchni.

Tłum próbował uciec Główną przed stadem aberracji, ale te dogoniły nieszczęśników przed sklepem ze słodyczami.

Jedna z nich pożerała Belinę Moran siedzącą w fotelu.

Rodziny pędziły korytarzami.

Rodzice usiłowali osłonić dzieci przed grozą, której nie mogli powstrzymać.

Ekran wypełniony cierpieniem, przerażeniem, rozpaczą.

Pilcher pociągnął łyk z butelki szkockiej z 1925 roku i próbował dociec, co właściwie powinien czuć. Oczywiście historia znała podobny przypadek. Kiedy boże dzieci się zbuntowały, Stwórca spuścił im sprawiedliwe lanie.

Cichy głos, który Pilcher już dawno nauczył się ignorować, zaczął szeptać w jego głowie, zagłuszany przez huragan szaleństwa: „Naprawdę wierzysz, że jesteś ich Bogiem?”.

Czy Bóg zapewnia codzienny byt?

Owszem.

Czy Bóg ochrania?

Owszem.

Czy Bóg stwarza?

Owszem.

Wniosek?

„Jestem, kurwa, Bogiem”.

Poszukiwanie sensu stanowiło główną przyczynę ludzkiego niepokoju, ale Pilcher usunął tę przeszkodę. Czterystu sześćdziesięciu jeden mieszkańcom tej doliny zapewnił egzystencję, o jakiej im się nie śniło. Dał im życie i cel, schronienie i wygodę. Tylko dlatego, że ich wybrał, stali się najważniejszymi przedstawicielami swego gatunku, odkąd *homo sapiens* zaczął wędrować po sawannach Afryki dwieście tysięcy lat temu.

Sami sobie zgotowali ten los. Domagali się pełnej wiedzy, wiedzy, na której przyjęcie nie byli gotowi. Kiedy zaś Ethan Burke wyjawiał im prawdę, zwrócili się przeciwko swemu stwórcy.

Mimo to widok ich śmierci na ekranach sprawiał Pilcherowi ból.

Cenił sobie ich życie. Bez ludzi cały ten projekt mijał się z celem.

Mimo to – pieprzyć ich. Niech ich aberracje porwą.

Wciąż miał kilkaset osób w stanie zawieszenia funkcji życiowych. Nie pierwszy raz zaczynałby od zera, a jego ekipa we wnętrzu góry z czystym i całkowitym oddaniem na pewno udzieli mu bezwarunkowego poparcia. To były jego zastępy anielskie.

Pilcher wstał, zachwiał się, zygzakiem podszedł do biurka. W superstrukturze nikt prócz niego nie wiedział, co się działo w dolinie. Wcześniej polecił Tedowi Upshawowi wyłączyć na noc monitoring. Teraz musiał popracować nad ujawnieniem tego, co zrobił.

Osunął się na krzesło, podniósł słuchawkę i wybrał numer drogiego, starego Teda.

PAM

W ciemności próbowała wymacać ogrodzenie. Od rany, którą Ethan Burke zadał jej z tyłu lewego uda, ból promieniował na całą nogę, sięgał aż do tułowia. Szeryf wyciął jej chip, porzucił ją po dzikiej stronie ogrodzenia, a ona aż do tej pory obsesyjnie zastanawiała się dlaczego. Teraz ta ciekawość została wyparta przez zdumienie, jakie ogarnęło ją na widok ogrodzenia. „Co, do diabła?”

Ogrodzenie stało pogrążone w ciszy.

W jego żyłach nie szumiał prąd.

To nie było mądre, ale nie mogła się oprzeć. Wyciągnęła rękę i chwyciła za gruby, stalowy przewód. Drut kolczasty wbił się w jej dłoń, ale nic poza tym. Żadnego wstrząsu. W dotyku tego przewodu było coś osobliwie zakazanego, wręcz erotycznego.

Podniecona i wilgotna, Pam puściła przewód.

Kuśtykając wzdłuż ogrodzenia, zastanawiała się, czy to robota Burke'a. Dwie godziny wcześniej przegalopowało obok niej potężne stado aberracji. Z kilkunastometrowej sosny patrzyła, jak stwory pędzą na północ, w stronę Wayward Pines.

Setki abików.

Pam przyspieszyła kroku, walcząc z bólem nogi.

Po pięciu minutach dotarła do bramy.

Ktoś otworzył zamek.

Pam obejrzała się w stronę ciemnego lasu, z którego przyszły zarówno ona, jak i aberracje. Wpatrywała się w otwartą bramę.

Czy to możliwe?

Czyżby wdarły się do środka?

Pam przebiegła truchtem przez bramę. Noga bolała piekielnie, ale dziewczyna nie zwalniała, pozwalając sobie tylko na postękiwanie.

Po kilkuset metrach usłyszała krzyki. Z tej odległości nie potrafiła określić, czy należały do ludzi, czy do abików, wiedziała tylko, że jest ich mnóstwo. Zatrzymała się. Noga pulsowała. Nie miała broni. Była ranna. Stado bestii najpewniej jakimś cudem wtargnęło do doliny.

Pam czuła się rozdarta. Instynkt samozachowawczy nakazywał jej biec do superstruktury. Znaleźć azyl. Przegrupować siły. Niech doktor Miter ją zaszyje. Jednocześnie odczuwała strach. Nie bała się aberracji ani grozy, jaką mogła napotkać w mieście opanowanym przez potwory. Pam obawiała się, że Ethan Burke już nie żyje, a to byłoby nie do przyjęcia. Po tym, co jej zrobił, niczego bardziej nie pragnęła, niż znaleźć tego człowieka i powoli rozedrzeć go na sztuki.

Kawałek po udreńczonym kawałku.

TED UPSHAW

Kiedy otworzył drzwi gabinetu starego, uderzył go zapach gorzały.

Na widok Teda siedzący za biurkiem Pilcher uśmiechnął się trochę za szeroko; twarz miał czerwoną, wzrok szklisty.

– Wejdz, wejdz!

Ted zamknął za sobą drzwi, David z trudem wstał.

Gabinet przedstawiał istne pobojuwisko. Pilcher rozbił dwa monitory, przewrócił miniaturowy model Wayward Pines, szklana pokrywa roztrzaskała się na podłodze, a wśród odłamków walały się zmiażdżone domy.

– Obudziłem cię, prawda? – spytał Pilcher.

To akurat nie było prawdą. Ted nie zasnąłby, nawet gdyby nafaszerowali go środkami uspokajającymi.

– W porządku – powiedział.

– Usiądźmy jak starzy przyjaciele – wycedził Pilcher, a Ted zaczął się zastanawiać, jak bardzo pijany jest szef.

David podszedł chwiejnie do skórzanych kanap. Gdy Ted poszedł za nim, zobaczył, że tu też wyłączono monitory.

Usiedli na chłodnej skórzanej kanapie przed ciemnymi ekranami.

Z kosztownie wyglądającej butelki z napisem Macallan Pilcher nalał solidną ilość szkockiej do dwóch kryształowych szklanek i jedną wręczył Tedowi.

Stuknęli się.

Wypili.

To był pierwszy alkohol, jaki Ted przełknął od ponad dwóch tysięcy lat. Kiedy wiódł żywot bezdomnego i zapijał się na śmierć po odejściu żony, taka szkocka stanowiłaby mistyczne doznanie. Ale przestała mu smakować.

– Wciąż pamiętam dzień, kiedy się spotkaliśmy – powiedział Pilcher. – Stałeś w kolejce po zupełną przed tamtym przytułkiem. Przywołały mnie twoje oczy. Tyle w nich było żalu.

– Uratowałeś mi życie.

Stary zerknął na Upshawa.

– Nadal mi ufasz, Ted?

– Naturalnie.

– Naturalnie. Wyłączyłeś monitoring, jak ci kazałem.

– Zgadza się.

– Nawet nie spytałeś dlaczego.

– Nie.

– Ponieważ mi ufasz.

Pilcher wpatrywał się w wirujący w szklance bursztynowy płyn.

– Zrobiłem coś tej nocy, Ted.

Upshaw spojrzał na ciemne ekrany, czując w żołądku lodowaty chłód. Potem podniósł wzrok na Pilchera, gdy ten uniósł klawiaturę i coś wystukał.

Monitory ożyły.

Jako szef nadzoru Ted spędził ćwierć życia na obserwowaniu, jak ci ludzie jedzą, śpią, śmieją się, płaczą, pieprzą się, a czasem – gdy zwoływano igrzyska – umierają.

– Nie przyszło mi to łatwo – wyznał Pilcher.

Ted wpatrywał się w ekrany, szczególnie w jeden: kobieta kuliła się pod prysznicem, ramiona dygotały jej od szlochu, podczas gdy szponiaste łapy forsowały drzwi łazienki.

Upshaw poczuł wzbierające mdłości.

Pilcher nie odrywał od niego wzroku.

Ted spojrzał na szefa i powiedział ze łzami w oczach:

– Musisz to zatrzymać.

– Już za późno.

– Jak to?

– Przy pomocy naszych abików w niewoli przywabiłem stado pod ogrodzenie. Potem otworzyłem bramę. Ponad pięćset aberracji wtargnęło do miasta.

Ted otarł oczy. Pięćset. Taka liczba z trudem mieściła mu się w głowie. Już pięćdziesiąt sztuk oznaczało niewyobrażalne zniszczenie.

Z trudem panował nad głosem.

– Pomyśl o tym, jak ciężko pracowałeś, żeby zebrać ludzi w tej dolinie. Całe dziesięciolecia. Przypomnij sobie podniecenie, jakie czułeś, ilekroć wprowadzaliśmy nową osobę w stan zawieszenia. Wayward Pines to nie ulice, domy czy moduły zawieszające. To miasteczko nie jest tym, co zbudowałeś. Jest ludźmi, a ty...

– Oni zwrócili się przeciw mnie.

– Czyli chodzi o twoją cholerną próżność?

– Mam jeszcze kilkaset osób w stanie zawieszenia. Zaczniemy od nowa.

– Tam giną ludzie, Davidzie. Dzieci.

– Szeryf Burke wszystko im powiedział.

– Straciłeś panowanie nad sobą – stwierdził Ted. – To zrozumiałe. Teraz poślij ekipę, żeby

uratować, kogo się jeszcze da.

– Za późno.

– Nie jest za późno, dopóki jeszcze żyją ludzie. Możemy znów wprowadzić ich w stan zawieszenia. Nie będą pamiętać...

– Co się stało, to się nie odstanie. Za dzień czy dwa bunt w dolinie się skończy, ale obawiam się, że może nas czekać rebelia tu, na górze.

– O czym ty mówisz?

– Myślisz, że szeryf zrobił to wszystko na własną rękę? – Pilcher łyknął whisky.

Ted zacisnął pięści, by powstrzymać narastające drżenie dłoni.

– Burke’owi pomógł jeden z moich ludzi – oznajmił Pilcher.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ Burke był w posiadaniu informacji, których nie mógł zdobyć bez pomocy kogoś z nadzoru. Kogoś z twojej grupy, Ted.

Stary pozwolił, by oskarżenie zawisło w powietrzu.

Lód pękał w jego szklance.

– O jakiej informacji mówisz? – spytał Ted.

Pilcher zignorował pytanie i spojrzał Upshawowi w oczy.

– Twoja grupa składa się z ciebie i czterech techników nadzoru. Nie wątpię w twoją lojalność, ale co z twoimi podwładnymi? Jeden z nich udzielił pomocy Burke’owi. Masz pojęcie, kto to mógł być?

– Skąd to pytanie?

– Ted. To nie jest właściwa odpowiedź.

Upshaw spuścił wzrok na szklanekę na kolanach. Po chwili znowu spojrzał na szefa.

– Nie wiem, kto z mojej ekipy mógłby zrobić coś podobnego. To dlatego wyłączyłeś system monitorujący?

– Kierujesz najważniejszą grupą w całej superstrukturze, ale się skompromitowała.

– A co z Pam?

– Pam?

– Może szeryf ją przeciągnął.

– Pam by się podpaliła, gdybym ją poprosił. – Pilcher zaśmiał się szyderczo. – Tak przy okazji, nie ma jej. Chip Pam wskazuje, że powinna się znajdować w mieście, ale nie kontaktowała się ze mną od wielu godzin. Pytam po raz ostatni: kto z twoich ludzi?

– Daj mi noc.

– Słucham?

– Daj mi noc, żebym się dowiedział, kto to zrobił.

Pilcher oparł się i utkwiał nieprzenikniony wzrok w Tedzie.

– Chcesz to zrobić sam, tak?

– Zgadza się.

– Sprawa honoru?

– Coś w tym guście.

– To uczciwe postawienie sprawy.

Ted wstał.

– Tylko ty i ja wiemy, co się dzieje w dolinie – rzekł Pilcher, wskazując na monitory. – Na razie tak ma pozostać.

– Tak jest.

– To dla mnie trudna noc, Ted. Jestem wdzięczny, że mam w tobie przyjaciela, na którym mogę się oprzeć.

Ted spróbował się uśmiechnąć, ale nie wyszło. Powiedział tylko:

– Do zobaczenia rano. – Odstawił szklanę na stół i ruszył do drzwi.

ETHAN

Wszyscy umilkli.

Zapadła taka cisza, że Ethan słyszał ogień trzaskający w głębi jaskini.

Drapanie w drzwi ustało.

Ponownie usłyszał stukot pazurów.

Oddalały się.

To miało sens. Może aberracje uznały, że ich ofiary nie schroniły się za tymi drzwiami? Pewnie większość z nich była ciągle na...

Coś uderzyło w sosnowe bale.

Ludzie w jaskini krzyknęli unisono.

Sztaba zagrzechotała.

Ethan się wyprostował.

Kolejne uderzenie w drzwi – dwukrotnie silniejsze – jakby dwa abiki jednocześnie próbowały je wyważyć.

Ethan odbezpieczył broń, spojrzał na Hectera, Kate i pozostałych.

– Ile ich tam jest? – spytała Kate.

– Nie wiem – odparł szeptem Ethan. – Może trzydzieści, może sto.

W ciemności za nimi zaczęły płakać dzieci.

Rodzice próbowali je uciszyć.

Łomotanie nie ustawało.

Ethan podszedł do lewej strony drzwi, gdzie zawiasy łączyły je z framugą. Z zardzewiałej mosiężnej płytki wypadła śruba.

– Wytrzymają? – spytała Kate.

– Nie wiem.

Znów uderzenie, najmocniejsze z dotychczasowych.

Cała górna płytka oderwała się od framugi.

Pod nią były jeszcze cztery.

Ethan przywołał Maggie i w świetle pochodni przyjrzeni się obudowie zasuw.

Przy następnym ataku sztaba zatrzęsa się, ale wytrzymała.

Ethan wrócił do Kate i zapytał:

– Czy jest stąd inne wyjście?

– Nie.

Natarcie trwało, a im mocniej aberracje napierały na sosnowe bale, tym wścieklej to brzmiało. Po

każdym nieudanym ataku rozlegały się wrzaski i skrzeczenie.

Kolejna płytką zawiasów odpadła od drzwi.

I jeszcze jedna.

Nadchodził koniec. Ethan pomyślał, że powinien odszukać rodzinę. Powinien zgotować im szybką śmierć, ponieważ gdyby dostali się w szpony tych bestii, ostatnie chwile Theresy i Bena byłyby potworne.

Za drzwiami zapadła cisza.

Żadnego drapania.

Żadnych kroków.

Ludzie w jaskini wstrzymali oddech.

Po dłuższej chwili Ethan podszedł do drzwi i przyłożył ucho.

Nic.

Sięgnął po sztabę.

– Nie! – wyszeptała Kate.

Mimo to Ethan, najciszej jak mógł, odsunął sztabę i chwycił za klamkę.

– Maggie, podejdź tu z pochodnią.

Kiedy dziewczyna stanęła za nim, Ethan pociągnął.

Dwa pozostałe zawiasy zaskrzypiały mocno pod ciężarem drzwi.

Blask pochodni oświetlił korytarz.

Wciąż cuchnął aberracjami – zgnilizną i śmiercią – ale był pusty.

* * *

Niektórzy siedzieli pod ścianą i płakali.

Inni dygotali w milczeniu, przeżywając niedawne sceny grozy.

Jeszcze inni siedzieli nieruchomo, z beznamiętnym wyrazem twarzy, wpatrzeni w głąb siebie.

Ale byli też tacy, którzy zaczęli działać.

Pomagali utrzymać ogień.

Naprawiali drzwi.

Krzętałi się przy broni.

Ze spiżarni wynosili wodę i prowiant.

Pocieszali płaczących.

* * *

Ethan siedział razem z rodziną na zdezelowanej kanapie przy ogniu. W jaskini robiło się coraz cieplej, Hecter grał na fortepianie piękną melodię, która pomagała łagodzić napięcie i sprawiała, że wszyscy czuli się odrobinę bardziej jak ludzie.

W słabym świetle Ethan raz po raz liczył obecnych.

Nieodmiennie wychodziło mu dziewięćdziesiąt sześć osób.

Rano w Wayward Pines było czterystu sześćdziesięciu jeden ludzi.

Usilnie starał się sobie wmówić, że inne grupy mogły przeżyć. Przecież mogli znaleźć schronienie przed aberracjami. Zabarykadowali się w domach albo w operze. Uciekli do lasu. Jednak w głębi serca sam w to nie wierzył. Może zdołałby przekonać samego siebie, gdyby nie wyjrzał wtedy spod ziemi i nie zobaczył na ulicy śmierci Megan Fisher i pozostałych.

Nie.

Osiemdziesiąt procent ludności miasteczka Wayward Pines zmieciono z powierzchni ziemi.

– Ciągle mi się zdaje, że za chwilę rozlegnie się pukanie do drzwi – powiedziała Theresa. – Sądziś, że ktoś może tu dotrzeć?

– Zawsze jest szansa, prawda?

Ben spał, z głową na kolanach Ethana.

– Dobrze się czujesz? – spytała Theresa.

– Chyba tak, pomijając to, że podjąłem decyzję, przez którą większość ludzi z tego miasta poniosła gwałtowną śmierć.

– Nie wyłączyłeś prądu w ogrodzeniu i nie otworzyłeś bramy, Ethanie.

– Nie, tylko sprawiłem, że to się stało.

– W przeciwnym razie Kate i Harold by zginęli.

– Harold i tak pewnie zginął.

– Nie możesz patrzeć na to w ten sposób...

– Spieprzyłem sprawę, kochanie.

– Dałeś tym ludziom wolność.

– Jestem pewien, że zdążyli się nią nacieszyć, kiedy aberracje zagryzały ich na śmierć.

– Znam cię, Ethanie. Nie, spójrz na mnie. – Theresa odwróciła podbródek męża ku sobie. – Ja cię znam. Wiem, że zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne.

– Chciałbym, żebyśmy żyli w świecie, gdzie działania mierzy się intencjami, które im przyświecają. Prawda jest jednak taka, że mierzy się je skutkami.

– Posłuchaj, nie wiem, co się wydarzy, ale muszę ci wyznać, że teraz, na progu śmierci, czuję z tobą taką bliskość, jakiej nie zaznałam od lat. Może nigdy nie zaznałam. Teraz ci ufam, Ethanie. Wiem, że mnie kochasz. Zaczynam to dostrzegać tak wyraźnie, jak nigdy dotąd.

– Tak, Thereso. Bardzo. Jesteś... wszystkim. – Pocałował ją, ona przytuliła się do niego i oparła mu głowę na ramieniu.

Ethan ją objął.

Wkrótce zasnęła.

Powiódł wzrokiem po jaskini.

Zbiorowy smutek był wprost namacalny. Ciężko zawisł w powietrzu jak gęsty dym.

Zziębły mu dłonie. Prawą wsunął do kieszeni kurtki i namacał kartę pamięci z nagraniem Davida Pilchera mordującego własną córkę. Ethan delikatnie ujął kartę w dwa palce, czując, jak rozsadza go wściekłość.

Ted też miał kopie nagrania, lecz Ethan polecił mu nic z nimi nie robić. Upshaw miał po prostu czekać. Ale to się działo przed inwazją aberracji. Czy Ted wiedział, co się wydarzyło w Wayward Pines?

Ethan ponownie policzył ludzi w jaskini.

Nadał dziewięćdziesiąt sześć.

Taka mizerna garstka.

Pomyślał o Pilcherze, siedzącym w ciepłym zaciszu gabinetu i oglądającym na dwustu szesnastu płaskich ekranach masakrę ludzi, których porwał z innego życia.

* * *

Obudziły go głosy.

Otworzył oczy.

Theresa poruszyła się obok niego.

Oświetlenie w jaskini się nie zmieniło, ale czuł, jakby upłynęło wiele czasu, jak gdyby spał całe dni.

Najpierw delikatnie uniósł głowę Bena z kolan, potem wstał i przetaił oczy.

Ludzie nie spali, chodzili po jaskini.

Spod drzwi dobiegały podniesione głosy.

Ethan ujrzał dwie oddzielne grupy. Kate stała między Hecterem a jakimś drugim mężczyzną. Obydwaj krzyczeli.

Ethan podszedł i spojrzał pytająco na Kate.

– Kilka osób chce wyjść – wyjaśniła.

Mężczyzna imieniem Ian, który prowadził na Głównej zakład szewski, powiedział:

– Tam jest moja żona. Rozdzielono nas, kiedy formowano cztery grupy.

– Co właściwie chcesz zrobić? – spytał Ethan.

– A jak myślisz? Chcę jej pomóc!

– Wobec tego idź.

– On chce też broń – dodała Kate.

Kobieta pracująca w miejskich ogrodach przepchnęła się przez tłum, spojrzała groźnie na Ethana i rzuciła:

– Tam są mój mąż i syn.

– Dociera do ciebie, że mój mąż też? – spytała Kate.

– To czemu tu się chowasz, zamiast ich ratować?

– Po wyjściu z tej jaskini zginęlibyście w ciągu dziesięciu minut – zauważył Hecter.

– To mój wybór, kolego – odparł Ian.

– Nie dostaniesz broni.

– Poczekać chwilę – włączył się Ethan. – Ta rozmowa dotyczy wszystkich.

Ethan stanął pośrodku jaskini i powiedział wystarczająco donośnie, by wszyscy usłyszeli:

– Utwórzcie krąg! Musimy pomówić.

Brudni, zaspani ludzie powoli podeszli.

– Wiem, że to ciężka noc – zaczął Ethan.

Milczenie.

W obserwujących go oczach dostrzegał gniew i oskarżenie.

Zastanawiał się, w jakim stopniu istotnie tak było, a w jakim to sobie roił.

– Wiem, że wszyscy niepokoiacie się o tych, którzy nie zdołali tu dotrzeć. Ja też się o nich martwię.

Sami dotarliśmy tu z trudem. Część z was zastanawia się może, czemu nie zatrzymaliśmy się i nie pomogliśmy. Już teraz mogę was zapewnić, że gdybyśmy tak postąpili, ta jaskinia byłaby pusta, wszyscy zginęlibyśmy w tamtej dolinie. Trudno tego słuchać. Jako człowiek odpowiedzialny za nasze obecne położenie...

Poczuł dławiące go emocje.

Pozwolił płynąć łzom, nie walczył z drżeniem głosu.

– Ponieważ szedłem z tyłu, widziałem, jaki los spotkał ludzi na powierzchni ziemi – ciągnął. –

Wiem, do czego zdolne są aberracje. Chyba powinniśmy zacząć oswajać się z bardzo trudną prawdą. Niewykluczone, że tylko my ocaleliśmy z Wayward Pines.

– Nie mów tak! – rozległ się czyjś krzyk.

Do kręgu wkroczył mężczyzna. Jeden z wykonawców igrzysk, wciąż ubrany na czarno, w dłoni trzymał maczetę. Ethan nigdy nie zamienił z nim ani słowa, ale wiedział, gdzie mieszkał ten człowiek, wiedział też, że pracował w bibliotece. Szczupły, sprawny fizycznie, miał ogoloną głowę i lekki zarost. Mężczyźnie towarzyszył ten szczególny rodzaj arogancji typowy dla osób pragnących władzy

dla niej samej.

– Powiem ci, co masz zrobić – powiedział bibliotekarz. – Poczołgasz się z powrotem do Pilchera i będziesz go błagał o przebaczenie. Powiesz mu, że to wszystko twoja robota. Powiesz, że sam sprowadziłeś na nas to gówno i że chcemy, żeby życie wróciło do normy. Zapewnisz go, że nikt z nas tego sobie nie życzył.

– Już za późno – odrzekł Ethan. – Teraz wszyscy znacie prawdę. Nie możecie wyrzucić jej z waszych umysłów. Nie ma już łatwego rozwiązania.

Do kręgu wepchnął się niski, przysadzisty człowieczek, miejscowy rzeźnik.

– Mówisz, że moja żona i córki nie żyją – powiedział. – Że zginął co najmniej tuzin moich serdecznych przyjaciół. Co niby mamy z tym począć? Mamy tu siedzieć jak banda tchórzów i spisać ich na straty?

Zaciskając zęby, Ethan podszedł do rzeźnika.

– Nie mówię, żeby tak zrobić, Andrew. Nie mówię, żeby kogokolwiek spisywać na straty.

– Więc co? Co mamy zrobić? Otworzyłeś nam oczy. Ale po co? Żebyśmy stracili większość ludzi i żyli w ten sposób? Wolę los niewolnika. Wolę być bezpieczny i mieć rodzinę.

Ethan cofnął się o krok, powiódł wzrokiem po twarzach, wypatrzył Theresę. Ze łzami w oczach przesłała mu pocałunek.

– Owszem, może to ja oddałem pierwszy strzał – powiedział. – Ale to nie ja wyłączyłem prąd w ogrodzeniu, nie ja otwarłem bramę. Człowiek odpowiedzialny za śmierć naszych rodzin i przyjaciół, odpowiedzialny za to, że w ogóle znaleźliście się w Wayward Pines, ma się dobrze o trzy kilometry stąd. Pytam was: czy zamierzacie to tolerować?

– Sam mówiłeś, że ma prywatną armię – wtrącił Andrew.

– Owszem.

– Więc co mamy zrobić?

– Macie nie tracić nadziei. David Pilcher jest potworem, ale nie wszyscy wewnątrz góry są tacy. Schodzę w dolinę.

– Kiedy?

– Teraz. Kate Ballinger i jeszcze dwie osoby potrafiące strzelać mają mi towarzyszyć.

– Powinniśmy wziąć większą grupę – powiedział wykonawca igrzysk.

– Po co? Żeby bardziej zwracać na siebie uwagę i stracić więcej ludzi? Nie, musimy wziąć minimum sprzętu i poruszać się szybko. W miarę możliwości pozostać w ukryciu. Owszem, możemy już nie wrócić, ale inne wyjście to tkwić w tej jaskini w oczekiwaniu na nieuniknione. Jestem za tym, żeby ruszyć ostro.

– Zakładając, że uda ci się przeniknąć do wnętrza góry, naprawdę wierzysz, że zdołasz powstrzymać tego człowieka? – spytał Hecter.

– Wierzę.

Z tłumu wyłoniła się kobieta. Wciąż miała na sobie kostium z poprzedniej nocy – suknię balową z tiarą, której do tej pory nie zdjęła. Szminka, tusz do rzęs i puder spływały jej z twarzy jaskrawymi strużkami.

– Chcę coś powiedzieć – zaczęła. – Wiem, że wielu z was gniewa się na tego człowieka. Na szeryfa. Mój mąż... – Po chwili opanowała wzruszenie. – Szedł z inną grupą. Byliśmy małżeństwem od sześciu lat. Zmuszono nas do ślubu, ale ja go kochałam. Chociaż prawie nie rozmawialiśmy, był moim najlepszym przyjacielem. To zdumiewające, jak dobrze można poznać drugą osobę przez sam kontakt wzrokowy. Za pomocą subtelnych spojrzeń.

W tłumie rozległy się pomruki aprobaty. Kobieta wpatrywała się w Ethana.

– Chcę, żebyście wiedzieli, że wolę, by Carl nie żył, wolałabym sama dzisiaj umrzeć, niż choćby godzinę dłużej żyć w tej chorej iluzji miasteczka. Jak więzień. Jak niewolnik. Wiem, że zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne. O nic cię nie obwiniam. Może nie wszyscy czują to samo, ale wiem, że nie jestem jedyna.

– Dziękuję ci – odrzekł Ethan. – Dziękuję, że to powiedziałaś.

Powoli się odwrócił, popatrzył na dziewięćdziesiąt pięć twarzy zwróconych ku niemu. Poczł na barkach ciężar odpowiedzialności za ich los.

– Za dziesięć minut wychodzę tymi drzwiami – oznajmił w końcu. – Kate, jesteś ze mną?

– Pewnie, cholera.

– Potrzebujemy jeszcze dwóch ludzi. Wiem, że więcej osób chciałoby nam towarzyszyć, ale może dojść do kolejnego ataku na tę jaskinię. Chcemy, żeby pilnowali was dobrze uzbrojeni obrońcy. Jeśli ktoś uważa, że potrafi strzelać, jeśli dysponuje odpowiednimi warunkami fizycznymi, jeżeli umie opanować strach, niech dołączy do mnie przy drzwiach.

* * *

Ethan siedział na scenie między Theresą i Benem.

– Nie chcę, żebyś tam wracał, tato – powiedział Ben.

– Wiem, stary. Szczerze mówiąc, sam nie mam na to zbyt wielkiej ochoty.

– To nie wracaj.

– Czasem musimy robić rzeczy, których nie chcemy.

– Dlaczego?

– Ponieważ tak trzeba.

Nie miał pojęcia, co musiało się dziać w głowie chłopca. Wszystkie kłamstwa, jakie wpajano mu w szkole, stopiły się nagle w spopielającym ogniu prawdy. Ethan przypomniał sobie, że kiedy był

w wieku Bena i gnębiły go nocne koszmary, jego ojciec budził go i mówił, że to tylko zły sen, że potwory nie istnieją.

Ale w świecie jego syna potwory istniały.

W dodatku były wszędzie.

Jak pomóc chłopcu pogodzić się z taką myślą, kiedy samemu trudną ją znieść?

Ben objął ojca, przytulił się.

– Jeśli chcesz, możesz płakać – powiedział Ethan. – To nie wstyd.

– Ty nie płaczesz.

– Przyjrzyj się lepiej.

– Czemu płaczesz, tato? – spytał Ben, podnosząc wzrok. – Dlatego, że nie wrócisz?

– Nie, dlatego, że cię kocham. Bardzo, bardzo.

– Czyli wrócisz?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– A jeśli nie?

– On wróci, Ben – zapewniła Theresa.

– Nie, bądźmy wobec niego szczerzy. To, co muszę zrobić, synu, jest bardzo niebezpieczne.

Niewykluczone, że mi się nie uda. Jeżeli coś mi się stanie, zaopiekuj się mamą.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało. – Ben znowu się rozplakał.

– Ben, spójrz na mnie.

– Co?

– Jeśli coś mi się stanie, zaopiekujesz się mamą. Zostaniesz głową rodziny.

– Dobrze.

– Obiecuj mi to.

– Obiecuję.

Całując syna w głowę, Ethan spojrzał na Theresę.

Była taka silna.

– Wrócisz, a kiedy tak się stanie, naprawisz wszystko w tym mieście – powiedziała.

HASSLER

Nomada zamierzał spędzić ostatnią noc w dziczy, ale gdy tylko wsunął się do śpiwora na szczycie sosny, zdał sobie sprawę, że nie ma szans na sen.

Hassler przebywał w dziczy za ogrodzeniem od tysiąca trzystu ośmiu dni. Nie mógł określić tego z pewnością, ale oceniał, że Wayward Pines leży zaledwie kilka kilometrów na północ, a teraz, gdy stado aberracji zeszło mu z drogi, nic nie stało mu na przeszkodzie, by wrócić do domu.

Każdego ciężkiego dnia wyprawy wybiegał myślami do tej chwili. Zastanawiał się. Czy jeszcze kiedyś zobaczy miasteczko? Co poczuje, gdy znów do niego wejdzie? Kiedy raz jeszcze znajdzie bezpieczny azyl i wszystko, co kocha?

W całej historii Wayward Pines za ogrodzenie wysłano tylko ośmiu nomadów. W kręgu najbliższych ludzi Pilchera uchodziło to za najwyższy zaszczyt i poświęcenie. Wedle wiedzy Hasslera jeszcze żaden z nich nie wrócił z długiej misji. Jeżeli któryś nie powrócił pod jego nieobecność, Hassler byłby pierwszy.

Powoli, metodycznie ostatni raz pakował plecak z zewnętrznym stelażem marki Kelty: puste litrowe butelki na wodę, krzesiwo, pustą apteczkę pierwszej pomocy, pleśniejące resztki suszonego mięsa bizona.

Oprawny w skórę dziennik z nawyku schował do plastikowej torebki. Na tych stronach opisał wszystko, co przeżył w ciągu trzech i pół roku w dziczy. Dni smutku. Radości. Dni, co do których miał pewność, że będą jego ostatnimi. Wszystko, co odkrył i zobaczył.

Przyspieszone bicie serca na widok pięćdziesięciu tysięcy aberracji pędzących po terenach zwanych niegdyś solniskami Bonneville nad Wielkim Jeziorem Słonym.

Łzy płynące po twarzy, kiedy patrzył, jak w zachodzącym słońcu wypatroszone ruiny Portland zmieniają barwę z rdzawej na brązową. Ten widok na zawsze go odmienił.

Góra Shasta z odciętym wierzchołkiem.

Wspomnienie o tym, jak stał na ruinach Fort Point i patrzył przez zatokę na resztki mostu Golden Gate: górne trzydzieści metrów południowej wieży wystawało z wody jak maszt zatopionego statku.

Tyle nocy spędził przemoknięty i zziębnięty.

Głodny i osamotniony.

Szare poranki, gdy brakowało mu woli, by wygramolić się ze śpiwora i ruszyć w dalszą drogę.

Noce, gdy siedział zadowolony przy ogniu i pykał fajkę.

Cóż za osobliwe, zdumiewające życie.

Teraz, mimo wszystko, wracał do domu.

Hassler zawiązał plecak, zapiął klamry i zarzucił go na plecy. Kończył wędrówkę ostatnim

wysiłkiem. W nogach i biodrach czuł napięcie i wolno narastający ból, który ustąpi pewnie dopiero po kilkudniowym odpoczynku. Ale jakie to miało teraz znaczenie? Wkrótce się umyje, ogrzeje i położy do łóżka z pełnym żołądkiem. Ostatni odcinek drogi powrotnej można przejść forsownie.

Szedł ścieżką wzdłuż strumienia dopóty, dopóki nie skręciła na zachód.

Szum wody stopniowo zostawał w tyle.

W ciemnym lesie panowała cisza.

Każdy krok miał znaczenie, każdy kolejny większe niż poprzedni.

Na kilka minut przed świtem stanął.

Tuż przed nim wznosiło się ogrodzenie.

Coś było nie w porządku. Ogrodzenie powinno buczeć od śmiercionośnego napięcia, ale nic podobnego nie słyszał.

Przez głowę przemknęła mu tylko jedna myśl: Theresa.

Hassler pognał do bramy.

CZEŚĆ V

TED

Lokum Teda na Poziomie 4 było dwukrotnie większe od innych – premia za to, że jako jeden z pierwszych dołączył do ścisłego grona współpracowników Davida Pilchera. Od czternastu lat mieszkał w tym ciasnym pomieszczeniu, gdzie, mimo bałaganu, czuł się jak w domu. Wszystko – mniej więcej – leżało na swoim miejscu.

Życie w superstrukturze toczyło się w szczególnym tempie pracy i wypoczynku, a ludzie zazwyczaj dopiero po kilku latach odnajdywali swój rytm. Niezależnie od tego, w jakim dziale się pracowało, harmonogram był napięty. Sześć dni w tygodniu po dziesięć godzin dziennie, ale i tak ledwo się wyrabiali. Ted, pełniący funkcję szefa nadzoru, nie pamiętał tygodnia, kiedy pracował mniej niż siedemdziesiąt godzin. Problem polegał na tym, co, oprócz spania, robić przez pozostałe sto godzin w tygodniu. Ted nie był ekstrawertykiem i choć mieszkańcy Wayward Pines istnieli dla niego jedynie na ekranach, czuł, że spędza z nimi każdą sekundę swej pracy. Dlatego też w czasie wolnym niczego bardziej nie pragnął niż samotności.

Próbował malować.

Robił zdjęcia.

Bez powodzenia zabrał się do robienia na drutach.

Intensywnie ćwiczył.

Aż pewnego dnia, osiem lat temu, znalazł w arce zabytkową maszynę do pisania Underwood Touchmaster Five. Wraz z kilkoma pudłami papieru zaniósł ją do siebie, a w kącie postawił nieduże biurko.

Przez całe życie czuł, że nosi w sobie wielką amerykańską powieść.

Teraz jednak, kiedy nie było już nie tylko Ameryki, ale właściwie niczego, o czym mógłby pisać?

Czy tworzenie książek i dzieł sztuki miało sens, skoro ludzkość znalazła się na krawędzi zagłady?

Ted nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale gdy zaczął stukać w wiekowe klawisze, tak wytarte, że litery stały się prawie niewidoczne, pojął, że pisanie sprawia mu radość. Uwielbiał dotyk underwooda pod palcami.

Nie było monitora.

Jedynie cudowny, namacalny stukot klawiszy, słaba woń tuszu, kiedy papier powoli się wysuwał. Tylko on i jego myśli.

Początkowo igrał z powieścią kryminalną.

Rozmyła się.

Potem z historią własnego życia, ale szybko znużyła go ta relacja.

Parę tygodni po rozpoczęciu pracy doznał olśnienia. Całymi dniami wpatrywał się w ekrany, gdzie

kamery rejestrowały życie setek ludzi w rozmaitych stadiach rozpacz. Ted postanowił, że swoimi bohaterami uczyni mieszkańców Wayward Pines. Stworzy kronikę ich dawnego życia, integracji w miasteczku, wyobraził sobie ich myśli i lęki.

Gdy zaczął pisać, nie mógł przestać.

Opowieści wylewały się z niego, papier osiadał przy biurku jak śnieg, aż zebrał setki stron szczegółowo opisujących życie ludzi z Wayward Pines, tak jak je sobie wyobrażał.

Ted Upshaw nie miał pojęcia, co pocnie z tymi wszystkimi historiami.

Nie wierzył, by ktokolwiek kiedykolwiek chciał je przeczytać.

Roboczy tytuł książki brzmiał *Sekretne życie Wayward Pines*, a na okładce Ted wyobrażał sobie twarze wszystkich mieszkańców doliny. Najpierw jednak musiał ukończyć pisanie, co nastroczało pewien problem. Ted nie widział końca. Życie toczyło się dalej. Wydarzały się nowe rzeczy. Ludzie umierali. Do miasteczka wprowadzano i adaptowano kolejne osoby. Jak opublikować żywą książkę, której wątki nigdy się nie kończą?

Tragiczna odpowiedź przyszła minionej nocy, gdy Ted siedział w gabinecie Pilchera i oglądał na monitorach atak aberracji na miasto.

Koniec miał nadejść raptownie, ponieważ „bóg” Wayward Pines zafundował mu szybkie i nagłe rozwiązanie.

* * *

Wczesnym rankiem ktoś zapukał do drzwi Teda.

Leżał jeszcze w łóżku, gdzie spędził całą noc, sparaliżowany strachem. I niezdecydowaniem.

– Wejdz – powiedział.

Do pokoju wszedł jego najstarszy przyjaciel, David Pilcher.

Ted nie zmrużył oka, ale wyglądało na to, że Pilcher podobnie.

Stary sprawiał wrażenie zmęczonego. Jego oczy zdradzały silnego kaca. Nadal cuchnęła drogą szkocką. Twarz pokrywał mu siwy zarost, na ogolonej głowie sterczały kosmyki siwizny.

Pilcher wziął krzesło stojące przy biurku Teda, przyciągnął je do łóżka i usiadł.

– Co dla mnie masz? – spytał, patrząc na Upshawa.

– Co mam?

– Twoja ekipa. Obiecałeś, że się tym zajmiesz. Że dowiesz się, kto z twoich ludzi pomógł szeryfowi Burke’owi zorganizować bunt.

Ted westchnął. Potem usiadł, z nocnego stolika wziął okulary o grubych szklach, nałożył. Wciąż miał na sobie poplamioną kamizelkę i przypinany krawat. Te same spodnie. Nie chciało mu się nawet ściągnąć butów.

Zeszłej nocy, w gabinecie Pilchera, Ted się bał.

Teraz czuł tylko znużenie i gniew.

Ogromny gniew.

– Kiedy stwierdziłeś, że szeryf dysponuje informacją, której nie mógł zdobyć w inny sposób, czy zamierzałeś mi powiedzieć, co konkretnie miałeś na myśli?

Pilcher oparł się na krzesło i założył nogę na nogę.

– Nie, właściwie nie. Chcę tylko, żebyś jako szef zespołu monitoringu wykonywał swoją pracę.

Ted skinął głową.

– Nie przypuszczałem, że mi powiesz, ale to bez znaczenia – odrzekł. – Wiem, co to za informacja. Powinienem był ci to wyznać zeszłej nocy, ale za bardzo się bałem. – Pilcher przekrzywił głowę. – Znalazłem nagranie tego, co ty i Pam zrobiliście z twoją córką.

Zapadło ciężkie milczenie.

– Dlatego, że szeryf poprosił cię o pomoc? – spytał Pilcher.

– Przesiedziałem tu całą noc, zastanawiając się, co robić. – Ted wyjął z kieszeni elektroniczny fragment przypominający mikę.

– Skopiowałeś to nagranie? – spytał Pilcher.

– Owszem.

Pilcher utkwiał wzrok w podłodze, potem znów spojrzał na Teda.

– Wiesz, co zrobiłem dla naszego projektu. Co zrobiłem dla nas, żebyśmy mogli tu siedzieć teraz, dwa tysiące lat później, jako ostatni przedstawiciele ludzkości. Ocaliłem...

– Istnieje granica, Davidzie.

– Tak sądzisz?

– Zamordowałaś własną córkę.

– Ona pomagała rebeliantom...

– Nie ma takiego scenariusza, w którym zabicie Alyssy jest w porządku. Jak możesz tego nie wiedzieć?

– Ted, w poprzednim życiu podjąłem decyzję, że nic, absolutnie nic nie jest ważniejsze od Wayward Pines.

– Nawet twoja córka.

– Nawet moja słodka Alyssa. Myślisz... – Łzy popłynęły mu po twarzy. – Że chciałem takiego obrotu sprawy?

– Ja już nie wiem, czego ty chcesz. Wymordowałaś całe miasto. Zabiłaś rodzoną córkę. Przed laty własną żonę. Gdzie to się kończy? Gdzie jest granica?

– Nie ma granicy.

Ted przesunął palcami po karcie pamięci w dłoni.

– Jeszcze możesz się cofnąć – powiedział.

– O czym ty mówisz?

– Zwołaj wszystkich. Wyjaw ludziom prawdę. Powiedz im, co zrobiłeś z Alyssą. Powiedz, co uczyniłeś mieszkańcom Wayward Pines.

– Nikt z nich nie zrozumie, Ted. Sam nie rozumiesz.

– Nie chodzi o to, żeby zrozumieli, ale o to, żebyś postąpił właściwie.

– Czemu miałbym to zrobić?

– Dla dobra własnej duszy, Davidzie.

– Pozwól, że coś ci powiem. Przez całe moje życie ludzie nie pojmują, co jestem gotów zrobić, aby odnieść sukces. Moja żona tego nie pojmowała. Alyssa też nie. Ze smutkiem stwierdzam, że ty również, choć nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Spójrz tylko, co stworzyłem. Spójrz, czego dokonałem. Gdyby nadal pisano książki historyczne, uznano by mnie za najważniejszego człowieka, jaki stąpał po ziemi. To nie złudzenie, ale fakt. Ocaliłem gatunek ludzki, Ted, ponieważ nie cofnąłem się przed niczym, by osiągnąć cel. Nikt nigdy tego nie rozumiał. Oprócz dwóch osób. Ale Arnold Pope nie żyje, a Pam zaginęła. Czy wiesz, co to oznacza?

– Nie.

– To znaczy, że teraz czarna robota spada na mnie.

Pilcher nagle wstał z krzesła i ruszył w stronę łóżka. Ted nie pojmował, co się dzieje, dopóki w dłoni szefa nie błysnął krótki nóż.

ETHAN

Koniec końców jedynymi ochotnikami, co do których Ethan nie miał wątpliwości, byli Maggie i Hecter. Nikt z grupy, nawet Kate, nie walczył z aberracjami jak tych dwoje. Uznał, że większość ludzi opuści odwaga w obliczu nacierającego abika. Lepiej polegać na pewniakach.

Uzbroili się.

W przeszłości Maggie tylko raz strzelała ze strzelby kaliber dwadzieścia dwa, więc Ethan naładował mossberga 930 śrutem i wsypał jej do kieszeni zapasowe naboje. Zademonstrował Maggie, jak trzymać strzelbę, jak przeładowywać. Uprowadził ją przed gwałtownym odrzutem.

Załadował mossberga, potem rewolwer Smith & Wesson dla Hectera.

Na wszelki wypadek Kate zabrała jeszcze bushmastera AR-15 i glocka czterdziestkę.

Ethan wyszedł na korytarz i obejrzał się na garstkę ludzi, których uzbroił, aby strzegli wejścia do jaskini.

– A jeśli nie wróćcie? – spytał wykonawca igrzysk.

– Macie zapasy na kilka dni – odparła Kate.

– Co potem?

– Będziecie musieli radzić sobie sami.

Theresa z Benem stali nieopodal drzwi.

Już wcześniej się pożegnali.

Ethan patrzył żonie w oczy dopóty, dopóki drzwi się nie zamknęły, a zasuwka nie szcęknęła w zamku.

Poza jaskinią panował straszliwy ziąb.

W oddali, u wylotu korytarza, majaczyło światło dzienne.

– Strzelamy tylko w ostateczności – powiedział Ethan. – Najlepiej będzie, jeśli dotrzemy do miasta bez jednego strzału. Kiedy zdradzimy swoje położenie, prawdopodobnie będzie po nas.

Kate poprowadziła ludzi ku światłu w końcu korytarza.

Gdy drzwi odgrodziły Ethana od rodziny, raz po raz wracał myślami do ostatniego widoku Theresy i Bena.

„Czy już nigdy was nie zobaczę?”, myślał.

„Czy wiecie, jak bardzo was kocham?”

* * *

Stojąc na krańcu półki skalnej, patrzyli na dolinę.

Wstawał świt.

Od strony miasteczka leżącego trzysta metrów niżej nie dobiegał żaden odgłos.

Słońce przyjemnie ogrzewało twarz Ethana.

– Można by pomyśleć, że to miły, normalny poranek, prawda? – szepnęła Maggie.

Z takiej odległości nie widzieli, co dzieje się na ulicach. Ethan pomyślał o lornetce spoczywającej w dolnej szufladzie jego biurka na posterunku. Miło byłoby mieć ją pod ręką.

Po chwili podszedł do skraju urwiska i spojrzał w dół na trzystumetrowy uskok. Skały lśniły w słońcu.

Ruszyli drewnianym chodnikiem, a za najwyższym punktem zatrzymali się na odpoczynek.

Słońce ogrzewało skalną ścianę.

Schodzili.

Chwyтали się kabli.

Wsuwali stopy w stopnie wykute w skale.

Nigdzie ani śladu ptaków.

Ani szmeru wiatru.

Tylko ich czwórka, tylko przyspieszone oddechy.

Poniżej poziomu wierzchołków drzew, gdzie nie docierało słońce, stalowe kable były lodowate.

Wreszcie zeszli ze stoku i stanęli na miękkim leśnym poszyciu.

– Znasz drogę do miasta, Kate? – spytał Ethan.

– Chyba tak. Dziwnie tu. Jeszcze nigdy nie stałam tutaj w dzień.

Kate powiodła ich w sosnowy las.

Gdzieniegdzie bielił się jeszcze śnieg, widniały ślady stóp – pozostałość minionej nocy.

Trzymając się ich, wciąż schodzili. Ethan wodził wzrokiem po drzewach, ale nie dostrzegał ruchu. Las sprawiał wrażenie zupełnie martwego.

Wkrótce usłyszeli szum wodospadu.

Droga ciągle wiodła w dół.

Do strumienia dotarli w miejscu wylotu tunelu odpływowego. W wodzie i na brzegu leżały aberracje zastrzelone przez Ethana zeszłej nocy.

Wodna mgiełka chłodziła mu twarz.

Spojrzał w górę na pojedynczą kaskadę chlustającą z występu skalnego siedemdziesiąt metrów nad nimi. Słońce prześwietlające ścianę wody tworzyło tęczę.

– Idziemy do miasta tunelem? – spytała Kate.

– Nie – odparł Ethan. – Musimy zostawić sobie sporo miejsca na ucieczkę.

Kiedy przeszli mniej więcej pół kilometra, teren się wyrównał i wyszli z lasu za starym, wałącym się domem na wschodnim skraju miasteczka, tym samym, jak uświadomił sobie Ethan, w którym po przybyciu do Wayward Pines odkrył okaleczone zwłoki agenta Evansa.

Zatrzymali się wśród zielska rosnącego obok domu.

Dotychczas cisza przynosiła Ethanowi ukojenie. Teraz budziła niepokój, bo czuł się, jakby świat wstrzymał oddech.

– Podczas schodzenia zastanawiałem się nad czymś – powiedział. – Gdybyśmy znaleźli sprawny samochód, moglibyśmy się przedostać na południe miasta, nie martwiąc się stale o zasadzki. Kate, czy ten gruchot przed twoim domem jest sprawny?

– Nie odpalałam go od lat. Wolałabym nie ryzykować.

– Wóz przed moim domem jest na chodzie – powiedziała Maggie.

– Kiedy po raz ostatni nim jechałaś?

– Dwa tygodnie temu. Pewnego ranka ktoś do mnie zadzwonił i kazał mi jeździć po mieście przez kilka godzin.

– Zawsze się zastanawiałem, po co oni to robią – przyznał Hecter.

– Ponieważ w normalnych miastach jezdnie nigdy nie są całkiem puste – wyjaśnił Ethan. – To kolejna sztuczka, by uwiarygodnić Wayward Pines. Gdzie mieszkasz, Maggie?

– Na ulicy Ósmej, między Szóstą a Siódmą Aleją.

– To tylko sześć przecznic stąd. Gdzie są kluczyki?

– W szufladzie nocnego stolika.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent.

Ethan wyjrzał zza węgła, ujrzał ciała leżące na ulicy, ale ani śladu aberracji.

– Usiądźmy na chwilę – zaproponował. – Dla złapania oddechu.

Cała czwórka usiadła, oparta o próchniejące deski domu.

– Maggie, Hecter, nie macie żadnego doświadczenia wojskowego, tak?

Potrząsnęli głowami.

– Ja pilotowałem helikopter Black Hawk. W Faludży napatrzyłem się na ostrą wymianę ognia. Teraz musimy przejść sześć przecznic po terenie nieprzyjaciela, a w takich sytuacjach istnieje odpowiedni sposób przemieszczania się, który minimalizuje ryzyko. Z tego miejsca widać tylko najbliższy kwartał, ale po przejściu przez ulicę ujrzymy wszystko z innej perspektywy. Uzyskamy nowe dane. Musimy stawić czoło sześciu przecznicom, ale rozłożymy to na etapy. Maggie i ja przejdziemy przez ulicę jako pierwsi i założymy przyczółek. Stamtąd zlustрую teren, a kiedy dam znak, dołączą do nas Kate i Hecter. Czy to ma sens?

Przytaknęli.

– Teraz ostatni szczegół związany ze sposobem przemieszczania się. W biegu będziemy się trzymać blisko siebie, ale tempo powinno być takie, abyśmy mogli zachować czujność. Kiedy droga jest wolna, pojawia się pokusa, by skupiać wzrok w oddali i patrzeć, kto nadchodzi, ale to błąd. Jeśli ujrzymy abiki zbliżające się z odległości stu, dwustu metrów, będziemy mieli czas na reakcję. Najgorsze, co może nam się przytrafić, to zasadzka. Jeżeli jeden z tych stworów wyskoczy zza krzaka czy zza rogu, nie zdążycie nawet unieść broni. Dlatego pilnujcie potencjalnie niebezpiecznych obszarów. To absolutny priorytet. Gdy mijacie krzak i nie widzicie, co za nim jest, obstawiacie go. Jasne?

Strzelba w dłoni Maggie zaczęła drżeć.

– Dasz sobie radę – zapewnił Ethan, dotykając jej ręki.

Nagle Maggie odwróciła się i zwymiotowała na trawę.

– W porządku, kochana. – Kate poklepała koleżankę po plecach. – W strachu nie ma nic złego.

Możesz się bać. Dzięki temu staniesz się odważniejsza.

Ethanowi przyszło na myśl, jak bardzo nieprzygotowana jest ta kobieta. Maggie nigdy nie była narażona na podobny horror i stres, a mimo to brnęła dalej.

Otarła usta i wzięła kilka głębokich wdechów.

– W porządku? – spytał Ethan.

– Nie dam rady. Myślałam, że potrafię, ale...

– Wiem, że sobie poradzisz.

– Nie, powinnam zawrócić.

– Potrzebujemy cię, Maggie. Ludzie w jaskini cię potrzebują.

Skinęła głową.

– Pójdiesz ze mną – zdecydował Ethan. – Będziemy się posuwać pomału.

– Dobrze.

– Poradzisz sobie.

– Dajcie mi tylko chwilę.

Ethan widział podobne rzeczy na wojnie. Paraliż na polu walki. Groza przemocy i nieustanna groźba śmierci obezwładniały żołnierzy. Podczas służby w Iraku najgorszy scenariusz zakładał kulę snajpera lub minę domowej roboty. Ale nawet w najpaskudniejsze dni po ulicach Faludży nie włączyły się stworzenia pragnące pożreć cię żywcem.

Po chwili pomógł Maggie wstać.

– Gotowa? – spytał.

– Chyba tak.

– Teraz podejźmy do tamtego domu na rogu. – Wskazał na drugą stronę ulicy. – O niczym innym nie myśl.

– Dobrze.

– Na ulicy zobaczymy ciała. Chcę tylko cię przestrzec. Nie zwracaj na nie uwagi. Nawet nie patrz w ich stronę.

– Obszary zagrożenia. – Spróbowała się uśmiechnąć.

– Otóż to. Trzymaj się blisko mnie.

Ethan podniósł strzelbę.

W brzuchu poczuł łaskotanie.

Stary, znajomy strach.

Kiedy odeszli pięć kroków od ściany domu, na ulicy ukazały się ciała. Nie sposób było nie patrzeć. Naliczył siedem osób, w tym dwoje dzieci, dosłownie rozszarpanych na sztuki.

Maggie nadążała.

Tuż za sobą słyszał jej kroki.

Wyszli na ulicę. Słysząc tylko odgłos ich butów na chodniku.

Dyszące oddechy.

Na Pierwszej Alei – po lewej i po prawej – pusto.

Całkowita cisza.

Weszli na podwórze i szybszym krokiem dopadli piętrowego wiktoriańskiego domu.

Skulili się pod oknem.

Ethan wyjrzał zza węgła.

Raz jeszcze zlustrował Pierwszą.

Czysto.

Obejrzawszy się na Kate i Hectera, podniósł prawą rękę.

Tamci wstali i ruszyli truchtem. Kate pewnie biegła przodem, Hecter trzymał się kilka kroków za nią. Ethan bez trudu poznał, w którym momencie spostrzegli ciała. Hecter poblądł, Kate zacisnęła zęby i nie mogli oderwać wzroku od zwłok.

– Świetnie ci poszło – zwrócił się Ethan do Maggie.

Po chwili wszyscy czworo znów byli razem.

– Ulica jest pusta – powiedział Ethan. – Nie wiem, czemu jest tak cicho, ale wykorzystajmy to. Teraz ruszamy całą grupą. Kierujemy się na sam środek ulicy.

– Dlaczego? – spytał Hecter. – Nie jest bezpieczniej trzymać się blisko domów, zamiast być na otwartej przestrzeni?

– Zakamarki nam nie sprzyjają – odparł Ethan.

Odczekał chwilę, aby Hecter i Kate złapali oddech.

Potem wstał.

– Co jest naszym następnym celem? – zapytała Kate.

– Dwie przecznice stąd, po drugiej stronie ulicy stoi zielony dom. Od frontu rośnie rząd jałowców.

Ukryjemy się za nimi. Wszyscy gotowi?

– Chcesz, żebym szła z tyłu? – spytała Kate.

– Tak. Osłaniaj nas od prawej i co pewien czas oglądaj się za siebie, żeby się upewnić, że nas nie oskrzydłają.

Na Ósmej Ulicy wstał zwodniczo spokojny dzień.

Truchtem biegli jezdnią, mijając śliczne wiktoriańskie domy znajdujące się po obu stronach. Nieskazitelne płoty białły w porannym słońcu. Ethan czuł w żołądku ssanie. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadł.

Na przemian przyglądał się budynkom po lewej i drodze przed nimi.

Najbardziej niepokoiły go podwórka – te wąskie kaniony między domami, prowadzące na tylne podwórza, ukryte przed jego wzrokiem.

Grupa dotarła do pierwszego skrzyżowania.

Dziwne. Ethan spodziewał się, że w miasteczku będzie się roić od aberracji. Zastanawiał się, czy odeszły. Być może po nocnym splądrowaniu Wayward Pines wróciły do dziczy tą samą drogą, którą przyszły, przez bramę. Gdyby zdołał zapanować nad ogrodzeniem i po prostu zamknąć stwory na zewnątrz, to uprościłoby sprawę.

Od zielonego domu dzieliły ich już tylko dwa budynki.

Ethan przyspieszył kroku i popędził w stronę podwórza od frontu.

Nagle u jego boku pojawiła się Kate.

– Co się stało? – spytał bez tchu.

– Szybciej – wydyszała. – Po prostu biegnij.

Ethan dał susa na krawężnik, przemknął po trawie.

Zerknął za siebie: nic.

Dobiegli do jałowców.

Przedarli się przez gałęzie.

Skryli się w cieniu między krzakami a domem.

Wszystkim brakło tchu.

– Co się stało, Kate? – wydyszał Ethan.

– Widziałam jednego.

– Gdzie?

– W jednym z domów przy ulicy.

– W środku?

– Stał i wyglądał przez okno.

– Myślisz, że nas widział?

– Nie wiem.

Ethan powoli klęknął i wyjrzał zza jałowców.

– Schowaj się! – wyszeptała Kate.

– Muszę sprawdzić. Który to był dom?

– Brązowy z żółtymi wykończeniami. Na podwórzu stoją dwa gnomy.

Ethan ujrzał ten dom.

Zobaczył, jak siatkowane drzwi się zamykają, usłyszał odległe stukanie drewna o framugę.

Ale nie widział aberracji.

Ponownie skrył się za jałowcami.

– Stwór wyszedł – oznajmił. – Siatkowane drzwi właśnie się zamknęły. Nie wiem, gdzie teraz jest.

– Może obchodzić dom – zasugerowała Kate. – Skrada się pod ścianą. Jak inteligentne są te stworzenia?

– Przerażliwie.

– Czy wiesz, jak polują? Jak czułe mają zmysły?

– Nie mam pojęcia.

– Coś słyszę – powiedziała Maggie.

Umilkli.

Usłyszeli stukot i szuranie.

Ethan uniósł się na tyle, by ponownie wyrzeć zza krzaków.

Wyprostowany abik szedł chodnikiem w stronę domu.

Pazury stukały o beton.

Duży samiec.

Co najmniej sto kilo.

Niedawno się posilił. Ethan ledwo dostrzegł spore pulsujące serce, skryte pod warstwą zaschniętej krwi i wnętrzości przylegających do piersi jak śliniak.

Pod werandą stwór przystanął.

Odwrócił głowę.

Ethan szybko się schował.

Z palcem przytkniętym do ust nachylił się, żeby szepnąć Kate na ucho:

– Jest na werandzie, siedem metrów stąd. Może będziemy musieli walczyć.

Skinęła głową.

Ethan klęknął, uniósł strzelbę, wystawił głowę nad jałowiec.

„Czy umieściłeś nabój w magazynku?”

„Oczywiście, że tak. Ładowałem tę strzelbę zeszłej nocy”.

Abik zniknął, zostawiając silną woń.

Niewiele brakowało.

Nagle stwór wyskoczył z drugiej strony krzaka, wrzeszcząc i szczerząc kły. Jego oczy przypominały wilgotne czarne kamienie.

Przy ogłuszającym huku wystrzału runął plecami na trawę, ciemna krew chlusnęła z klatki piersiowej na przezroczystą skórę.

Kate już wstała.

Hecter i Maggie zamarli za jałowcem.

– Musimy ruszać – powiedział Ethan i zaczął się przedzierać przez gałęzie.

Abik jeszcze żył. Jęcząc, usiłował zatkać ranę o średnicy ponad dwóch centymetrów i z niedowierzaniem patrzył na ciekącą krew.

Gdy Ethan go mijał, stwór spróbował go schwytać, zaczepił szponem o dzinsy i bez trudu rozdarł materiał.

Kate znajdowała się tuż za Ethanem, ale Hecter i Kate mitrężyli.

– Ruchy! – zawołał Ethan.

Wybiegli na ulicę.

Pot zalewał Ethanowi czoło, piekł w oczy.

Przebiegli kolejne skrzyżowanie.

Nikt ich nie ścigał.

Ethan obejrzał się przez ramię na Ósmą.

Maggie i Hecter dzielnie przebierali nogami, gnając co sił w płucach, a jak okiem sięgnąć, ulica za nimi świeciła pustkami.

Cały kwartał po prawej stronie Ethana zajmowała szkoła.

Za siatką stały samotne sprzęty.

Huśtawki. Zjeżdżalnie. Karuzele.

Słup z piłką uwiązaną na sznurze.

Kosz do koszykówki.

W oddali czerwienił się ceglany gmach szkoły.

– O mój Boże – wykrztusiła Maggie.

Ethan się odwrócił.

Maggie zatrzymała się na środku jezdni i wpatrywała się w szkołę.

Wrócił do niej biegiem.

– Musimy ruszać dalej.

Maggie wskazała na coś ręką. Boczne drzwi szkoły otworzyły się, na progu stanął człowiek i zaczął do nich machać.

– Co robimy? – spytała Maggie.

„Co robimy?”

Jedna z decyzji, od których może zależeć wszystko.

Ethan wdrapał się na metrowe ogrodzenie i przebiegł po szkolnym dziedzińcu, mijając piaskownicę i drabinki w cieniu wielkiego krzewu ketmii, której pożółkłe liście zasłały chodnik.

Mężczyznę stojącym w drzwiach był Spitz. Pracował jako listonosz w Wayward Pines, co stanowiło interesujące zajęcie w miasteczku, gdzie nikt nie potrzebował usług pocztowych. Mimo to Spitz kilka dni w tygodniu przemierzał ulice, wpychał do skrzynek pocztowych lipne listy, zmyślane powiadomienia podatkowe i tym podobne bzdury. Ten barczysty brodacz szczyił się większym brzuszyskiem, niż można się było spodziewać po kimś, kto tyle chodził. Teraz miał na sobie postrzępioną czarną koszulkę i szkocką spódniczkę – kostium z igrzysk – a lewą rękę owinął sobie zakrwawionym materiałem. Na jego policzku ziała paskudna rana, z prawej nogi wyrwano mu kawał ciała.

– Witam, szeryfie – powiedział na widok zbliżającego się Ethana. – Nie spodziewałem się pana ujrzeć.

– Wzajemnie, Spitz. Wyglądasz tragicznie.

– To tylko skaleczenie. – Listonosz uśmiechnął się szeroko. – Sądziliśmy, że inne grupy zginęły.

– Nasza przeszła tunelami do jaskini.

– Ilu was jest?

– Dziewięćdziesiąt sześć osób.

– W szkolnej piwnicy mam osiemdziesiąt trzy.

– Harold? – spytała Kate.

– Przykro mi. – Spitz potrząsnął głową.

– Myśleliśmy, że wszyscy pozostali zginęli – powiedział Hecter.

– Napadły nas, kiedy przedzieraliśmy się do tuneli. Nad rzeką straciliśmy około trzydziestu ludzi. Prawdziwa jatka. Jak widzicie, szamotałem się z jednym z tych skurwieli. Dopiero pięciu ludzi go odciągnęło, a gdyby ktoś nie miał maczety, ten drań zabiłby nas wszystkich. Minutę temu usłyszałem strzał, więc wyszedłem.

– Jeden z abików rzucił się na nas niedaleko stąd – wyjaśnił Ethan. – Myśleliśmy, że może

wszystkie wróciły do lasu.

– O, nie. W mieście jest ich pełno. Biegałem i sprawdzałem okoliczne domy, gdzie nadal kryją się ludzie. Przed świtem uratowałem Gracie i Jessicę Turner. Jim zamknął je w szafie. Jego nie ma w waszej grupie, prawda?

– Widziałem go zeszłej nocy – powiedział Ethan. – Nie przeżył.

– Szkoda.

– Jak się mają twoi ludzie? – spytała Maggie.

– Trójka zmarła w nocy od ran. Dwie osoby są w bardzo kiepskim stanie, pewnie nie przeżyją dnia.

Kilku z nas zostało mocno poturbowanych. Wszyscy są przerażeni. Nie mamy jedzenia, tylko trochę wody ze szkolnych poideł. W naszej grupie znalazł się nauczyciel i gdyby nie powiedział, żeby tu przyjść, na pewno wszyscy byśmy zginęli. Zeszłej nocy trwała prawdziwa wojna.

– Jak bezpieczna jest piwnica? – spytał Ethan.

– Mogło być gorzej. Zabarykadowaliśmy się za podwójnymi drzwiami w sali do muzyki. Nie ma okien. Jedno wejście i wyjście. Nie twierdzę, że drzwi nie da się sforsować, ale na razie się trzymamy.

Kilka przecznic dalej rozległ się krzyk.

– Lepiej ładujcie tyłki do środka – powiedział Spitz. – Wygląda na to, że to, coście zabili, miało kumpla.

Ethan spojrzał na Kate, potem znów na Spitza.

– Idę na górę – powiedział. – Do Pilchera.

– Jeśli macie rannych, może zdołam pomóc – rzuciła Maggie. – W dawnym życiu chodziłam do szkoły pielęgniarstwa.

– Przyjmiemy cię z radością – odparł Spitz.

Na pierwszy krzyk odpowiedział drugi.

– Macie jakąś broń? – spytał Ethan.

– Maczetę.

„Cholera”. Powinien zostawić z nimi kogoś, kto umie strzelać. Ta grupa potrzebowała lepszej ochrony niż jeden spory nóż.

– Kate, ty też zostaniesz z nimi – zdecydował.

– Potrzebujesz mnie.

– Owszem, ale co będzie, jeśli oboje zginiemy? Jeżeli nie wrócę, ty będziesz naszym planem awaryjnym. Tymczasem możesz ochraniać tych ludzi.

Wtedy odezwał się Hecter, ale takim tonem, jakby jeszcze nie całkiem oswoił się z tą myślą:

– Cóż, Ethanie. Wygląda na to, że zostajemy tylko my dwaj.

– Zobaczymy cię znowu, szeryfie? – spytał Spitz.

– Nadzieja umiera ostatnia. – Ethan złapał Maggie za rękę i spytał: – W szufladzie nocnego stolika?

– Tak, wejdź na piętro i skręć w prawo. To drzwi w końcu korytarza.

– Twój dom jest zamknięty?

– Nie.

– Który to?

– Różowy z białymi wykończeniami. Na drzwiach frontowych wisi wieniec.

Maggie i Spitz weszli do szkoły.

Ethan zaczął się odwracać, ale Kate złapała go i położyła mu chłodne dłonie na karku. Przyciągnęła go ku sobie, aż ich usta się spotkały, i nagle zaczęła go całować, a on jej na to pozwalał.

– Uważaj na siebie – powiedziała i zniknęła w drzwiach.

Ethan spojrzał na Hectera.

Aberracje wyły.

– Dwie przecznice – oznajmił Ethan. – Damy radę.

Przebiegli przez szkolny dziedziniec, między stołami piknikowymi, wypadli na boisko i pomknęli w stronę ogrodzenia.

Obejrawszy się, Ethan ujrzał na ulicy kilka bladych sylwetek poruszających się na czterech łapach.

Ze strzelbą zarzuconą na ramię przeskoczył ogrodzenie i pognał przed siebie.

Wpadł na skrzyżowanie.

Po prawej: czysto.

Po lewej: cztery blade postacie oddalone o jakieś trzy przecznice.

Przebiegł jeszcze kilka metrów, gdy nagle z jednego z frontowych okien wyskoczył abik i ruszył na niego.

– Biegnij dalej! – krzyknął do Hectera, przystanął, załadował świeży nabój i wycelował.

Gdy Hecter przemykał obok, Ethan położył potwora strzałem w głowę.

Potem pobiegł za towarzyszem, a kiedy zbliżali się do ostatniego skrzyżowania przed domem Maggie, uzmysłowił sobie, że nie spytał, jak wygląda jej samochód. W tej okolicy było ich mnóstwo, przed samym domem Maggie stały dwa.

Od strony Głównej, o przecnicę od nich, pojawiło się sześć aberracji. Ethan odwrócił się w samą porę, by ujrzeć, jak wybiegają zza rogu nieopodal szkoły.

Pędem przebyli ostatnie dziesięć metrów podwórza Maggie.

Wbiegli po schodach na zadaszoną werandę.

Ethan szarpnął siatkowane drzwi.

Abiki darły się wniebogłosy.

Zbliżały się.

Hecter tracił panowanie nad sobą.

Ethan przekręcił klamkę, pchnął barkiem drzwi i wpadli do domu.

– Zamknij drzwi na klucz! – zawołał, gdy Hecter znalazł się już środkiem. – Stań w połowie schodów i rozpiardol wszystko, co wlezie.

– Dokąd idziesz?

– Po kluczyki do wozu.

Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

Wrzaski przenikały przez ściany.

Na piętrze skręcił w prawo i popędził ku zamkniętym drzwiom w końcu korytarza.

Nie zwalnając kroku, wyłamał drzwi.

Żółte ściany, białe sztukaterie.

Zaciągnięte miękkie zasłony.

Szlafrok *frotté* rzucony na oparcie krzesła.

Duże, schludnie posłane łóżko pełne poduszek.

Na nocnym stoliku kilka powieści Jane Austen i naczynie do palenia kadzidła.

W zimnym powietrzu wciąż unosiła się woń dymu.

Azyl Maggie.

Ethan przypadł do stolika, otworzył szufladę.

Na parterze trzask rozbijanych szyb.

Łoskot pękającego drewna.

Wściekły warkot.

W chwili gdy Ethan sięgał do szuflady po kluczyki, Hecter krzyknął.

Po chwili rozległ się huk wystrzału.

Aberracje wrzeszczały.

– O Boże! – zawołał Hecter.

Chrzęst ładowania kolejnego naboju.

Bum.

Chrzęst.

Łuska potoczyła się po schodach.

Ethan wepchnął kluczyki do kieszeni dzinsów i wyskoczył na korytarz.

Hecter przeraźliwie krzyczał.

Koniec strzelaniny.

Ślizgając się po drewnianej podłodze, Ethan dopadł szczytu schodów i próbował wyhamować.

Krew.

Wszędzie.

Na Hectera rzuciły się trzy aberracje: jeden stwór szarpał go za prawą nogę, drugi rozdzierał biceps ręki, trzeci przegryzał powięź mięśni brzucha.

Nie przestając krzyczeć, Hecter uderzał wolną ręką w głowę abika, który wydzierał mu wnętrzności.

Ethan podniósł strzelbę.

Pierwszym pociskiem odstrzelił głowę stworowi wgrzyżającemu się w brzuch Hectera, drugiego zdjął, gdy ten, warcząc, uniósł łeb. Trzeci zdążył z wystawionymi pazurami skoczyć w stronę Ethana. W ostatniej chwili zdołał załadować mossberga i wypalić.

Abik stoczył się ze schodów i wpadł na dwa inne, które tymczasem wdarły się frontowymi drzwiami.

Ethan załadował strzelbę i oparł się o poręcz schodów, próbując zaplanować następny ruch. Walczył z paniką, z nieodpartym przekonaniem, że oto wszystko diabli brali. Lewa ręka tak go bolała po kopnięciu mossberga, że samo przyciskanie kolby do ramienia było torturą.

Dwa stwory wypełzły spod martwego towarzysza i ruszyły na Ethana, ale położył je trupem na schodach.

W domu unosił się dym z wystrzałów i przez chwilę jedynym odgłosem był syk krwi, która tryskała z tętnicy udowej Hectera wprost na drzwi wejściowe.

Zalane krwią schody wyglądały zdradliwie.

Jęcząc i dygocząc, z wyrazem przerażonego zdumienia Hecter trzymał w dłoniach własne wnętrzności.

Na szczęście szybko się wykrwawiał. Z powodu bladości i zimnego potu ściekającego z czoła jego twarz nabrała trupiego połysku.

Hecter patrzył na Ethana tak, jak może patrzeć jedynie żołnierz na towarzysza broni, którego ominęła kula.

Strach.

Niedowierzenie.

„Proszę-Boże-powiedz-że-to-się-nie-dzieje”.

Drzwi wejściowe były wyrwane z zawiasów, więc Ethan mógł zobaczyć, jak na podwórzu wbiega coraz więcej aberracji.

Zaczęłyby pożerać Hectera, zanim ten zdążyłby umrzeć.

Ethan wyciągnął pistolet, odbezpieczył.

Chociaż nie miał pojęcia, czy to prawda, powiedział:

– Idziesz tam, gdzie jest lepiej.

Hecter nie spuszczał z niego oczu.

„Powinienem być pozwolić, żebyś to ty poszedł po kluczyki”.

Strzelił pianiście między oczy. Gdy potwory przekraczały próg, on biegł już korytarzem, oddalając się od sypialni Maggie.

Błyskawicznie skręcił w drugie drzwi po prawej.

Cicho zamknął je za sobą i przekręcił zamek, choć wiedział, że to żadna przeszkoda.

Pod oknem z matową szybą stała wanna na nogach w kształcie zwierzęcych łap.

Idąc w jej stronę, usłyszał za drzwiami odgłosy aberracji.

Posiłały się.

Ethan położył strzelbę na umywalce i wszedł do wanny.

Odryglował okno.

Uniósł je na pół metra.

Ciasno.

Stanąwszy na brzegu wanny, wyjrzał przez okno na niewielkie podwórze za domem, ogrodzone i puste.

Zaskrzypiały schody.

Po chwili rozległ się huk, jakby coś wpadło z dużą szybkością na drzwi łazienki.

Ethan zszedł z wanny i chwycił strzelbę.

Za drzwiami wrzasnął abik.

Znów uderzenie.

Drewno zaczęło pękać pośrodku.

Ethan załadował strzelbę, wypalił w drzwi i usłyszał łomot padającego ciała.

Przez szparę nad podłogą wpływała krew, tworząc kałużę na szachownicy kafelków.

Ethan wdrapał się na wannę.

Strzelbę rzucił na dach i przecisnął się przez okno w chwili, gdy kolejny abik próbował wyważyć drzwi.

Kłęcząc pod okienną framugą, Ethan załadował osiem naboí i zarzucił strzelbę na ramię.

Potwór wciąż usiłował sforsować drzwi łazienki.

Ethan zamknął okno i ostrożnie zszedł do krawędzi dachu.

Podwórze znajdowało się cztery metry pod nim.

Ukląkł, chwycił za rynnę i zsunął się po niej, zmniejszając tym samym długość zeskoku do półtora metra.

Mimo że ugiął nogi, by zamortyzować siłę upadku, mocno uderzył o ziemię, poturlał się i szybko wstał.

Przez przeszklone tylne drzwi widział wbiegające do domu stwory.

Przebiegł truchtem przez wyłożone cegłami patio, czując w kościach i każdym centymetrze ciała coraz silniejszy, rozdzierający ból.

W półtorametrowym ogrodzeniu ze starych desek, grubych na dwa i pół centymetra, szerokich na piętnaście, widniała brama wiodąca na boczne podwórze.

Wyjrzał górą: ani śladu aberracji.

Odrygłował bramę i uchylił, akurat na tyle, by się przecisnąć.

Na piętrze rozległ się trzask rozbijanego szkła.

Truchtem przebiegł wzdłuż domu, przed frontowym podwórzem zwolnił.

Na razie pusto.

Spojrzał na dwa samochody stojące na chodniku przed domem Maggie.

Stary jeep CJ-5 z miękkim dachem.

Biały buick kombi przypominający eksponat muzealny.

Z kieszeni wydobyl kluczyki.

Trzy, spięte kółkiem, same płaskie.

Gdzieś nad głową usłyszał chrobot, mogący być odgłosem sunących po dachu pazurów.

Wybiegł na podwórze.

W połowie drogi do krawężnika obejrzał się i zobaczył abika zeskakującego z dachu na werandę.

Stwór opadł na ziemię i ruszył do ataku.

Ethan zrobił zwrot, uniósł strzelbę i wypalił w splot słoneczny bestii.

W domu zawrzało.

Kombi stało najbliżej.

„Mam pięćdziesiąt procent szans, że to samochód Maggie”.

Ethan szarpnął drzwi od strony pasażera, dał nura do środka i zatrzasnął je.

Siadając za kierownicą, wepchnął pierwszy kluczyk do stacyjki.

Nic.

„No, dalej”.

Kluczyk numer dwa.

Wsunął się gładko.

Ale nie dał się przekręcić.

Z drzwi wejściowych domu Maggie wypadł abik.

Numer trzy.

Za pierwszym pojawiły się cztery następne, dwa z nich podbiegły po trawie do umierającego towarzysza, a tymczasem trzeci kluczyk nie chciał się nawet wsunąć do stacyjki.

„Szlag. Szlag. Szlag. Szlag. Szlag”.

Ethan skulił się na siedzeniu i przywarł do podłogi.

Nic nie widział, ale słyszał abiki na podwórzu.

„Za chwilę zajrzą, zobaczą cię i co wtedy? Ruszaj natychmiast”.

Chwycił klamkę i cicho pociągnął.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Ethan wypełził na chodnik. Samochód osłaniał go od strony domu.

Na ulicy ani śladu potworów.

Wstał akurat na tyle, by zajrzeć przez okna.

Na frontowym podwórzu naliczył sześć osobników, przez otwarte drzwi widział dwa kolejne, zjadające to, co zostało z Hectera.

Wóz terenowy stał o parę kroków od zderzaka kombi.

Ethan wziął strzelbę z przedniego siedzenia i poczołgał się po chodniku.

Gdy znajdował się między buickiem a jeepem, przez kilka sekund był nieosłonięty, ale stwory go nie zauważyły.

Wstał i spojrział przez plastikowe okna miękkiego dachu.

Kilka aberracji zdążyło wrócić do domu.

Inna wciąż pochlipywała nad ciałem tej, którą przed chwilą zastrzelił Ethan.

Drzwi kierowcy nie były zamknięte na klucz.

Ethan wsiadł, odłożył strzelbę między fotele.

Gdy wsuwał pierwszy kluczyk, abik wrzasnął.

Dostrzegły go.

Biegły w jego stronę.

Przekręcił.

Nic.

Zaczął wymacywać drugi kluczyk, ale szybko pojął, że nie zdąży. Chwyciwszy strzelbę, wyskoczył z wozu i wybiegł na jezdnię.

Pięć stworów mknęło prosto na niego.

„Nie spudłuj, bo zginiesz”.

Najpierw położył tego, który biegł na przedzie, potem dwa po lewej. Popędził ulicą, ścigany przez ostatnią parę.

Czwartego skosił dopiero trzecim strzałem.

W strzelbie został ostatni nabój.

Z domu wypadły kolejne trzy bestie. Kątem oka dostrzegł ruch na okolicznych ulicach: ze wszystkich stron nadciągały hordy.

Warkot za plecami kazał mu odwrócić głowę.

Dwa abiki pędziły jak pociski wprost na niego: spora samica z mniejszym osobnikiem, który nie mógł ważyć więcej niż trzydzieści kilo.

Wycelował w mniejszego.

Bingo.

Stwór potoczył się po chodniku.

Jego matka o kremowych oczach zahamowała z poślizgiem i pochyliła się nad martwym potomkiem.

Z jej pyska dobył się przeciągły, rozdzierający skowyt.

Ethan wyrzucił pustą łuskę.

Wycelował.

Samica spojrzała na niego, a w jej zmrużonych oczach płonęła nienawiść.

Stając na tylnych łapach, runęła na Ethana.

Wrzeszczała.

Klik.

Brak nabojów.

Odrzucił strzelbę, wyjął pistolet i cofając się w stronę jeepa, strzelił samicy w szyję dwoma nabojami kaliber pięćdziesiąt.

Potwory były już wszędzie.

Ethan przypadł do wozu.

Na maskę wskoczył abik, który musiał mieć dobrze ponad dwa metry wzrostu.

Ethan odruchowo strzelił dwa razy w jego klatkę piersiową.

Właśnie sięgał do drzwi kierowcy, gdy z tyłu wozu ukazał się następny potwór.

Ethan powalił go strzałem w głowę z bliskiej odległości. Pół sekundy później bestia rozorałaby mu tchawicę pazurami.

Wsiadł do jeepa.

Nie pamiętał, który kluczyk próbował ostatnim razem, więc po prostu wsunął pierwszy, jaki się napatoczył.

Za plastikowym oknem od strony pasażera ukazała się głowa abika.

Szpony przecięły plastik i do środka wsunęła się długa, umięśniona kończyna.

Ethan pochwycił z kolan desert eagle'a i strzelił w pysk stwora, gdy ten usiłował wślizgnąć się

środką.

Kluczyk nie chciał się przekręcić.

Kiedy Ethan zaczął się mocować z następnym, do głowy przyszła mu przerażająca myśl: a jeśli samochód Maggie stoi po drugiej stronie ulicy? Albo przy chodniku nieco dalej? Przecież chyba nigdy nie musiała z niego korzystać.

„W takim razie poźrą mnie żywcem w tym jeepie”.

Za Ethanem coś chlasnęło.

Odwrócił się i ujrzał czarny pazur rozdzierający plastikowe tylne okno.

Widok przez stary brudny plastik był zamazany, ale zdołał dostrzec zarys sylwetki i wycelować.

Strzelił.

Na rozdarte okno trysnęła krew, zamek pistoletu wrócił na miejsce.

Pusty.

Ponieważ miał tylko jeden magazynek, potrzebowałby co najmniej trzydziestu sekund, by wyjąć pudełko z pięćdziesiątkami, załadować...

Zaraz.

Nie.

Przecież nie wziął zapasowej amunicji do desert eagle'a.

Tylko do mossberga.

Aberracje podchodziły coraz bliżej. Przez przednią szybę widział ich cały tuzin. Słyszał, jak z domu Maggie wyłażą następne i ruszają w jego stronę.

Ethan chwycił drugi kluczyk. Przez głowę przemknęła mu myśl: „Dziwne, moje życie zależy o tego, czy ten kluczyk się przekręci”.

Kluczyk wsunął się do stacyjki.

Ethan z całej siły wcisnął sprzęgło.

„Proszę”.

Silnik obrócił się kilkakrotnie...

I ożył.

Ten warkot był życiem.

Ethan puścił ręczny hamulec i poruszył przekładnią biegów.

Wrzucił wsteczny i dodał gazu.

Jeep skoczył w tył i uderzył w kombi, przygniatając wrzeszczącego abika do zderzaka. Ethan wrzucił jedynekę, przekręcił kierownicę, wcisnął gaz do oporu.

Na jezdnię.

Wszędzie chmary aberracji.

Gdyby prowadził solidny samochód, nie zawahałby się przed wjechaniem w stado, ale jeep był zwartym pojazdem o wąskim rozstawie kół, przez co łatwo mógł się przewrócić.

Ethan wątpił, czy terenówka zniosłaby zderzenie czołowe z choćby średniej wielkości samcem.

Dobrze by więc było przyspieszyć.

Chcąc wyminąć abika, skręcił gwałtownie i przez chwilę jechał na dwóch kołach.

Wyrównał kurs, cztery stwory pędziły prosto na niego jak kamikaze.

Ostro skręcił na chodnik, z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę staranował płot, przeciął frontowe podwórze domu na rogu, przebił płot po drugiej stronie. Jeep zachybotał gwałtownie, zjeżdżając z krawężnika, opony zajęczały, gdy Ethan wyprostował kierownicę.

Jezdnia przed nim była czysta.

Silnik obracał się z maksymalną szybkością.

Ethan zredukował do dwójki.

Ten wóz nie miał pod maską byle czego.

Zerknął w lusterko boczne.

Środkiem jezdni goniło go trzydzieści, może czterdzieści aberracji, których wrzasków nie zagłuszał nawet ośmiocylindrowy silnik.

Z szybkością stu kilometrów na godzinę przemknął wzdłuż kolejnego kwartału domów.

Minął park dla małych dzieci, gdzie na trawie kilkanaście młodych abików posilało się przy stercie ciał.

Tam musiało leżeć ze czterdzieści, pięćdziesiąt zwłok. Jedna z grup, które spotkała zagłada.

Szósta Aleja raptownie się urywała.

W oddali widniał wysoki sosnowy las.

Ethan zredukował biegi.

Aberracje zostawił pół kilometra za sobą.

Na Trzynastej ostro skręcił w prawo i ponownie dodał gazu.

Przez kilkadziesiąt metrów jechał wzdłuż lasu, minął szpital.

Raz jeszcze zredukował biegi i powoli skręcił w lewo, na główną szosę wychodzącą z miasteczka.

Gaz do dechy.

Zerknął w lusterko wsteczne: Wayward Pines stawało się coraz mniejsze.

Minął pożegnalny billboard, zastanawiając się, czy od wybuchu chaosu komukolwiek udało się dotrzeć tak daleko.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie minął oldsmobile'a stojącego na poboczu. Szyby wybito niemal do cna, karoserię pokrywały wgniecenia i zadrapania. Ktoś usiłował uciec na rogatki, ale grupa abików dopadła nieszczęśnika.

Przy znaku „ostry zakręt” skręcił z szosy w las.

Nie zwalniając, jechał wśród drzew.

W oddali ujrzał głązy.

W kieszeni miał pełno nabołów do strzelby, ale nie miał strzelby.

Dysponował śmiertelnośnym pistoletem bez nabołów.

Trudno uznać, że był doskonale przygotowany na to, co zamierzał zrobić.

Sto metrów przed nim wznosiła się spora grupa skał, maskująca wejście do superstruktury.

Ethan wrzucił drugi bieg i mocniej ścisnął kierownicę.

Pięćdziesiąt metrów.

Wdusił do oporu pedał gazu, z wentylatorów buchało ciepło forsowanego silnika.

Zbliżywszy się na dwadzieścia pięć metrów, zebrał się w sobie.

Wskazówka szybkościomierza nie opadała.

Z siedemdziesiątką na liczniku pędził prosto na skały.

THERESA BURKE

Znajdowała się w Seattle, w ich starym domu w Queen Anne. Rodzina była na tylnym podwórzu. Trwał jeden z tych doskonałych letnich wieczorów, kiedy widać dosłownie wszystko. Górę Rainier. Zatoki Puget Sound i Centrum Olimpijskie za wodą. Jezioro Union i linię wieżowców. Wszystko chłodne i zielone, woda migotała w zachodzącym słońcu. Udrękę chłodnych, szarych dni nieprzerwanej mżawki rekompensowały takie właśnie późne wieczory. Piękno miasta było niemal nie do zniesienia.

Ethan stał przy grillu, gdzie piekł filety z łososia na cedrowym drewnie polanym winem. W hamaku Ben brzdąkał na gitarze akustycznej. Ona tam była. Wszystko wibrowało, sen graniczył z jawą. Podchodząc do męża i kładąc mu dłonie na ramionach, Theresa wątpiła, czy to się dzieje naprawdę, ale przecież czuła aromat pieczonej ryby, smak dobrego burbona w ustach, miłe odrętwienie w nogach.

– Chyba już są gotowe – powiedziała, a wtedy świat zacząć dygotać i choć już miała otwarte oczy, otworzyła je znowu i ujrzała Bena, który nią potrząsał, by ją zbudzić.

Theresa usiadła na zimnych kamieniach jaskini, przez chwilę nie wiedząc, gdzie się znajduje. Ludzie biegli obok niej w stronę drzwi z ciężkich sosnowych bali, teraz otwartych na oścież.

Sen rozwiewał się szybko, realny świat nacierał jak łomotanie kaca. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio śniło się jej dawne życie, a fakt, że stało się to właśnie teraz, wydał się jej szczególnie okrutny.

– Dlaczego drzwi są otwarte? – spytała Bena.

– Mamo, musimy iść.

– Czemu?

– Abiki wracają. Jeden ze strażników wypatrzył stado wdrapujące się na skały.

Theresa natychmiast oprzytomniała.

– Ile? – zapytała.

– Nie wiem.

– Dlaczego wszyscy opuszczają jaskinię?

– Uważają, że drzwi nie wytrzymają ponownego natarcia. Chodź.

Ben ujął matkę za rękę i pomógł jej wstać.

W miarę jak ludzie zaczęli się zbliżać do otwartych drzwi, narastała wśród nich panika. Zbijali się w grupki, szturchali sąsiadów w żebra, ocierali się o siebie. Theresa złapała Bena za rękę i pchnęła go przed siebie.

W końcu przekroczyli próg.

Głosy w tunelu rozbrzmiewały echem, wszyscy przepychali się ku światłu.

Theresa i Ben stanęli pod tak błękitnym niebem, że sprawiało wrażenie sztucznego. Było południe. Theresa podeszła na sam skraj urwiska, a gdy spojrzała w dół, poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– Jezu – wykrztusiła.

Po zboczu wspinało się co najmniej dwadzieścia aberracji.

U podnóża skał, sto metrów niżej, zbierało się pięćdziesiąt kolejnych.

Z lasu nadciągały dalsze.

Ben ruszył w stronę krawędzi, ale matka go powstrzymała:

– Nawet o tym nie myśl.

Jeżeli w jaskini panował chaos, to na zewnątrz zaczynała narastać histeria. Ludzie zobaczyli, na co się zanoszą. Niektórzy pobiegli z powrotem do tunelu. Inni usiłovali wspiąć się wyżej na zbocze. Kilka osób, zastygłych z przerażenia, siedziało na skale i próbowało wyprzeć świat zewnętrzny.

Ludzie uzbrojeni przez Ethana zajmowali pozycje na najwyższej skalnej półce i mierzyli do abików wdrapujących się po stoku.

Theresa ujrzała, jak jedna z kobiet upuszcza strzelbę.

Zobaczyła mężczyznę, który się potknął i z krzykiem runął w dół, prosto na las.

Rozbrzmiał pierwszy strzał.

– Mamo, co robimy?

Theresa nie mogła znieść przerażenia narastającego w oczach Bena. Obejrzała się na kamienistą ścieżkę wiodącą do jaskini.

– Może trzeba było zostać w środku? – pytał Ben.

– I modlić się, żeby drzwi wytrzymały? Nie.

Na prawo od jaskini biegł wąski występ skalny, okalający górę. Z tej odległości Theresa nie mogła ocenić, czy nadaje się on do przejścia, ale zawsze było to coś.

– Idziemy. – Chwyciła syna za ramię i pociągnęła ku ścieżce prowadzącej do tunelu. Za nimi rozpętała się strzelanina.

– Myślałem, że mówiłaś...

– Nie wracamy do jaskini, Ben.

Dotarli do skały i Theresa dokładniej przyjrzała się półce, która mogła mieć najwyżej trzydzieści centymetrów szerokości. Żadnych desek, żadnych kabli. Ledwo nadawała się do użytku.

W lesie pod nimi wrzasnął abik.

– Musimy pójść po tej półce skalnej – powiedziała.

– Wygląda strasznie – stwierdził Ben, przyglądając się wąskiej, stworzonej przez przyrodę ścieżce

wokół góry.

– Wolisz tkwić w jaskini, kiedy pięćdziesiąt potworów wyważy drzwi?

– A co z innymi ludźmi?

– Moim zadaniem jest ochraniać cię. Gotowy?

Chłopiec nerwowo przytaknął.

Theresa poczuła skurcz żołądka. Podeszła do występu, przylgnęła do skały i zaczęła ją badać. Idąc drobnymi, posuwistymi kroczkami, wyszukiwała zagłębienia na dłonie. Po przejściu półtora metra obejrzała się na Bena.

– Widzisz, jak to robię?

– Tak.

– Teraz twoja kolej.

Już opuszczenie szerokiej drogi wiodącej w głąb góry przyszło jej z trudem, ale na widok syna wstępującego na wąską półkę poczuła, jak zamiera jej serce. Ben natychmiast spojrzał w dół.

– Nie, nie rób tego, kochany. Popatrz na mnie.

Ben podniósł wzrok i stwierdził:

– W świetle dnia to jest jeszcze straszniejsze.

– Skoncentruj się na stawianiu bezpiecznych kroków i nie odrywaj dłoni od ściany. Znajdziesz miejsca na uchwyt.

Ben zaczął iść ku matce drobnymi krokami.

W końcu do niej dotarł.

Wolno posuwali się dalej.

Po siedmiu metrach pod ich stopami rozwarła się przepaść: sto trzydzieści metrów urwiska nad dnem lasu, tak pionowego, że spadając, nie byłoby o co zaczepić, zanim nie runęłoby się na sam dół.

– Jak sobie radzisz, stary? – spytała Theresa.

– W porządku.

– Patrzysz w dół?

– Nie.

Theresa zerknęła za siebie. Syn patrzył w dół.

– Cholera jasna, Ben.

– Nie mogę nic na to poradzić – odparł. – W brzuchu robi mi się dziwnie, jakby coś łaskotało.

Theresa pragnęła wyciągnąć rękę, wziąć jego dłoń, przytulić go.

– Musimy iść dalej – ponagliła.

Nie miała pewności, ale półka chyba się zwięzała. Jej lewa stopa, ustawiona prostopadle do ścieżki, palcami w stronę góry, wystawała parę centymetrów za krawędź.

Kiedy dotarli do zakrętu, od strony jaskini dobiegły odgłosy kanonady. Obejrzeni się za siebie. Kilkadziesiąt osób bezładnie uciekało w stronę jaskini, próbując umknąć przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Znad krawędzi zbocza wypęły blade, półprzezroczyste stwory. Przeróżnie wrzeszczały. Gdy tylko stanęły na płaskim gruncie, pognały za ludźmi.

– Co będzie, jak nas zobaczą? – spytał Ben.

– Nie ruszaj się – szepnęła Theresa. – Nawet nie drgnij.

Kiedy ostatni abik – naliczyła ich czterdzieści cztery – wbiegł do wnętrza, powiedziała:

– Ruszamy.

Gdy pokonywali zakręt, od strony tunelu dało się słyszeć donośne, głuche dudnienie.

– Co to jest? – zapytał Ben.

– Abiki. Dobijają się do drzwi jaskini.

Theresa przywarła do zbocza i czując serce w gardle, wyszła na piętnastocentymetrową półkę.

Nagle w tunelu rozbrzmiały potężne, chóralne wrzaski.

CZEŚĆ VI

HASSLER

Zakłady Gazownictwa w Seattle, stan Waszyngton

1816 lat wcześniej

Hassler przewraca burgery na grillu. Stoi w cieniu ruin Zakładów Gazownictwa w Seattle, zbieraniny zardzewiałych cylindrów i żelastwa, które z daleka wyglądają niczym krajobraz w stylu steampunk*. Szmaragdowa trawa schodzi do jeziora Union, migoczącego w późnopołudniowym słońcu. Czerwiec. Ciepło. Chyba wszyscy mieszkańcy wylegli, by cieszyć się rzadkim, idealnym dniem.

Żaglówki urozmaicają jezioro barwnymi trójkątami.

Latawce barwią niebo.

W powietrzu śmigają talerze frisbee. Z hali kompresorów przerobionej na plac zabaw dobiega radosny dziecięcy śmiech.

Właśnie odbywa się doroczny piknik lokalnego wydziału służb specjalnych, a Hassler nie może wyjść ze zdumienia na widok swoich ludzi w sandałach. Gdzie się podziały wyprasowane czarne garnitury i kostiumy?

Jego asystent Mike podchodzi z dwoma pustymi talerzami i zamawia dwie kielbasy.

Nadziejając kielbasę, Hassler dostrzega Theresę Burke, która oddala się od grupy i schodzi nad jezioro w tempie raczej niewskazującym na leniwą przechadzkę.

Odkłada widelec i zerka na asystenta.

– Mówiłem już, że postanowiłem cię awansować? – pyta.

Zaskoczony Mike otwiera szeroko oczy. Ten młody człowiek pracuje dla Hasslera już od ośmiu miesięcy, ale zdążył kilkakrotnie wykazać się całkowitą nieświadomością faktu, że jego głównym celem w życiu jest odbieranie telefonów, nalewanie kawy i spisywanie tego, co podyktuje mu agent specjalny.

– Poważnie? – pyta Mike.

Hassler zdejmuje przez głowę fartuch w czerwono-białą szachownicę, po czym mianuje czeladnika:

– Do twoich nowych obowiązków należy pytanie ludzi, czy mają ochotę na hamburgera, kielbasę, czy może jedno i drugie. Masz też pilnować, żeby nic się nie spaliło.

– Właśnie chciałem zanieść Lucy talerz z jedzeniem – mówi Mike, który jakby trochę oklapł.

– To twoja nowa dziewczyna?

– Mhm.

– Zawołaj ją tu i przekazaj nowiny. – Hassler klepie Mike'a w ramię, oddala się od grilla i schodzi po upstrzonej jaskrami trawie.

Theresa stoi nad wodą.

Hassler schodzi na brzeg i staje kilka metrów od niej, udając, że podziwia olśniewający widok.

Nadajniki radiowe na szczycie Capitol Hill.

Zabudowania na stokach Queen Anne.

Po chwili zerka w bok.

Theresa wpatruje się w wodę, jest spięta, zaciska zęby.

– Wszystko gra? – pyta Hassler.

Kobieta wzdryga się, spogląda na niego, ociera oczy i posyła mu wymuszony uśmiech.

– Jasne. Po prostu cieszę się tym dniem. Szkoda, że tak rzadko to robimy.

– Pewnie. Żałuję, że nie potrafię żeglować.

Theresa odwraca głowę w stronę parku, gdzie przyjęcie trwa w najlepsze.

Hassler podąży wzrokiem za jej spojrzeniem.

Wiatr przynosi woń piwa serwowanego w plastikowych kubkach.

Po chwili Hassler dostrzega Ethana Burke'a i Kate Hawson, stojących na uboczu, tylko we dwoje.

Kate zaśmiewa się z opowieści czy żartu, którym Ethan ją zabawia, żywo gestykulując.

Hassler podchodzi do Theresy.

– Nieszczególnie się bawisz, co?

Ona potrząsa głową.

– Rodziny muszą się czuć dziwnie na tych firmowych imprezach. Moi agenci całymi dniami przebywają w swoim towarzystwie. Pewnie spędzają razem więcej czasu niż ze współmałżonkami. Potem przychodzisz tu i czujesz się obco.

– Otóż to – potwierdza z uśmiechem Theresa. Chce powiedzieć coś jeszcze, ale gryzie się w język.

– Co takiego? – zachęca Hassler i podchodzi bliżej. Czuje zapach jej odżywki do włosów, mydła, którego użyła tego ranka.

Zielone oczy Theresy jaśnieją. Hassler czuje prąd wędrujący od czubka jego głowy aż do trzewi. W jednej chwili doznaje mdłości, uniesienia, przerażenia. Budzi się do życia.

Wprost promienieje.

– Czy powinnam się martwić? – pyta Theresa.

– Martwić?

– Nimi – wyjaśnia, ścisząc głos. – Ethanem i... – Wyraźnie nie chce nawet wymówić tego imienia, jakby zostawiało w ustach przykry smak. – Kate.

– W jakim sensie się martwić?

Hassler doskonale wie, ale chce to usłyszeć z jej ust.

– Jak długo są partnerami? Od czterech miesięcy? – pyta Theresa.

– Tak, coś takiego.

– To intensywne relacje, prawda? Takie partnerstwo?

– Zdarza się. Ludzie pracują razem, często do późnych godzin. Czasem trzeba powierzyć własne życie drugiej osobie.

– Czyli ona jest jakby jego żoną w pracy.

– Trudno by mi było wymienić parę podległych mi agentów, którzy nie są sobie bliscy. Charakter tej pracy bardzo zbliża ludzi ku sobie.

– To po prostu trudne – wyjaśnia Theresa.

– Wyobrażam sobie.

– Czy nie sądzisz, że...

– Osobiście nie widziałem nic, co kazałoby mi podejrzewać, że Ethan nie jest ci w pełni oddany jako mąż. To szczęściarz. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Theresa wzdycha, ukrywa twarz w dłoniach.

– Co się stało? – pyta Hassler.

– Nie powinnam była...

– Nie, wszystko w porządku. Proszę.

– Czy możesz coś dla mnie zrobić?

– Co tylko zechcesz.

– Nie mów Ethanowi o tej rozmowie. Nie znasz mnie zbyt dobrze, Adamie, nie jestem zazdrosna. Ja tylko... Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Ślubuję dozgonne milczenie – mówi z uśmiechem Hassler. – Trzeba ci wiedzieć, że jeśli idzie o poufność, jestem naprawdę niezły. Cholera, „tajny” to moje drugie imię.

Teraz Theresa obdarza go uśmiechem, a Hassler z trudem się opanowuje. Wie, że w najbliższych dniach nie będzie myślał prawie o niczym innym.

– Dziękuję – mówi Theresa i na chwilę kładzie dłoń na jego ramieniu.

Adam nie miałby nic przeciwko temu, by ta chwila trwała rok.

– Mogę tu zostać – proponuje. – Dotrzymać ci towarzystwa.

– O, nie, musisz wracać na przyjęcie, a ja muszę się postarać być dużą dziewczynką. Ale to miłe, że zaproponowałeś.

Theresa rusza w górę po trawiastym zboczu, Hassler odprowadza ją wzrokiem. Nie potrafi określić dokładnie, dlaczego na widok tej kobiety kraje mu się serce. Przecież są tylko znajomymi. Nie rozmawiali więcej niż kilka razy.

W biurze, kiedy wpadła przynieść coś Ethanowi.

Na grillu u Burke'ów.

Hassler nigdy nie miał żony, od liceum nie był zakochany, ale teraz, gdy stoi nad jeziorem Union i patrzy, jak Theresa podchodzi do męża i obejmuje go w pasie, czuje oślepiającą zazdrość, jak gdyby

na jego oczach należąca do niego kobieta zakochiwała się w innym.

ETHAN

Jeep wbił się w imitujące skałę drzwi. Na przednią szybę spadł kawał metalu i na szkłe rozkwitło długie, rozgałęzione pęknięcie.

Ethan spodziewał się, że ludzie Pilchera będą na niego czekali, ale tunel był pusty.

Wrzucił trzeci bieg.

Stromizna nie pozwalała mu jechać szybciej niż czterdziestką.

Nad jego głową śmigały światła.

Na pękniętą przednią szybę sypały się skalne odłamki.

Ilekcio brał zakręt, oczekiwał widoku blokady drogowej i uzbrojonych ochroniarzy Pilchera, którym wydano rozkaz strzelania bez ostrzeżenia.

Z drugiej strony ludzie Pilchera mogli nie wiedzieć, co zrobił ich szef.

W superstrukturze obrazy rejestrowane przez kamery dało się oglądać tylko w centrum nadzoru oraz w gabinecie Pilchera. Operatorów z centrum nadzoru można było zamknąć, przekupić, zabić. Najbliżsi współpracownicy Pilchera niewątpliwie byli skutecznie omamieni i pozostawali dozgonnie lojalni, ale Ethan nie mógł uwierzyć, by wszyscy oni przyglądali się beczynnemu, jak szaleniec morduje resztki ludzkości.

Poczuł ucisk w uszach.

Najwyraźniej zbliżał się do celu, ale wciąż nie widział śladów oporu.

Mógł się założyć, że Pilcher zamierzał dopilnować, by wszyscy mieszkańcy Wayward Pines zostali zgładzeni, a następnie powiedzieć swoim ludziom, że wydarzył się tragiczny wypadek. Awaria ogrodzenia. Nic się nie dało zrobić.

Kiedy za długim, łagodnym zakrętem ukazało się wejście do superstruktury, zdjął nogę z gazu.

Wtoczywszy się do ogromnej jaskini, zahamował.

Zredukował do jedyńki.

Zgasił silnik.

Sięgnął po desert eagle'a, zarepetował i zostawił zamek w takiej pozycji, by pistolet wyglądał na załadowany. Ponownie przeszukał kieszenie, ale znalazł tylko dwa pudełka naboju dwunastek i nóż typu Harpy.

Wysiadł i stanął na kamiennej posadzce. W arce panowała cisza, tylko od rozjaśnionego niebieskim światłem centrum zawieszania dobiegał cichy syk pompowanego powietrza.

Ethan zdjął kurtkę, cisnął do wozu, a bezużyteczny pistolet wetknął za pas poplamionych krwią i błotem wranglerów.

Kiedy zbliżał się do drzwi z grubego szkła prowadzących na Poziom 1, uzmysłowił sobie, że nie

ma karty magnetycznej.

Umieszczona nad drzwiami kamera była skierowana prosto na niego.

„Czy w tej chwili mnie obserwujesz?”

„Musisz wiedzieć, że tu jestem”.

Wtedy za jego plecami ktoś powiedział:

– Ręce na głowę. Spleć palce.

Ethan podniósł ręce i powoli się odwrócił.

Kilkanaście metrów od niego, obok najbliższych ogromnych zbiorników cylindrycznych, stał dwudziestolatek z głową owiniętą bandażem. Karabin maszynowy AR-15 kierował na Ethana.

– Cześć, Marcus – powiedział Ethan.

Tamten podszedł bliżej. W żółtym świetle kulistych lamp zwisających ze sklepienia wyglądał na mocno wkurzonego. W zasadzie miał powód. Podczas ostatniego spotkania Ethan walnął go pistoletem.

– Pan Pilcher wiedział, że przyjdiesz – oznajmił Marcus.

– Tak ci powiedział, co?

– Powiedział mi o wszystkim, co zrobiłeś.

– Co zrobiłem?

– Powiedział mi też, żebym cię zastrzelił, więc...

– W Wayward Pines giną ludzie, Marcus. Kobiety, dzieci.

Marcus przeszedł już połowę drogi między nimi, a wściekłość w jego oczach sugerowała, że faktycznie mógł pociągnąć za spust.

Szklane drzwi się otworzyły. Ethan odwrócił głowę i zobaczył wchodzącego do jaskini potężnie zbudowanego blondyna, z pistoletem wymierzonym w jego serce. Alan, przyjaciel Alyssy i szef ochrony Pilchera.

Ethan spojrzał na Marcusa, który wciąż celował do niego z karabinu.

– Ty też masz rozkaz do mnie strzelać? – spytał Ethan Alana.

– Lepiej w to uwierz.

– Gdzie jest Ted?

– Nie mam pojęcia.

– Chyba lepiej będzie, jeśli najpierw mnie wysłuchasz.

Marcus był coraz bliżej. Gdy Alan wycelował pistolet w twarz Ethana, Marcus wyciągnął desert eagle'a zza pasa jego dżinsów i odrzucił na kamienną podłogę.

– Nie macie pojęcia, co tam się dzieje – mówił Ethan. – Zeszłej nocy Pilcher wyłączył prąd w ogrodzeniu i otworzył bramę. Wpuścił do doliny stado aberracji. Większość mieszkańców zginęła.

– Bzdura – parsknął Alan.

– On kłamie – rzucił Marcus. – Po co w ogóle go słuchamy...

– Chcę wam coś pokazać – włączył się Ethan. – Powoli sięgam do kieszeni.

– Klnę się na Boga, że to będzie ostatni ruch, jaki wykonasz.

– Właśnie odebraliście mi broń.

– Alan, mamy rozkazy – powiedział Marcus. – Ja...

– Zamknij mordę. Dorośli rozmawiają – uciął Ethan, po czym znów zwrócił się do blondyna: –

Pamiętasz nasze spotkanie w kostnicy? Pamiętasz, o co mnie prosiłeś?

– O znalezienie człowieka, który zabił Alysę.

– Zgadza się.

Alan świdrował Ethana wzrokiem, on zaś powiedział:

– Odkryłem, kto ją zabił.

Alan zacisnął zęby.

– To był twój szef. On i Pam.

– Jeśli przychodzisz tu z takim oskarżeniem, to lepiej, żebyś mógł to...

– Udowodnić? – Ethan wskazał dłonią na swoją kieszeń. – Mogę?

– Powoli.

Ethan wsunął rękę do kieszeni, namacał kartę pamięci, wyjął i powiedział:

– Alysę zabili Pilcher i Pam. Wcześniej ją torturowali. Tę kartę pamięci dostałem od szefa nadzoru. Tu jest wszystko.

Alan, z niezgłębionym wyrazem twarzy, wciąż mierzył w Ethana.

– Chcę cię o coś spytać, Alanie. Jeżeli to, co mówię, jest prawdą, wobec kogo jesteś lojalny?

– On z tobą pogrywa – warknął Marcus.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – rzekł Ethan. – Czy obejrzenie tego dużo cię kosztuje, Alanie? A może pomszczenie Alyssy masz gdzieś?

Ethan ujrzał, że za szklanymi drzwiami ktoś pędzi korytarzem.

Mężczyzna w czerni był uzbrojony w paralizator i pistolet. Dostrzegł Ethana i uniósł broń. Nagle Alan owinał prawą rękę wokół szyi Burke'a i przytknął mu lufę do skroni.

Drzwi się otwały.

– Mam go – powiedział Alan. – Cofnij się.

– Zabij go! – krzyknął Marcus. – Masz rozkazy!

– Alan, co ty, do diabła, wyprawiasz? – spytał nowo przybyły.

– Zapewniam cię, że nie chcesz zabić tego człowieka, Mustin. Jeszcze nie teraz.

– To, czego chcę i czego nie chcę, nie ma specjalnego znaczenia. Wiesz o tym lepiej niż

ktokolwiek z nas.

Alan wzmocnił uchwyt.

– Szeryf twierdzi, że miasto opanowały aberracje i że to szef otworzył bramę. Twierdzi też, że pan Pilcher i Pam odpowiadają za śmierć Alyssy.

– Twierdzić coś to jedno, a udowodnić to drugie.

Ethan uniósł kartę pamięci.

– On twierdzi też, że ma nagranie zabójstwa Alyssy.

– Co z tego? – spytał Marcus.

Alan spojrzał na młodziaka ze znużeniem.

– Co właściwie chcesz powiedzieć, synu? Przyjmując, że jest w tym ziarno prawdy, może jednak mógłbyś się zgodzić, że pan Pilcher zabił kogoś z nas, na przykład własną córkę, a potem próbował to ukryć?

– On jest szefem – odparł Marcus. – Jeśli zrobił coś takiego, założę się, że...

– Przecież nie jest Bogiem, prawda?

Nagle rozległ się wrzask i rozniósł się echem po arce.

– Co to było? – spytał Alan, uwalniając Ethana.

– Najwyraźniej abiki dostały się do wnętrza góry – wyjaśnił Ethan. – Wjechałem przez wejście do tunelu.

Alan spojrzał na karabin Mustina i zapytał:

– Czy mamy coś poważniejszego niż AR-15?

– Działko obrotowe M230.

– Mustin, Marcus, przynieście to działko. Wezwijcie wszystkich. Całą ekipę.

– A z nim co zrobisz? – spytał Marcus, wskazując podbródkiem na Ethana.

– On i ja idziemy do centrum nadzoru, żeby obejrzeć, co przyniósł.

– Mieliśmy go zabić – powiedział Marcus, unosząc broń.

Alan zbliżył się do młodziaka, aż lufa karabinu dźgnęła go w splot słoneczny.

– Możesz we mnie nie celować, synu?

Marcus opuścił broń.

– Ty i Mustin pilnujcie, żebyśmy wszyscy nie zostali zjedzeni. Ja tymczasem obejrzę zapis z karty pamięci, który zdaniem szeryfa jest dowodem na to, co spotkało moją przyjaciółkę. Jeśli domniemany dowód nie spełni oczekiwań, bezzwłocznie zlikwiduję szeryfa. Pasuje ci?

THERESA

– Jesteś już prawie u celu! – szepnęła Theresa.

Ben opuścił nogę ku kolejnemu zagłębieniu w skale.

Wciąż słyszeli krzyki i wrzaski rozlegające się w Jaskini Wędrowców. Wąska półka się kończyła; teraz schodzili po urwisku nachylonym pod kątem pięćdziesięciu stopni. Liczne zagłębienia na stopy i dłonie w solidnej, twardej granitowej skale uratowały im życie, ale Theresa nie mogła ignorować tego, że nawet najdrobniejsze potknięcie skończy się upadkiem w siedemdziesięciometrową przepaść. Z trudem znosiła myśl, że jej syn pełźnie po tej skale.

Gdyby Ben spadł, skoczyłaby za nim.

Na razie jednak posłusznie wypełniał jej polecenia i – jak na dwunastolatka – radził sobie znakomicie.

Ben zstąpił na półkę, gdzie Theresa przycupnęła kilka minut wcześniej. Skalna ścieżka donikąd nie prowadziła, lecz przynajmniej oferowała płaską powierzchnię pod nogi, dzięki czemu nie musieli trzymać się kurczowo zagłębień.

Wciąż mieli przed sobą długą drogę, ale systematycznie posuwali się w dół. Wierzchołki sosen znajdowały się teraz zaledwie siedem metrów pod nimi.

Z tunelu znów dobiegł wrzask.

– Nie myśl o tym – upomniała syna Theresa. – Nie wyobrażaj sobie, przez co oni przechodzą. Skoncentruj się na tym, gdzie stoisz, Ben. Skup się na rozsądnych, bezpiecznych krokach.

– Wszyscy w tej jaskini zginą – powiedział chłopiec.

– Ben...

– Gdybyśmy nie znaleźli tej półki...

– Ale znaleźliśmy. Wkrótce zejdziemy z tego urwiska i odszukamy twojego ojca.

– Boisz się? – spytał Ben.

– Naturalnie, że się boję.

– Ja też.

Theresa wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy syna, gładkiej i chłodnej od potu, zarumienionej nie tylko z wysiłku, ale też od słońca.

– Myślisz, że tata ma się dobrze? – zapytał Ben.

– Chyba tak – odparła, ale na myśl o Ethanie łzy napłynęły jej do oczu. – Twój stary to twardy *hombre*^{**}. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Ben przytaknął i spojrzał w dół z boczna na przyjazny mrok gęstego sosnowego lasu.

– Nie chcę zostać zjedzony – powiedział.

- Nie zjedzą nas. My też jesteśmy twardymi *hombres*. Jesteśmy rodziną twardych *hombres*.
- Ty nie jesteś twardą *hombre* – zauważył Ben.
- Słucham?
- Jesteś twardą *hombra*.

Theresa przewróciła oczami i odparła:

- Chodź, bachorze. Powinniśmy ruszać dalej.

* * *

Późnym popołudniem zeszli ze skały na miękkie leśne poszycie.

Wiele godzin spędzili na zboczu pod bezlitosnym słońcem. Oboje ociekali potem, oczy stopniowo przywykły do chłodnego cienia drzew.

- Co teraz? – spytał Ben.

Theresa nie miała pewności. Wedle jej szacunków od skraju miasteczka dzieliło ich półtora kilometra, ale marsz do Wayward Pines nie wydawał się jej najbezpieczniejszym rozwiązaniem. Aberracje były nienasycone. Z pewnością będą się trzymać zaludnionych miejsc, w każdym razie takich, gdzie wcześniej znajdowali się ludzie. Z drugiej strony gdyby zdołali dotrzeć do miasteczka, mogliby się zadekować w jednym z domów. Na przykład zamknęliby się w piwnicy. W lesie nie będą mieli gdzie się ukryć. Już zapadał zmrok, a nie uśmiechała się jej perspektywa spędzenia nocy w ciemnym lesie.

- Chyba powinniśmy wrócić do miasta – powiedziała.
- Przecież tam są abiki.
- Znam miejsce, gdzie możemy się ukryć. Przeczekać, aż twój tata wszystko naprawi.

Theresa zagłębiła się w leśny gąszcz, Ben kroczył tuż za nią.

- Czemu idziesz tak wolno? – spytał.
- Żeby nie nadeptywać na gałęzie. Musimy poruszać się bezgłośnie. W razie gdyby coś się zbliżało, powinniśmy to usłyszeć na tyle wcześnie, by się ukryć.

Matka i syn szli krętą drogą pośród drzew.

Nie słyszeli więcej żadnych wrzasków, ani ludzi, ani abików.

Tylko chrzęst sosnowych igieł pod stopami, własne ciężkie oddechy i szum wiatru w koronach drzew.

ETHAN

W ślad za Alanem minął szklane drzwi. Poszli na pierwsze piętro i ruszyli korytarzem na Poziom 2.

Kiedy dotarli do centrum nadzoru, Alan wyjął z kieszeni kartę magnetyczną.

Przesunął ją przez czytnik, ale nad wyświetlaczem zapaliła się czerwona lampka.

Alan powtórzył próbę, z tym samym skutkiem.

Załomotał w drzwi.

– Tu Alan Spear. Otwierać!

Zero odpowiedzi.

Alan się cofnął, czterokrotnie strzelił w czytnik, po czym kopnął drzwi butem w rozmiarze czterdzieści sześć.

Otworzyły się z hukiem.

Wszedł, Ethan za nim.

W pomieszczeniu panował mrok, jedyne źródło światła stanowiły monitory na ścianie.

Przy konsoli nie było nikogo.

Ethan zatrzymał się w progu, a Alan podszedł do wewnętrznych drzwi.

Ponownie przesunął kartę magnetyczną: zielone światło.

Zamek ustąpił.

Alan wskazał lufą pistoletu na boczny pokój.

– Czysto! – powiedział.

Ethan wszedł i zapytał:

– Potrafisz obsługiwać ten komputer?

– Odczytam tę kartę. Daj ją.

Razem usiedli przy konsoli.

Gdy Alan wsunął kartę do portu, Ethan spojrzął na ekrany.

Wszystkie były ciemne prócz jednego.

Obraz przedstawiał szkolną piwnicę – w klasie stłoczył się spory tłum. Na środku sali na łózkach polowych leżeli ranni, pielęgnowani przez sąsiadów. Ethan wypatrywał Kate, ale nigdzie jej nie widział.

Ożył drugi ekran.

Ujęcie w dalekim planie przedstawiało park nad rzeką i mężczyznę kuśtykającego wzdłuż brzegu.

– Spójrz, Alanie – powiedział Ethan.

Alan podniósł wzrok.

Mężczyzna na ekranie zaczął nieporadnie biec, potykając się, jakby był ranny.

Z lewej strony kadru wbiegły trzy aberracje, a człowiek zniknął po prawej.

Po chwili włączył się nowy monitor – kamera rejestrowała Szóstą Ulicę, gdzie mieszkał Ethan. Mężczyzna wybiegł z pola na jezdnię, abiki ścigały go w pozycji pionowej, cała czwórka zbliżała się do kamery.

Tuż przed domem Ethana stwory dopadły uciekiniera i zabiły go na jezdni.

Ethan poczuł wzbierające mdłości. Wściekłość.

– Dziś rano zastanawiałem się, czy coś się nie święci – powiedział Alan.

– Dlaczego?

– Kojarzysz Mustina, strażnika za drzwiami? To strzelec wyborowy. Całymi dniami obserwuje ze szczytu góry miasto i kanion, strzela do aberracji, które podchodzą. Dziś rano widziałem go w stołówce, chociaż powinien siedzieć na posterunku. Mustin powiedział, że Pilcher zjął go ze szczytu. Nie podał powodu. W dodatku to był bezchmurny dzień.

– Żeby Mustin nie widział, co jego szef zrobił tym niewinnym ludziom.

– Kiedy sforsowały ogrodzenie? – spytał Alan.

– Zeszłej nocy. Nie powiedzieli ci?

– Ani słowa.

Kolejny ekran obudził się do życia.

– Czy to zapis z karty pamięci? – zapytał Ethan.

– Tak. Oglądałeś go?

– Owszem.

– No i?

– Raz zobaczysz i nigdy nie zapomnisz.

Alan puścił nagranie.

Kamera w rogu sufitu była skierowana w dół, na kostnicę. Oto Pilcher. Pam. Była też Alyssa. Młodą kobietę przypięto grubymi skórzanymi pasami do stołu sekcyjnego.

– Nie ma dźwięku? – spytał Alan.

– Na szczęście.

Unosząc głowę nad stołem, Alyssa krzyczała, napinała wszystkie mięśnie.

W kadrze ukazała się Pam, chwyciła Alysę za włosy i mocnym szarpnięciem przyciągnęła jej głowę do stołu.

Kiedy na ekranie pojawił się David Pilcher, położył niewielki nóż na metalowym stole i usiadł okrakiem na Alyssie, Ethan odwrócił wzrok.

Już raz to widział i nie chciał, by obrazy utrwaliły mu się w pamięci.

– Dobry Jezu – wyszeptał Alan.

Zatrzymał nagranie, odepchnął krzesło od konsoli, wstał.

– Dokąd idziesz? – spytał Ethan.

– A jak myślisz? – Barczysty blondyn szedł w stronę drzwi.

– Poczekaj.

– Co? – Alan się obejrzał. Nikt nie poznałby po jego twarzy, co właśnie zobaczył. Jej nordycka lodowatość wyrażała pustkę niczym zimowe niebo.

– Jesteś potrzebny mieszkańcom – powiedział Ethan.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, najpierw go zabiję.

– Ty w ogóle nie myślisz.

– Swoją rodzoną córkę!

– Już to zrobił – powiedział Ethan. – Jest skończony. Ale posiada informacje, które będą nam potrzebne. Postaw na nogi swoich ludzi. Wyślij oddział, żeby zamknął bramę i przywrócił prąd w ogrodzeniu. Ja pójdę do Pilchera.

– Ty pójdziesz.

– Zgadza się – potwierdził Ethan, wstając.

Alan wyjął z kieszeni kartę magnetyczną i rzucił na podłogę ze słowami:

– To ci się przyda.

Obok karty upadł klucz.

– To też. Klucz do windy. A skoro już o tym mowa... – Z kabury pod pachą wyjął glocka, chwycił za lufę i wręczył Ethanowi. Potem dodał: – Jeśli przy naszym następnym spotkaniu wyznasz, że emocje wzięły górę, strzeliłeś temu śmieciowi w brzuch i patrzyłeś, jak powoli się wykrwawia, całkowicie zrozumiem.

– Przykro mi z powodu Alyssy.

Alan wyszedł.

Ethan się schylił, podniósł z podłogi klucz i kartę.

Korytarz był pusty.

Kiedy znajdował się w połowie schodów, usłyszał odgłos aż zbyt dobrze znany mu z czasów wojny.

Strzelali z działka, co brzmiało tak, jakby śmierć grała na werblach.

Gdy dotarł do Poziomu 1, hałas stał się nierealny. Ludzie pewnie opuszczali stanowiska pracy, wychodzili z mieszkań.

Przy nieoznakowanych drzwiach przesunął kartę magnetyczną przez czytnik.

Drzwi się otworzyły.

Ethan wszedł do małej windy, wsunął klucz do kontrolki, przekreślił.

Pojedynczy przycisk zaczął migać.

Wcisnął go, drzwi się zamknęły, grzechotanie działka zaczęło stopniowo cichnąć.

Wziąwszy głęboki wdech, Ethan pomyślał o Theresie i Benie, a wtedy poczuł, jak dławi go strach.

Drzwi windy się otwały.

Ethan wszedł do apartamentu Pilchera.

Mijając kuchnię, usłyszał skwierczenie pieczonego mięsa. W powietrzu pachniało czosnkiem, cebulą, oliwą. Aberracje szalały, a kucharz Tim, jak gdyby nigdy nic, krzątał się przy kuchni, nakładał śniadanie dla swego szefa, ozdabiał porcelanowy talerz misternymi kropeczkami jasnoczerwonego sosu, który wyciskał z plastikowej torebki.

W drodze do gabinetu Ethan sprawdził glocka i z zadowoleniem stwierdził, że Alan umieścił już nabój w lufie.

Bez pukania pchnął drzwi i wszedł.

Pilcher siedział na jednej ze skórzanych sof pod ścianą, naprzeciwko monitorów. Nogi oparł na stoliku do kawy z drewna akacjowego, w jednej dłoni trzymał pilota, w drugiej butelkę whisky.

Ekran z lewej strony pokazywały sceny z Wayward Pines.

Te po prawej – zapis z kamer monitorujących wnętrze superstruktury.

Ethan podszedł do sofy i usiadł obok Pilchera. Bez trudu mógłby skrócić mu kark. Zakatować go. Udusić. Powstrzymywała go jedynie myśl, że zadanie śmierci temu człowiekowi należało przede wszystkim do mieszkańców Wayward Pines. Nie mógł im tego skraść. Nie po tym, co Pilcher im zrobił.

David odwrócił do Ethana twarz, na której wciąż widniały krwawe zadrapania.

– Z kim się szarpałeś? – spytał Ethan.

– Dziś rano musiałem odprawić Teda.

Ethan się wzdrygnął.

Od Pilchera cuchnęło gorzałą. W czarnym atłasowym szlafroku wyglądał, jakby wyciągnięto go ze śmietnika. Podał Ethanowi butelkę.

– Nie, dzięki.

Na jednym z ekranów Ethan ujrzał jasny rozbłysk działka, które kosiło aberracje.

Na innym abiki z pękatymi brzuchami leniwie posilały się na Głównej trupami osób zabitych zeszłej nocy.

– Wygląda na to, że to koniec – stwierdził Pilcher.

– Kończysz się tylko ty.

– Nie obwiniam cię – powiedział Pilcher.

– Obwiniasz? Za co?

– Za twoją zazdrość.

– Komu niby zazdrościsz?

– Mnie, rzecz jasna. Zazdrościsz mi tego, jak się czuję, siedząc za tym biurkiem. Tego, że... to wszystko stworzyłem.

– Myślisz, że właśnie o to chodzi? Że chcę zająć twoje miejsce?

– Wiem, że w głębi serca wierzysz, że chcesz przynieść ludziom prawdę i wolność, ale w istocie, mój Ethanie, nic na świecie nie może się równać z władzą. Władzą nad życiem i śmiercią. – Pilcher wskazał ręką na ekrany. – Władzą nad losem innych. Nad tym, by czynić ich lepszymi. Lub gorszymi. Jeśli kiedykolwiek istniał Bóg, chyba wiem, co musiał czuć. Ludzie domagali się odpowiedzi, których nigdy nie mogliby udźwignąć. Nienawidzili go, jednocześnie rozkoszując się bezpieczeństwem, jakie im zapewniał. Chyba w końcu zrozumiałem, czemu Bóg porzucił świat i pozwolił, by ten sam się zniszczył. – Pilcher się uśmiechnął. – Ty też kiedyś to zrozumiesz, Ethanie. Wystarczy, że trochę posiedzisz za tym biurkiem. Pojmiesz, że ludzie w dolinie nie są podobni do ciebie i do mnie. Nie udźwigną tego, co powiedziałeś im zeszłej nocy. Sam zobaczysz.

– Może tak, może nie. W każdym razie zasługiwali na to, by poznać prawdę.

– Nie twierdzę, że to było idealne. Ani choćby sprawiedliwe. Ale zanim się pojawiłeś, Ethanie, funkcjonowało. Ochraniałem tych ludzi, a oni wiedli najnormalniejsze życie, na jakie mogli liczyć. Dałem im piękne miasto i możliwość uwierzenia, że wszystko jest w porządku. – Pilcher napił się prosto z butelki. – Twój fatalny błąd, Ethanie, polega na tym, że żyjesz w złudnym przeświadczeniu, iż ludzie są podobni do ciebie. Że mają twoją odwagę, siłę woli, są nieustraszeni. Ty i ja jesteśmy wyjątkami, ulepionymi z tej samej gliny. Nawet moi ludzie we wnętrzu góry zmagają się z lękiem. Ale nie ty i ja. My znamy prawdę. Nie boimy się spojrzeć jej w oczy. Jedyna różnica polega na tym, że ja zdaję sobie z tego sprawę, a ty poznasz tę prawdę powoli, boleśnie, za cenę życia wielu ludzi. Pewnego dnia przypomnisz sobie tę rozmowę, Ethanie. Zrozumiesz, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem.

– Nigdy nie zrozumiem, czemu wyłączyłeś prąd w ogrodzeniu. Dlaczego zabiłeś własną córkę.

– Porządź wystarczająco długo, to zrozumiesz.

– Nie zamierzam rządzić.

– Nie? – Pilcher się zaśmiał. – A jak ci się zdaje, co tam jest na dole? Plymouth Rock? Zamierzasz pisać konstytucję? Powołać do życia demokrację? Świat za ogrodzeniem jest zbyt okrutny, zbyt wrogi. To miasto potrzebuje silnej ręki.

– Dlaczego wyłączyłeś prąd w ogrodzeniu, Davidzie?

Stary pociągnął whisky.

– Gdyby nie ja, nasz gatunek znikłby z powierzchni ziemi. Jesteśmy tutaj tylko dzięki mnie.

Dzięki moim pieniądząm, mojej inteligencji. Mojej wizji. Ja dałem im wszystko.

– Czemu to zrobiłeś?

– Równie dobrze możesz powiedzieć, że ich stworzyłem. Ciebie też. A ty masz czelność pytać...

– Dlaczego?

Oczy Pilchera zapłonęły nagle niepoohamowaną furiją.

– Gdzie oni byli, kiedy odkryłem, że ludzki genom ulega degradacji? Że w ciągu kilku pokoleń ludzkość zniknie z powierzchni ziemi? Kiedy skonstruowałem tysiąc modułów zawieszania funkcji życiowych? Gdy przekopałem tunel w głąb góry i zaopatrzyłem arkę o powierzchni ponad pięciu tysięcy hektarów w zapasy pozwalające odtworzyć życie na ziemi? Skoro już o tym mowa, Ethanie, gdzie ty wtedy byłeś, do kurwy nędzy? – Dygotał z wściekłości. – Czy byłeś tam w dniu, kiedy wyszedłem ze stanu zawieszenia? Gdy wybrałem się w teren z moimi ludźmi i stwierdziliśmy, że świat opanowały aberracje? Byłeś na Głównej, kiedy szedłem ulicą i patrzyłem, jak moi pracownicy stawiają szkielety domów? Brukują jezdnie? A może byłeś obecny tamtego ranka, gdy wezwałem do tego gabinetu szefa zespołu zawieszającego i poleciłem mu cię wybudzić, żebyś znowu mógł żyć z żoną i synem? Dałem ci to życie, Ethanie. Tobie i wszystkim w dolinie. Wszystkim we wnętrzu tej góry.

– Dlaczego?

– Bo mogłem!!! – ryknął Pilcher. – Bo jestem ich pierdolonym stwórcą, a stworzenia nie kwestionują tego, który je stworzył, dzięki któremu oddychają. I kto w każdej chwili może im to wszystko odebrać.

Ethan spojrział na monitory pokazujące chaos w jaskini na dole. Działko wystrzelało całą amunicję, obrońcy się cofali, ostrzeliwując z karabinów AR-15 nacierające hordy napastników.

– Nawet nie musiałem cię tu wpuszczać. Wystarczyło, że zamknąłbym windę. I co zamierzasz ze mną zrobić? – spytał cicho Pilcher.

– Ta decyzja należy do ludzi, których próbowałeś wymordować.

Oczy Pilchera zaszły mgłą.

Zupełnie jakby na krótką chwilę zobaczył siebie. Jasno i wyraźnie.

Spojrział na biurko.

Na ścianę pełną ekranów.

– To mi umknęło – powiedział ochrypłym głosem. Mrugnął, w jego drobnych czarnych oczkach znów błysnęła zaciętość. Przypominały bryłki lodu.

Zerwał się i zaatakował Ethana krótkim nożem, kierując nagle pchnięcie prosto w brzuch.

Ethan odbił jego przegub, ostrze tylko drasnęło go w bok.

Wstając, wyprowadził ostry lewy sierpowy, który odrzucił głowę starego i złamał mu kość policzkową. Pilcher zleciał z kanapy, uderzając głową o kant stolika do kawy. Leżał na plecach,

w drgawkach. Wypuścił nóż, który stuknął o drewnianą podłogę.

* Steampunk – nurt stylistyczny w kulturze, odmiana fantastyki naukowej, boczna gałąź cyberpunku (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

** *Hombre* (hiszp.) – człowiek.

CZEŚĆ VII

HASSLER

Siedziba służb specjalnych

Seattle, stan Waszyngton

1814 lat wcześniej

Hassler wchodzi do swego gabinetu w Columbia Center i cieszy go widok Ethana za biurkiem. Adam spóźnił się o pięć minut. Burke przyszedł pewnie pięć minut przed czasem, co oznacza, że czekał przynajmniej dziesięć minut.

„Świetnie”.

– Przepraszam, że kazałem ci czekać – mówi Hassler, przechodząc obok swego agenta.

– Nie ma problemu.

– Pewnie się zastanawiasz, czemu odebrałem ci sprawę Everetta.

– Jesteśmy już blisko aresztowania.

– Miło słyszeć, ale mam dla ciebie coś pilniejszego.

Hassler siada i obserwuje agenta po drugiej stronie biurka. Dziś Ethan nie ma na sobie czarnego garnituru i białej koszuli. Rękawy szarego kombinezonu, który włożył do pracy w terenie, wciąż są wilgotne od przedpołudniowej mżawki. Na jego lewym boku dostrzega zarys kabury.

Hasslerowi przychodzi na myśl, że jeszcze może się zatrzymać. Dopóki słowa nie opuściły jego ust, nie popełnił przestępstwa.

Przestępcy, których Hassler przesłuchiwał w trakcie wielu lat służby, nieraz mówili o cienkiej granicy między dobrem i złem. Ci ludzie zawsze kradli dla swoich rodzin. Zamierzali to zrobić tylko raz. I wreszcie jego ulubiony argument: nie zdawali sobie sprawy, że przekraczają granicę, póki nie zapuścili się daleko na terytorium wroga i stracili nadzieję na powrót.

Teraz jednak, gdy Hassler siedzi po swojej stronie biurka, po swojej stronie granicy, wszystkie te dywagacje o dwuznacznej naturze dobra i zła wydają się stekiem bzdur.

Hassler widzi wybór z krystaliczną jasnością.

Jeśli zleci Ethanowi to zadanie, na zawsze przekroczy granicę.

Nie będzie odwrotu.

Jeśli wycofa się z całego przedsięwzięcia i pozwoli Ethanowi wrócić do sprawy Everetta, pozostanie dobrym facetem, który o mały włos nie zrobił czegoś bardzo złego.

Zero niejasności. Z jego perspektywy nie ma żadnej szarej strefy.

– Sir? – pyta Ethan.

Oczywiście wyobraźni Hassler widzi Theresę na firmowym pikniku sprzed paru lat. Myśli o Ethanie flirtującym z Kate, podczas gdy jego żona płacze samotnie na brzegu jeziora Union.

Obawy Theresy dotyczące tych dwojga zrodziły się w zeszłym roku, kiedy Kate poprosiła nagle o przeniesienie do Boise w stanie Idaho. Ethan zdradził Theresę ze swoją partnerką z pracy, o czym wszyscy wiedzieli. Poniżył żonę, a przecież taka kobieta jak Theresa zasługuje na coś więcej.

– Adamie? – odzywa się znów Ethan.

Hassler robi wydech, za jego plecami deszcz stuka o szybę.

– Kate Hewson zaginęła – mówi.

– Kiedy to się stało? – pyta Ethan, pochylając się w jego stronę.

– Cztery dni temu.

– Była na służbie?

– Jej partner też zaginął. Facet nazwiskiem Evans. Ciebie i Kate łączyło coś szczególnego, tak?

Ethan nie łapie przynęty, tylko wpatruje się w szefa z natężeniem.

– Cóż, pomyślałem, że chciałbyś się podjąć odszukania swojej byłej partnerki.

Ethan wstaje.

– Z Boise mają przysłać mailem szczegóły sprawy – mówi Hassler. – Rezerwujemy dla ciebie najbliższy lot z Sea-Tac. Jutro z samego rana spotkasz się z agentem Stallingssem z biura w Boise i obaj pojedziecie na północ do miejsca, gdzie ostatnio słyszano o Kate.

– Czyli dokąd?

– Do miasteczka o nazwie Wayward Pines.

Hassler patrzy, jak Ethan wychodzi.

Zrobił to.

Puścił maszynę w ruch.

Osobliwe, że nie czuje żadnej różnicy. Ani żalu, ani lęku, cienia niepokoju.

Jeżeli miałby nazwać dominujące uczucie wśród tych, które go opanowały, wymieniłby ulgę.

Okręcając się w fotelu, wygląda przez okno na szare, posępne, deszczowe Seattle. Krople spływają po szybie.

Z okna na trzydziestym piętrze dostrzega budynek, gdzie Theresa pracuje w kancelarii prawnej. Wyobraża sobie, jak siedzi w bezbarwnej przegródce biurowej i wystukuje dyktowany tekst.

Hassler jeszcze nie wie jak, ale pewnego dnia ją zdobędzie. Będzie ją kochał tak, jak należy ją kochać. Dziwnym trafem – i to jest największą tajemnicą jego istnienia – ta kobieta stała się wszystkim, co się liczy.

Wyjmuje prywatny telefon komórkowy, wybiera numer.

– Słucham? – odzywa się David Pilcher.

– To ja.

– Już się zastanawiałem, czy się odezwiesz.

– On przyjedzie do ciebie jutro.

– Będziemy gotowi.

Hassler wyłącza komórkę, wyjmuje baterie, łamie telefon na pół. Oba kawałki wkłada do styropianowego pojemnika w koszu na śmieci, gdzie leżą resztki wczorajszego lunchu.

THERESA

Theresa i Ben dotarli na skraj lasu, kiedy słońce chowało się za odległe szczyty gór.

– Poczekaj tu – szepnęła do syna.

Poczołgała się przez kępę karłowatych dębów, uschłe liście zbyt głośno szeleściły pod jej kolanami.

W miejscu, gdzie kończyły się dęby, wyjrzała przez gałęzie.

Dotarli już do skraju Wayward Pines, ale najwyraźniej przecięli las na północ od miasteczka. Ulice wyglądały na opustoszałe. W domach panował mrok. Cisza jak makiem zasiał.

Obejrzała się na Bena i przywołała go gestem dłoni.

Hałaśliwie przyczołgał się po liściach i kucnął obok matki.

– Musimy przemierzyć dziesięć przecznic – szepnęła mu na ucho.

– Dokąd idziemy?

– Na posterunek szeryfa.

– Idziemy czy biegniemy?

– Biegniemy – szepnęła Theresa. – Ale najpierw zrobimy kilka wdechów, żeby zaczerpnąć powietrza.

Oboje wypełnili płuca tlenem.

– Gotów? – spytała.

– Gotów.

Theresa wygramoliła się z gąszczy, wstała, potem odwróciła się i pomogła Benowi się podnieść. Stali na tylnym podwórzu domu, który rozpoznała – trzy miesiące wcześniej sprzedała go parze spodziewającej się dziecka, kiedy za dobre sprawowanie przyznano młodemu prawo do większego, ładniejszego domu.

Jaki był ich los w ciągu ostatnich dwudziestu czterech piekielnych godzin?

Matka z synem pobiegli truchtem po chodniku wzdłuż białych płotów przed domami.

W dolinie zapadał mrok.

Kiedy słońce kryło się za górami, noc zdawała się nadchodzić trochę za szybko, a biorąc pod uwagę, że miasteczko było pozbawione prądu, czekał ich bardzo ciemny wieczór.

Właśnie zbliżali się do pierwszego martwego ciała na ulicy.

– Nie patrz na to, kochanie – powiedziała Theresa, odwracając się do Bena.

Sama jednak nie posłuchała własnej rady.

Zwłoki zostały tak dokumentnie wypatroszone, że przypominały nie tyle człowieka, ile stertę krwawych strzępów. Na klatce piersiowej siedział myszołów i się napychał.

Po chwili dotarli do skrzyżowania Pierwszej Alei z Jedenastą Ulicą.

W oddali Theresa dostrzegła wysokie sosny rosnące przed posterunkiem szeryfa.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powiedziała. – Jeszcze tylko półtorej przecznicy.

– Jestem zmęczony.

– Ja też, ale finiszujemy w wielkim stylu.

Na skrzyżowaniu Pierwszej z Trzynastą Ben szepnął:

– Mamo!

– Co?

– Patrz!

Theresa się obejrzała.

Trzy przecznice dalej, na Trzynastej Ulicy, ukazały się dwa blade stwory, które pędziły w ich kierunku.

– Biegiem! – zawołała Theresa.

Pod wpływem adrenaliny oboje przyspieszyli, zeskoczyli z chodnika i pomknęli po przystrzyżonej trawie do wejścia na posterunek.

W środku kobieta zatrzymała się i spojrzała przez szklane drzwi na ulicę.

– Widziały, jak tu wchodzimy? – szepnął Ben.

Pierwszy abik wpadł z rozpędem na skrzyżowanie i nie zwalniając, skręcił wprost w stronę posterunku.

– Szybko! – Theresa okręciła się na pięcie i przebiegła przez lobby.

Im bardziej się oddalali od wejścia, tym większy spowijał ich mrok.

Skręciła do gabinetu Ethana, ujrzała otwartą na oścież szafkę na broń, amunicję rozsypaną na podłodze i kilka strzelb porzuconych na biurku.

Dolne szafki gabloty na broń też były otwarte.

Wyciągnęła spory pistolet, wycelowała w ścianę i pociągnęła za spust. Nic się nie wydarzyło. Broń była zabezpieczona, nienaładowana albo jedno i drugie.

– Mamo, szybko!

Z gabloty wyjęła rewolwer, ale był pusty, a nawet nie umiała otworzyć cylindra, by go naładować – zakładając, że potrafiłaby dopasować amunicję. Na podłodze znajdowało się co najmniej pół tuzina rozmaitych rodzajów naboju.

– Mamo, co robisz?

To nie mogło się udać. Kończył im się czas, a chociaż była żoną agenta służb specjalnych, nie miała pojęcia o broni palnej.

– Nowy plan – zdecydowała.

– Jaki?

Theresa otworzyło biurko. Musiał tam być. W pierwszym tygodniu pracy Ethan oprowadził ją po posterunku. Zamknął ją nawet w pojedynczej celi, zakręcił kluczem na karabińczyku i rzucił tonem bohatera westernu:

– Jeśli nie przekupi pani szeryfa, wygląda na to, że spędzi pani noc w kiciu, pani Burke.

Wtedy widziała, jak odłożył klucz do środkowej szuflady biurka, więc wsunęła rękę, desperacko macając palcami.

Jest.

Wyczuła karabińczyk, wyciągnęła klucz, obiegła biurko i stanęła u boku Bena.

– Co robisz? – spytał.

– Po prostu chodź za mną!

Matka i syn popędzili z powrotem korytarzem.

Na dworze wrzasnął abik.

– One tu są, mamó!

Kiedy przecinali lobby, Theresa zerknęła w stronę wejścia i ujrzała dwie aberracje pędzące chodnikiem między sosenkami. Od wtargnięcia na posterunek dzieliło je kilka sekund.

– Szybciej, Ben! – krzyknęła.

Skręcili w kolejny ciemny korytarz.

Na jego końcu Theresa ujrzała kraty jedynej w Wayward Pines więziennej celi.

Gdy po raz pierwszy ją zobaczyła, przypomniała sobie cele w programie *The Andy Griffith Show*. W tych pionowych prętach było coś niemal wzruszającego. W celi stało pojedyncze łóżko oraz biurko. Typowe miejsce, gdzie sobotni pijacy mieli stałą rezerwację.

Teraz cela przypominała tratwę ratunkową.

Przez wysokie okno w końcu korytarza sączyło się ukośne, słabnące światło.

Theresa przywarła do krat celi w chwili, gdy abiki forsowały szklane drzwi.

Chwyciła klucz, wsunęła do zamka.

Za nimi, w ciemnym korytarzu, rozległ się stukot pazurów.

Potem pojedynczy wrzask.

Zamek ustąpił.

– Wchodź! – zawołała Theresa, otwierając celę.

Ben wbiegł do niej, gdy pierwszy stwór wypadał z korytarza.

Matka weszła za synem, błyskawicznie zamknęła drzwi i przekręciła klucz, na pół sekundy przed tym, zanim abik runął na kraty.

Ben krzyknął.

Kiedy pierwszy stwór gramolił się z podłogi, z korytarza wypełził jego towarzysz.

Theresa po raz pierwszy zobaczyła aberrację z bliska.

Ta, która zderzyła się z kratami celi, była ogromna i pokryta posoką.

Z zakrwawionej skóry parowała śmierć.

Ben, z szeroko otwartymi oczami, stał plecami przy ścianie, a u jego stóp tworzyła się kałuża.

– Mogą nas tu dopaść? – spytał.

– Chyba nie.

– Jesteś pewna?

– Nie.

Kiedy drugi abik zderzył się z kratą, cała cela zadrżała.

Pierwszy stwór stanął na tylnych łapach i wyprostował się na pełną, półtorametrową wysokość.

Theresa objęła syna.

Stwór przekrzywił głowę i przyjrzał się dwójce ludzi zza krat. Mleczne oczy mrugały, najwyraźniej przetwarzał dane, rozwiązywał problem.

– Co to za rzecz, która porusza się w jego piersi? – szepnęła Theresa.

– To jego serce, mammo.

– Skąd wiesz... – „Ach, prawda. Ben uczył się o nich w szkole”.

Theresa patrzyła na szybko bijące serce, zniekształcone i niewyraźne pod warstwami skóry jak pod kilkucentymetrową warstwą lodu.

Ten osobnik miał krótkie nogi, a gdy stał prosto, jego przednie kończyny sięgały ziemi. Między kraty wsunął prawą łapę, szczupłą, acz umięśnioną. Miała ponad sto dwadzieścia centymetrów długości, a Theresa patrzyła z przerażeniem, jak czarne pazury suną po podłodze celi.

– Idź precz! – wrzasnęła.

Inny stanął po drugiej stronie celi i zrobił to samo. Jego łapa miała półtora metra długości, a gdy jeden z pazurów drasnął but Bena, Theresa nadepnęła na łapę.

Abik ryknął.

Theresa pociągnęła Bena do kąta najbardziej oddalonego od krat i oboje wspięli się na metalowe łóżko.

– Umrzemy, mammo?

– Nie.

Z korytarza wyłoniły się następne trzy aberracje, które z wrzaskiem i sykiem runęły wprost na celę. Za nimi nadciągały inne, hałas w pomieszczeniu narastał.

Wkrótce przez kraty wsuwało się piętnaście łap, coraz więcej abików oblegało celę.

Theresa opadła na materac i mocno utuliła Bena.

Światło wpadające przez okno zmieniło barwę z błękitnej na ciemnopurpurową, w pomieszczeniu szybko zapadał mrok.

Zbliżywszy usta do ucha syna, zaczęła powtarzać, zagłuszając przerażające ryki:

– Pomyśl o innym miejscu, innym czasie.

Ben drżał w jej ramionach, przed celą przybywało aberracji.

Stwory potrząsały kratami, nacierały, wsuwały do celi ohydnie długie łapy, a Theresa wpatrywała się w wysokie okno.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, zanim zapadła ciemność, było pomieszczenie pełne bestii, z których jedna uklękała przy zamku, próbując wetknąć pazur w dziurkę od klucza.

Nagle wszystko znikło. Nad Wayward Pines zapadła noc.

Znaleźli się w ciemności wraz z hordą potworów.

ETHAN

Ethan zjechał windą z apartamentu Pilchera na korytarz Poziomu 1. Gdy drzwi się otwały, usłyszał strzały, ale rozbrzmiewały gdzieś w oddali.

Z pistoletem, który ostał od Alana, ruszył do szklanych drzwi w końcu korytarza.

Najwyraźniej większość ścisłej ekipy Pilchera wyległa, by sprawdzić źródło całego zamieszania. W korytarzu kłębiło się co najmniej sto zdezorientowanych i przestraszonych osób.

Kanonada się nasiliła, strzały dobiegały z głębi tunelu wiodącego pod górą do Wayward Pines.

Wszędzie leżały martwe aberracje.

W podziemnym korytarzu walały się ich całe stosy.

W jaskini czterdzieści czy pięćdziesiąt.

Wyżłobionymi w skale kanałami płynęła krew.

Przed wejściem do komory zawieszającej leżało pięć ciał przykrytych prześcieradłami.

Woń prochu wprost dusiła.

Z tunelu wybiegł Alan.

Szeryf przepchnął się ku niemu przez tłum. Potężny blondyn miał twarz spryskaną krwią, na prawej ręce ranę, zadaną, jak się domyślił Ethan, pazurem.

W głębi zagrzecotał karabin maszynowy.

Potem ktoś wrzasnął.

– Odpieramy atak, ale musiało być ze dwieście abików – powiedział Alan. – Straciłem ludzi. W M230 skończyła się amunicja. Gdyby nie działko, sprawy wyglądałyby znacznie gorzej. Gdzie Pilcher?

– Nieprzytomny, związany w gabinecie.

– Poślę kogoś po niego. – Krótkofalówka Alana zapiszczała. – Tu Alan. Odbiór.

W głośniku rozległ się głos Mustina, przekrzykującego strzelaninę:

– Właśnie wypchnęliśmy ostatnią sforę z tunelu, ale drzwi zostały nadwerężone! Odbiór!

– Już wysłałem do was ciężarówkę z blachą stalową i trzech ludzi, którzy potrafią ją kłaść – odparł Alan. – Zaspawają drzwi. Odbiór.

– Zrozumiałem, utrzymamy się! Bez odbioru!

– Nie możesz zamknąć tego wyjścia – powiedział Ethan. – Musimy się dostać do ludzi w dolinie. Tam są moja żona i syn.

– Dostaniemy się, ale musimy się przegrupować. Wiem, że straciłem co najmniej ośmiu ludzi. Jeśli mamy ruszyć wszystkimi siłami na Wayward Pines, powinniśmy zabrać z arsenału, co tylko się da. Musimy znaleźć amunicję do działka. – Oczy Alana stężały, gdy wypowiadał ostatnie zdanie: –

I nie możemy ruszyć w nocy.

– Co takiego?

– Jest już wieczór. Zanim będziemy gotowi do wymarszu, zapadnie noc. Na miasto ruszymy o brzasku.

– Jutro?

– Nie jesteśmy wyposażeni do walki nocnej.

– A myślisz, że ludzie w dolinie są? Myślisz, że moja żona i syn...

– W ciemności zostaniemy wyrżnięci i dobrze o tym wiesz. Stracilibyśmy tylko szansę na ocalenie tych ludzi.

– Cholera jasna!

– Sądzisz, że nie chcę natychmiast ruszyć na miasto i otworzyć ognia?

Ethan zaczął iść w stronę tunelu.

– Dokąd to się wybierasz!?! – zawołał za nim Alan.

– Odszukać rodzinę.

– Jak wyjdiesz w nocy, to cię pożą. Tam grasują setki tych przyjemniaczków.

Ethan zrobił dwa kroki w głąb korytarza, po czym stanął.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co czujesz – powiedział Alan. – Gdyby tam była moja rodzina, nie zdołałbyś mnie powstrzymać. Ale ty jesteś bystrzejszy ode mnie, Ethanie. Na pewno rozumiesz, że twoja śmierć podczas jakiejś samobójczej misji tej nocy nie ocali twojej rodziny ani nikogo innego.

„Szlag by to”.

„Ma rację”.

Ethan odwrócił się i ciężko westchnął.

– Czyli mieszkańcy Wayward Pines mają spędzić kolejną noc w ciemności, chłódzie, bez jedzenia i wody, dzieląc dolinę ze sforą aberracji.

Alan podszedł do niego.

Ethan słyszał kanonadę dobiegającą z tunelu.

– Miejmy nadzieję, że ci, którzy przetrwali pierwszy atak, znaleźli bezpieczne kryjówki. Gdzie są twoi bliscy?

– Zostawiłem ich w połowie wysokości góry w jaskini, za zamkniętymi drzwiami.

– Czyli nic im nie grozi.

– Tego nie wiem. Jedna z grup ukrywa się w szkole, w piwnicy. Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt osób. A może po prostu...

– Zbyt ryzykowne. Dobrze o tym wiesz.

Ethan przytaknął i rzucił:

- A co z bramą w ogrodzeniu? Wciąż jest otwarta? Następny tysiąc albo trzydzieści tysięcy aberracji może sobie wparadować do naszej doliny, jeśli przyjdzie im ochota?
- Kazałem się tym zająć głównemu technikowi. Twierdzi, że z superstruktury nie może włączyć ogrodzenia.
- Dlaczego?
- Najwyraźniej Pilcher uszkodził obwody wewnętrzne. Tylko ręcznie można włączyć prąd w ogrodzeniu i zamknąć bramę.
- A przycisk znajduje się, niech zgadnę...
- Przy ogrodzeniu. Gdyby było zbyt łatwo, nie byłoby zabawy, prawda?
- Jestem za tym, żeby natychmiast kogoś tam posłać – powiedział Ethan.
- Na południowym stoku jest tajne wyjście. Stamtąd do ogrodzenia jest zaledwie czterysta metrów.
- Poślij tego technika i paru strażników.
- Dobrze, ale zanim się tym zajmę... – Alan obejrzał się przez ramię na tłum, który wlał się do arki. – Ci ludzie nie mają o niczym pojęcia. Po prostu usłyszeli strzały, więc przyszli sprawdzić, co się dzieje.
- Pomówię z nimi – obiecał Ethan i ruszył w kierunku zgromadzenia.
- Bądź delikatny! – zawołał za nim Alan.
- Niby czemu?
- Ponieważ to jest jedyne życie, jakie znają, a ty zamierzasz je rozwalić w drobny mak.

THERESA

Raptownie się zbudziła, otworzyła oczy na całkowitą ciemność.

– Nie, nie, nie – mamrotał nieprzytomnie Ben, wiercąc się na materacu.

Theresa potrząsnęła synem i szepnęła:

– Wszystko dobrze, szefie. Mama jest przy tobie.

Od lat nie odzywała się do syna w ten sposób. Ostatnio robiła to jako młoda matka, kołysząc maleńkiego Bena do snu w pokoju dzieciennym, gdy za pękniętą szybą łagodnie szeptał deszcz.

– Co się dzieje? – spytał Ben.

– Nadal jesteśmy w celi, ale nic nam nie grozi.

– Gdzie są potwory?

Za kratami panowała niepokojąca cisza, nic się nie poruszało.

– Chyba sobie poszły.

– Bardzo chce mi się pić.

– Wiem, szefie. Mnie też.

– Czy za biurkiem nie stoi przypadkiem pojemnik z wodą?

– Chyba tak.

– Może dałoby się wykraść i spróbować...

– Och, nie sądzę, żeby to był taki świetny pomysł, Benjaminie – odezwał się w ciemności kobiecy głos.

– Kto tam jest? – Theresa się wzdrygnęła.

– Nie poznajesz mojego głosu, słodziutka? Jak to możliwe? Zwierzałaś mi się w każdy ostatni czwartek miesiąca...

– Pam? Boże, co ty tu...

– Kilka godzin temu usłyszałam, jak wy dwoje krzyczycie, widziałam, jak abiki zapędzają was na posterunek. Oczekałam, aż sobie pójdą. Tak się cieszę, że zastałam was całych i zdrowych. Nawet nie macie pojęcia. Decyzja, żeby zamknąć się w celi, świadczy o świetnym refleksie, Thereso.

Theresa się spodziewała, że oczy przywykną jej trochę do ciemności, ale wciąż nie widziała nawet własnej dłoni przed twarzą.

– Nie jestem pewna, co tu się wydarzyło zeszłej nocy – powiedziała Pam. – Czy twój mąż pokazał mieszkańcom aberracje?

– Powiedział im wszystko. O abikach. O podglądaniu. O tym, że żyjemy dwa tysiące lat później. Że tylko my pozostaliśmy z całej ludzkości.

– Czyli naprawdę to zrobił. Skurwysyn. Hej, nie patrz na mnie takim wzrokiem.

Theresa poczuła w krzyżach narastający chłód.

– Tu jest ciemno, choć oko wykol – powiedziała.

– Owszem. Mimo to widzę, jak tulisz Bena i groźnie wpatrujesz się mniej więcej w miejsce, gdzie siedzę, i nie podoba mi się...

– Jakim cudem?

– To się nazywa noktowizor, skarbie. Nie pierwszy raz przyglądam ci się w ten sposób.

– O czym ona mówi, mamó?

– Ben, nie...

– Benjaminie, mówię o tym, że przyłapałam twoich rodziców, jak po zmroku wykradli się z waszego domu przy Szóstej. Wiesz, że to surowo zabronione.

– Nie odzywaj się tak do mojego syna.

– Nie odzywaj się tak do kobiety, która celuje do ciebie ze strzelby kaliber dwanaście.

Na moment zapadło całkowite milczenie. Theresa próbowała to sobie wyobrazić: Pam, z noktowizorem na oczach, siedząca przed celą i mierząca do niej i Bena ze strzelby.

– Celujesz w mojego syna? – Theresa starała się zachować równowagę, ale drżenie głosu zdradziło narastający gniew i strach.

– Jego też zastrzelę.

Theresę opuściły resztki sił.

Uklękła i próbowała osłonić Bena własnym ciałem.

– Daruj sobie. Wystarczy, że... – powiedziała Pam i poruszyła się. Jej głos się przemieścił. – Wstanę i podejść do celi od tej strony. Stąd znowu będę miała dogodną pozycję strzelecką.

– Dlaczego to robisz? Jesteś moją psychoterapeutką.

– Nigdy nie byłam twoją psychoterapeutką.

– O czym ty mówisz?

– Jaka szkoda, Thereso. Naprawdę cię lubiłam. Nasze sesje sprawiały mi radość. Chcę, byś wiedziała, że w tym, co wkrótce spotka ciebie i twego syna, nie ma nic osobistego. Po prostu masz pecha, bo jesteś żoną człowieka, który zniszczył to miasto.

– Ethan niczego nie zniszczył. On tylko powiedział ludziom prawdę.

– To nie należało do niego. Dla ludzi słabych duchowo prawda może być niebezpieczną rzeczą.

– Ty ją znałaś, tak? – spytała Theresa. – Przez cały czas.

– Co? Prawdę na temat Wayward Pines? Naturalnie, że ją znałam. Thereso, przecież pomagałam budować to miasto. Jestem tu od początku, od pierwszego dnia. To miasto jest jedynym domem, jaki miałam, a twój mąż go zniszczył. Zniszczył wszystko.

– To nie Ethan otworzył bramę. Nie on wyłączył prąd w ogrodzeniu i wpuścił potwory. Zrobił to

twój szef.

– Mój szef David Pilcher stworzył to miasto. Każdy dom. Każdą drogę. Osobiście wybrał wszystkich mieszkańców. Wszystkich członków ekipy. Gdyby nie on, nie żyłabyś od setek lat. Jak śmiesz krytykować człowieka, który dał ci to życie?

– Pam, proszę cię. Mój syn nie jest odpowiedzialny za to wszystko. Przecież wiesz.

– Ty nie rozumiesz, złotko. Tu nie chodzi o waszą odpowiedzialność za poczynania Ethana. Ten etap mamy już dawno za sobą.

– To czego właściwie chcesz? – Theresa poczuła napływające łzy i panikę.

Ben łkał już w jej ramionach.

– W tej chwili zależy mi tylko na tym, żeby zadać ból twojemu mężowi – odparła Pam. – O ile jeszcze żyje. W końcu przyjdzie tu po was i wiesz, co znajdzie?

– Nie musisz tego robić, Pam.

– Znajdzie was oboje martwych. Czekających. Zanim go zabiję, chcę, żeby Ethan wiedział, że to moje dzieło.

– Posłuchaj mnie...

– Słucham. Ale zanim zaczniesz mówić, sama się spytaj, czy naprawdę wierzysz, że skłonisz mnie do zmiany zdania.

W korytarzu, gdzieś w okolicy wejścia, Theresa usłyszała cichy odgłos.

Jakby pękał odłamek szkła.

„Proszę, niech to będzie abik, proszę”, myślała rozpaczliwie.

– Zeszłej nocy zginęła większość mieszkańców – powiedziała. – Nawet nie wiem, ilu z nas przeżyło.

Znów coś zazgrzytało.

Theresa podniosła głos.

– Bez względu na to, co czujesz wobec mojego męża, czy myślisz, że zabicie nas obojga, którzy przeżyliśmy, będzie korzystne dla naszego gatunku? Przecież grozi nam wymarcie.

– Kurczę, celny argument, Thereso. Nie przyszło mi to do głowy.

– Serio?

– Nie, po prostu jaja sobie robię. Gównu mnie to obchodzi. – Pam załadowała strzelbę. – Obiecuję, że nie będziecie cierpieć. Mam być szczerą? Może dostrzeżesz plusy. Przynajmniej ty i twój syn nie zginiecie rozszarpani przez aberracje. Nic nie poczujecie. Cóż, trochę może tak, ale po chwili będzie po wszystkim.

– On jest jeszcze dzieckiem! – krzyknęła Theresa.

– Aha, czy mogłabyś mi podać klucz od celi, zanim...

Błysk z lufy rozświetlił całe pomieszczenie.

Huk był ogłuszający.

„Już po nas – pomyślała Theresa – zrobiła to”.

Jednak wciąż mogła myśleć.

Nadal tuliła syna w objęciach.

Zebrała się w sobie przed spotkaniem z bólem, ale nie nadszedł.

Ktoś wymawiał jej imię, dzwoniło jej w uszach, słyszała krzyki dochodzące jakby z głębokiego dołu.

Coś zaiskrzyło, w jej polu widzenia rozjarzył się świetlny punkt. Theresa myślała: „Czy to jest słynne światło na końcu tunelu? Czy umarłam i pędzę ku niemu? Czy mój syn jest ze mną?”.

Kolejny rozbłysk, ale tym razem światło nie zgasło.

Coraz bardziej się rozjaśniało, aż od płomyka zajęła się kupka suchego mchu.

Mech kopcił, Theresa czuła swąd dymu, widziała dłonie unoszące rozpałkę z podłogi. Płomienie oświetliły najbardziej umorusaną twarz, jaką widziała w życiu, okoloną zmierzwioną brodą, która musiała rosnąć wiele lat.

Ale te oczy...

Nawet w gasnącym blasku ognia, mimo gęstej i brudnej brody, poznała jego oczy. Szok wywołany bliską śmiercią nie mógł się równać z zaskoczeniem, które poczuła na ich widok.

– Thereso! – powiedział mężczyzna ochrypłym głosem. – Kochanie!

Theresa puściła Bena i skoczyła do przodu.

Ogień zgasł, a ona przypadła do kraty, wysunęła dłonie, chwyciła mężczyznę i przyciągnęła do prętów.

Adam Hassler cuchnął jak człowiek, który spędził wiele lat w dziczy. Kiedy wsunęła mu ręce pod płaszcz i objęła go w pasie, wyczuła, że zostały z niego sama skóra i kości.

– Adam!

– To ja, Thereso.

– Boże mój!

– Nie wierzę, że naprawdę cię dotykam.

Hassler pocałował ją przez kratę.

Ben zszedł z łóżka, podszedł i powiedział:

– Myślałem, że zginąłeś.

– Powinienem być zginąć, mały. Powinienem być zginąć tysiąc razy.

ETHAN

Stał na masce jeepa Maggie i wodził wzrokiem po twarzach stu pięćdziesięciu ludzi zgromadzonych w arce. Dziwnie było patrzeć na tę grupę, która przez czternaście lat pracowała razem, by utrzymywać mieszkańców Wayward Pines w niewiedzy.

– Minionej nocy podjąłem trudną decyzję – powiedział Ethan. – Wyznałem mieszkańcom Wayward Pines prawdę. Powiedziałem im, który mamy rok. Pokazałem im aberrację.

– Nie miałeś prawa! – rozległ się głos w tłumie.

Ethan zignorował ten okrzyk.

– Domyślam się, że nikt z was nie pochwała mojej decyzji, ale to mnie właściwie nie dziwi. Przekonajmy się jednak, czy pochwalacie decyzję, którą w odpowiedzi na to podjął David Pilcher. Otóż wyłączył prąd w ogrodzeniu i otworzył bramę. W nocy co najmniej pięćset abików wtargnęło do doliny. Stwory wymordowały ponad połowę mieszkańców. Ci, którzy zdołali uciec, nie mają jedzenia ani ogrzewania, ponieważ Pilcher wyłączył też prąd w mieście.

Na twarzach zgromadzonych odmalowało się niedowierzanie.

– Kłamca! – zawołał ktoś.

– Rozumiem, że w przeszłości, na pewnym etapie życia, każdy z was kupił to, co sprzedawał David Pilcher. Trzeba przyznać, że to błyskotliwy człowiek. Nikt nie może zaprzeczyć. Nikt nie może powiedzieć, że nie jest wizjonerem, niewykluczone też, że to najambitniejszy człowiek, jaki kiedykolwiek żył. Rozumiem, co was w nim pociągało. Towarzystwo człowiekowi dysponującemu taką władzą działa odurzająco. Sprawia, że czujecie się lepiej. Podejrzewam, że kiedy David Pilcher pojawił się w waszym życiu, wielu z was było na dnie. On dał wam sens i cel, całkowicie to rozumiem. Ale ten człowiek jest potworem w nie mniejszym stopniu niż aberracje żyjące za ogrodzeniem. Może nawet większym. Idea Wayward Pines zawsze znaczyła dla niego więcej niż ludzie, którzy nazywali to miasteczko swoim domem. Przykro mi to mówić, ale znaczyła też więcej niż ktokolwiek z was. Wszyscy znaliście Alyssę. Słyszałem, że tu, wewnątrz góry, darzono ją powszechną miłością. Alyssa nie zgadzała się ze swoim ojcem. Wierzyła, że mieszkańcy Wayward Pines zasługują na coś więcej niż całodobowy nadzór przez siedem dni w tygodniu, mordowanie się nawzajem, życie w niewiedzy. To, co wam teraz pokażę, wstrząśnie wami i przepraszam za to, ale musicie wiedzieć, jakiemu człowiekowi służyliście, bo dzięki temu będziecie mogli pójść dalej.

Ethan wskazał na znajdujący się za ludźmi stucalowy monitor, umocowany do skały obok szklanych drzwi.

Najczęściej wyświetlano na nim harmonogram pracy dla pełniących służbę w nadzorze, ochronie albo przy modułach zawieszających. Pojawiały się tam też rozkład jazdy transportów do Wayward Pines i wewnętrzny system komunikacji dla najbliższych współpracowników Pilchera.

Tej nocy monitor miał ukazać, jak David Pilcher, twórca Wayward Pines, morduje swoją córkę.

Ethan zawołał do jednego z techników Teda, stojącego pod monitorem:

– Puszczaj!

THERESA

Wznoszący się dym wylatywał przez okratowane okno pod sufitem. W palenisku płonął papier do drukarki, płomienie lizały nogi krzesła Belindy. Ben położył się na pojedynczym materacu, który Theresa zwlokła z łóżka i przysunęła do ognia. Usiadła naprzeciwko Hasslera, wyciągając dłonie do ciepła.

Za kratami, na betonie, leżało ciało Pam, kałuża krwi wokół jej głowy wciąż się powiększała.

– Zobaczyłem, że wyłączono prąd w ogrodzeniu – mówił Hassler. – Wbiegłem do miasta, do naszego domu, ale was nie zastałem. Szukałem wszędzie. Pomyślałem, że ty i Ben zginęliście. Kiedy szukałem amunicji na posterunku, usłyszałem, jak błagasz Pam, żeby darowała ci życie. Nie taki powrót do domu sobie wyobrażałem.

– Ja nie wyobrażałam sobie żadnego – powiedziała Theresa. – Powiadomiono mnie, że nie wrócisz.

– Co tu się stało?

– Miasto zna już prawdę.

– Całą?

– Całą. Straciliśmy mnóstwo ludzi. Przypuszczam, że facet, który to wszystko zbudował, postanowił rozwalić zabawki i wrócić do domu.

– Kto wyznał ludziom prawdę?

– Zorganizowano igrzyska dla Kate i Harolda Ballingerów, ale zamiast ich zabić, szeryf wykorzystał okazję, by podnieść kurtynę.

– Pope?

– Pope nie żyje, Adamie. – Theresa się zawahała. – Odkąd odszedłeś, wiele się wydarzyło. Ethan jest teraz szeryfem.

– Ethan jest tutaj?

– Może miesiąc temu przywrócono go do życia. Wywrócił miasto do góry nogami. Od tamtej pory już nic nie jest takie jak dawniej.

Hassler wpatrywał się w ogień.

– Nie wiedziałem, że on tu jest – powiedział.

– Skąd miałbyś wiedzieć?

– Nie, ja po prostu... Czy Ethan wie?

– O nas?

– Tak.

– Nie. Nie powiedziałam mu. To znaczy w końcu zamierzałam, ale Ben i ja przegadaliśmy to

i uznaliśmy, że nie ma pośpiechu. Nie spodziewaliśmy się już ciebie zobaczyć.

Z kącików oczu mężczyzny popłynęły łzy, żłobiąc czyste bruzdy na brudnej twarzy.

Ben obserwował go z materaca.

– To jakiś koszmar – wykrztusił Hassler.

– Co?

– Wracać do czegoś takiego. Każdego dnia za ogrodzeniem, kiedy stałem w obliczu śmierci, głodu, pragnienia, ty i tylko ty pozwalałaś mi brnąć dalej. Utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach myśl o tym, jakie będzie nasze życie, gdy wrócę.

– Adamie...

– Tamten rok spędzony razem...

– Proszę.

– Był najszczęśliwszy w moim życiu. Kocham cię. Nigdy nie przestałem. – Hassler obszedł ognisko, objął Theresę i spojrzał na Bena. – Byłem dla ciebie jak ojciec, prawda? – Potem popatrzył na nią. – Byłem twoim mężczyzną. Twoim obrońcą.

– Adamie, bez ciebie nie przeżyłabym w Wayward Pines, ale sądziłam, że już nie wrócisz. Potem, ni stąd, ni zowąd, pojawił się mój mąż.

Na dworze zawył abik.

Hassler przysunął plecak, poszperał w środku, wreszcie wyjął dziennik. Zdarłszy plastikowe opakowanie, otworzył sfatygowaną książkę na pierwszej stronie i w blasku ognia wskazał na dedykację: „Kiedy wrócisz – a wrócisz – będę się z tobą pieprzyć, żołnierzu, jakbyś właśnie wrócił z wojny do domu”.

Na widok tych słów Theresa się załamała.

Czuła się znokautowana.

Napisała je tuż przed odejściem Hasslera.

– Codziennie czytałem tę dedykację – powiedział. – Nie masz pojęcia, co przetrwałem dzięki niej.

Theresa nic nie widziała przez łzy, emocje wezbrały jak krwotok, którego nie dało się zatamować.

– Nie proszę cię, żebyś przepowiadała przyszłość – mówił Hassler. – Mówię o chwili obecnej. Czy nadal mnie kochasz, Thereso?

Spojrzała na zmierzwioną brodę, pooraną bliznami twarzy, zapadnięte oczy.

Boże, kochała tego człowieka.

– Nigdy nie przestałam – wyszeptała.

W oczach Hasslera błysnęła ulga, jakby usłyszał odroczenie egzekucji.

– Muszę cię o coś spytać – powiedziała. – Czy kiedy żyliśmy razem, wiedziałeś?

– O czym?

– O tym mieście. O tym, czym jest. Czy znałeś sekrety, które przed nami skrywano?

Patrząc jej w oczy, odparł:

– Aż do dnia, gdy David Pilcher przyszedł mi oznajmić, że zostałem wytypowany do misji za ogrodzeniem, wiedziałem tylko to, co ty.

– Po co cię tam posłał?

– W celach badawczych. Miałem szukać śladów ludzkiej działalności poza obrębem tej doliny.

– I znalazłeś?

– Mój ostatni wpis z wyprawy... – Hassler przewertował końcowe strony. – Napisałem: „Tylko ja mam klucz do naszego wybawienia. Jestem dosłownie jedynym człowiekiem na świecie, który może ten świat ocalić”.

– Więc czym jest ten klucz? – spytała.

– Pogodzić się.

– Z czym?

– Z faktem, że to naprawdę koniec. Świat należy do aberracji.

Mimo szoku i żalu, które ją ogarnęły, Theresa pojęła wagę tych słów.

Nagle poczuła się przeraźliwie samotna.

– Nie będzie żadnego odkrycia, które nas ocali – mówił Hassler. – W żaden sposób nie znajdziemy się znów na szczycie łańcucha pokarmowego. Możemy przetrwać tylko w tej dolinie. Nasz gatunek wymrze. To prosty fakt. Równie dobrze możemy wymrzeć z wdziękiem. Smakować każdy dzień, każdą chwilę.

MUSTIN

Mustin zgarnął śnieg i przycupnął na półce skalnej. Ponieważ wziął ze sobą spory zapas amunicji, dotarcie na szczyt zajęło mu godzinę dłużej niż zwykle.

W przeszłości zdarzało mu się lustrować miasto, ale oczywiście nigdy nie mierzył do niczego w dolinie.

Celownik ustawił na wraku bronco szeryfa Burke'a.

Po trzech strzałach oraz trzech drobnych poprawkach paralaksy trafił dokładnie tam, gdzie chciał: w przednią oponę od strony kierowcy.

Miasto zbudowano na planie regularnej siatki, z kwadratowymi kwartałami o boku stu metrów, co znaczyło, że teraz, gdy miał już punkt odniesienia, dalsze poprawki nie powinny przysparzać trudności.

Rozprostował szyję, aż chrupnęło.

Chwyciwszy za trzon zamka, otworzył komorę i wybrał pierwszy nabój z pięciostrzałowego magazynka.

Potem przytknął oko do celownika, zaczął lustrować Główną i włączył słuchawki.

– Tu Mustin, jestem na pozycji. Odbiór.

– Jesteśmy przy drzwiach do tunelu. Odbiór – odpowiedział Ethan Burke.

– Zrozumiałem. Przechodzę do pierwszego etapu. Nie rozłączaj się. Bez odbioru.

Na ulicy Głównej leżały porzucane ciała.

Na jezdni, przed kawiarnią Steaming Bean, posilało się pięć abików.

Na razie Mustin ignorował las i zbrocza wokół miasta, skupił się za to na alejach na osi wschód–zachód oraz ulicach biegnących z północy na południe.

Po każdej obserwacji zapisywał coś w notesie.

Jedenaście minut później wcisnął na słuchawkach przycisk ROZMOWA.

– Jeszcze raz Mustin. Odbiór.

– Mów – poprosił Ethan.

– Widzę sto pięć aberracji. Mniej więcej połowa przemieszcza się stadami liczącymi od piętnastu do dwudziestu osobników. Pozostałe wędrują samotnie przez miasto. Na razie ani śladu ludzi, którzy przeżyli.

– Masz dwadzieścia minut, potem wkraczamy – oznajmił Ethan.

Mustin się uśmiechnął. Nieprzekraczalny termin. To lubił.

– Zakładamy się? Odbiór – powiedział.

– O czym ty gadasz?

– O liczbie zabitych. Odbiór.

– Po prostu bierz się do roboty.

Mustin zaczął od południowego krańca Głównej i powoli przesuwał się na północ.

Piętnaście trafień.

Pięć razy spudłował.

Dwanaście sztuk zabitych.

Trzy zostawił w takim stanie, że pewnie żałowały, iż nie zginęły. Zmasakrowane stwory wlokły się po chodniku.

Potem Mustin skupił się na Siódmej, wziął poprawkę i zabrał się do pracy. W pobliżu szkoły wypatrzył osiemnaście abików śpiących na ulicy. Zanim pozostałe obudziły się i pojęły, że stały się celem ataku, zastrzelił cztery. Gdy sfera się rozpierzchała, zdjął jeszcze pięć.

Strzelanina trwała, a Mustin musiał przyznać, że jego karabin wyborowy AWM jeszcze nigdy nie sprawiał mu takiej frajdy.

Pięć minut przed czasem zastrzelił trzy aberracje na drodze wychodzącej z miasta na południe i kolejne dwie w pobliżu ogrodów. W chwili gdy w słuchawkach rozległ się głos szeryfa, strzelił w głowę następnej, która pędem mijała szpital.

– Czas upłynął – powiedział Ethan. – Odbiór.

– Czterdzieści cztery – odparł Mustin. – Odbiór.

– Słucham?

– Mamy na głowie o czterdzieści cztery abiki mniej. Odbiór.

– Imponujące. Czy ogrodzenie wytrzyma?

Mustin skierował celownik na południe i przyjrzał się lasowi w pobliżu ogrodzenia.

– Brama wciąż jest zamknięta – zameldował. – Kiedy wejdziecie do miasta, mogę was trochę kryć, ale strzelanie w las jest w najlepszym razie ryzykowne. Odbiór.

– Zrozumiałem. Będziesz naszymi oczami. Zabijaj, co możesz. Uprzedzaj nas, co się zbliża. Odbiór.

Mustin przeładował karabin.

Przez celownik zlustrował las i głązy okalające wejście do superstruktury.

– Droga wolna. Możecie ruszać – powiedział.

ETHAN

Alan prowadził opancerzonego humvee'a, Ethan siedział obok.

W bocznym lusterku widział spawaczy, którzy zamykali wejście do superstruktury.

Na dachu wozu strażnik obsługiwał karabin maszynowy kaliber pięćdziesiąt.

Za nimi jechały dwie furgonetki Dodge Ram. Na pierwszej stali dwaj ludzie ze strzelbami powtarzalnymi.

Drugi ram wiózł działko obrotowe.

Za furgonetkami podążały dwie ciężarówki, a kawalkadę zamykała trzecia furgonetka z sześcioma strażnikami uzbrojonymi po zęby.

– Radzę zostać na Głównej – odezwał się w słuchawkach Mustin. – Którędy jedziecie? Odbiór.

Alan wyjechał z lasu i skręcił w drogę do miasta.

– Trzynastą do Piątej, potem trzy przecznice do szkoły – odparł Ethan. – Mamy towarzystwo?

– Widzisz tego gościa w oddali?

Mrużąc oczy, Ethan spojrzał przez przednią szybę.

Sto metrów przed nimi, na podwójnej ciągłej kucał abik. Słyszając nadjeżdżające pojazdy, wstał, a wtedy z boku głowy trysnęła mu czerwona mgiełka.

– Macie na drodze jeszcze kilku innych maruderów – powiedział Mustin. – Zacznę ich zdejmować. Odbiór.

Słońce nie wyłoniło się jeszcze zza gór, dolinę przed nimi wciąż spowijało poranne światło.

– Spałeś choć trochę? – spytał Alan.

– A jak myślisz?

KATE

Usłyszała terkot broni automatycznej.

Słyszeli go wszyscy w klasie.

Ona i Spitz zabrali się do odsuwania mebli od drzwi i wyciągania gwoździ z framugi.

Wreszcie odblokowali wyjście, ale kazali ludziom czekać.

Wybiegli na korytarz.

W górę po schodach.

Kanonada się nasilała, a w przerwach między wystrzałami dał się słyszeć inny odgłos: warkot silników.

Przy wyjściu Kate uniosła karabin AR-15 i poleciła Spitzowi otworzyć drzwi.

Pociągnął.

Kate przekroczyła próg i zrobiła dwa kroki.

Aberracje gnały po szkolnym dziedzińcu w kierunku konwoju pojazdów na skrzyżowaniu Dziesiątej i Piątej: humvee'a, trzech furgonetek oraz dwóch osiemnastokołowych ciężarówek.

Od sfory odłączył się jeden z osobników i popędził wprost na Kate.

– Masz go? – spytał Spitz.

Pozwoliła bestii podbiec na odległość siedmiu metrów.

– Kate!

W końcu pociągnęła za spust, trzema seriami wydziergała śliczny wzór w piersi napastnika, który runął półtora metra od drzwi.

Wtedy rozległ się huk podobny do grzmotu, na drugiej furgonetcie rozbłysło pomarańczowo działko tak duże, że powinno być umocowane do helikoptera.

Seria przecięła rząd aberracji na pół.

Drzwi humvee'a od strony pasażera otworzyły się.

Na widok wysiadającego Ethana Kate poczuła, jak rośnie jej serce.

Patrzyła, jak obchodzi samochód od przodu i biegnie do ogrodzenia.

Kiedy przeszedł na drugą stronę, z dziedzińca skoczyły ku niemu cztery stwory.

Kate złożyła się do strzału i opróżniła magazynek, kładąc całą czwórkę.

Ethan spojrzał na nią, unosząc ze zdziwieniem brwi.

Wszędzie leżały ciała abików, ludzie zsiadali z ciężarówek i ustawiali się w kręgu.

Kate podbiegła do utykającego Ethana. Niósł strzelbę, dzinsy i koszulę miał w strzępach, twarz zakrwawioną.

Przez łzy widziała nieostro, otarła oczy.

Wreszcie stanęli twarzą w twarz, Kate gwałtownie go objęła.

– Co z rannymi? – spytał.

– Jeden umarł. Jeden trzyma się ostatkiem sił.

– Przywiozłem ciężarówki. Wszystkich zabieramy stąd w góry.

– Znalazłeś Harolda?

– Jeszcze nie.

– Co z Theresą i Benem?

Ethan potrząsnął głową.

Po jej twarzy wciąż płynęły łzy, powieki miała zaciśnięte, Ethan raz po raz powtarzał jej imię, mówił, że wszystko będzie dobrze, ale ona nie mogła przestać płakać i nie chciała wypuścić go z objęć.

ETHAN

Trzymając Kate w objęciach, zobaczył, jak Dziesiątą idzie człowiek w czarnym płaszczu do kostek, z twarzą ukrytą pod czarnym kowbojskim kapeluszem, z długą, niechlujną brodą.

– Kto to jest, do diabła? – spytał Ethan.

Kate odwróciła się i odparła:

– Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Ethan ruszył przez szkolny dziedziniec, przeszedł przez ogrodzenie i stanął na ulicy.

Człowiek w czerni, z winchesterem na ramieniu, powłóczył nogami, szurając buciorami po chodniku. Kilka kroków od Ethana zatrzymał się – złachany, cuchnący okaz ludzki. Można byłoby go wziąć za bezdomnego świra, gdyby nie oczy. Ani śladu szaleństwa. Spojrzenie klarowne, wyraziste, intensywne.

– Niech mnie szlag, Ethanie – powiedział nieznajomy.

– Przepraszam, czy my się znamy?

W gęstwinie brody Ethan dostrzegł uśmiech.

– Czy my się znamy? – Brodacz się zaśmiał. Chrypiał tak, jakby krtań miał wyłożoną papierem ściernym. – Podpowiem ci. Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, wysłałem cię tutaj.

Wtedy mózg Ethana zaskoczył.

– Adam? – spytał, przekrzywiając głowę.

– Słyszałem, że ten bajzel to twoja robota.

– Przez cały czas byłeś w mieście?

– Nie, nie. Właśnie wróciłem.

– Skąd?

– Stamtąd. Zza ogrodzenia.

– Jesteś nomadą?

– Nie było mnie od trzech i pół roku. Wczoraj o świcie wróciłem przez ogrodzenie.

– Adamie...

– Wiem, że masz pytania, ale jeśli szukasz rodziny, znalazłem ich zeszłej nocy.

– Gdzie?

– Theresa zamknęła się z Benem w celi na posterunku szeryfa.

– Są cali i zdrowi?

– Tak i...

Ethan popędził Dziesiątą i przez sześć przecznic nie zwalniał, dopóki zadyszany nie wbiegł na posterunek.

– Thereso! – zawołał.

– Ethan?

Pognał korytarzem do celi w północnej części budynku, a na widok żony i syna za kratami poczuł wzbierające łzy.

Niezdarnie mocując się z kluczem, Theresa otworzyła celę.

Ethan pchnął drzwi, objął żonę, zaczął pokrywać jej twarz pocałunkami, jakby dotykał jej po raz pierwszy.

– Myślałem, że cię straciłem – powiedział cicho.

– Mało brakowało.

Ben prawie przewrócił ojca na ziemię.

– Wszystko w porządku, synu?

– Tak, tato, ale o mały włos nie zginęliśmy.

W mieście znowu rozległa się kanonada.

– Sprowadziłeś kawalerię? – spytała Theresa.

– Owszem.

– Uratowałeś dużo ludzi?

– W szkolnej piwnicy jest grupa, która da sobie radę. Ochroniarze przeczesują miasto, zabijając wszystko, co nie jest ludźmi, ratują, kogo się da. Czemu nie zostaliście z Benem w jaskini?

– Abiki wróciły – wyjaśnił Ben. – Mnóstwo ludzi zostało, ale mama i ja znaleźliśmy inne zejście ze skał.

– Ci, którzy zostali, chyba nie przeżyli – dodała Theresa.

Ethan dostrzegł przez kraty ciało Pam.

– Wytropiła nas tu zeszłej nocy – powiedziała Theresa. – Siedzieliśmy bez broni, zamknięci w celi. Chciała nas zabić.

– Dlaczego?

– Żeby cię zranić. – Theresa wzdrygnęła się na to wspomnienie. – Uratował nas Adam Hassler.

– Wiedziałaś, że on tu jest? – spytał Ethan.

– Nie.

Znowu zaterkotało działko obrotowe.

Ethan wyjął krótkofalówkę.

– Tu Burke. Odbiór.

– Tak, mów. Odbiór – odpowiedział Alan.

– Możesz przysłać furgonetkę na posterunek? Znalazłem rodzinę. Chcę ich przewieźć w bezpieczne miejsce.

CZEŚĆ VIII

THERESA

Wayward Pines

Pięć lat wcześniej

Bosa stoi w deszczu, szpitalna koszula nocna przemokła do suchej nitki. Patrzy w górę na ośmiometrowej wysokości ogrodzenie z drutem kolczastym bucującym od przepływającego prądu.

Nieopodal widnieją dwie tablice ostrzegawcze:

WYSOKIE NAPIĘCIE
GROZI ŚMIERCIA

oraz:

WRÓĆ DO WAYWARD PINES
PO PRZEKROCZENIU TEGO PUNKTU ZGINIESZ

Pada na ziemię.

Zziębnięta.

Drżąca.

Już zmierzch, wkrótce zapadnie noc i w lesie nic nie będzie widać.

Dotarła do kresu. Do swojego kresu.

Nie ma się do kogo zwrócić.

Donikąd nie może uciec.

Załamuje się.

Łka bez opamiętania, zimny deszcz siecze jej ciało.

Czyjeś dłonie chwytają ją za ramiona.

Reaguje jak zranione zwierzę: odsuwa się gwałtownie i odpełza na czworakach, a czyjś głos woła za nią:

– Thereso!

Ona jednak się nie zatrzymuje.

Gramoląc się na równe nogi, rusza sprintem, ślizgając się po mokrych sosnowych igłach.

Ktoś przewraca ją na ziemię, ona pada twarzą w błoto, czyjeś dłonie ją przygniatają, potem próbują obrócić. Theresa walczy z całych sił, ręce napastnika wbijają się w jej boki, myśli: „Jeśli te dłonie znajdą się w pobliżu moich ust, ten dupek straci palce”.

Napastnikowi udaje się obrócić ją na plecy, przygniata jej ręce, przygwaźdża nogi poniżej kolan.

– Puść! – krzyczy Theresa.

– Przestań się szamotać.

Ten głos.

Theresa patrzy na napastnika. Prawie nic nie widzi w ciemnościach, ale poznaje jego twarz.

Twarz z innego życia.

Z lepszych czasów.

Przestaje walczyć.

– Adam?

– To ja.

Mężczyzna puszcza jej ręce i pomaga wstać.

– Co ty tu...? Dlaczego...? – Do głowy ciśnie się jej tyle pytań, że nie może zdecydować, któremu dać pierwszeństwo. W końcu pyta: – Co się ze mną dzieje?

– Jesteś w Wayward Pines w stanie Idaho.

– Wiem. Ale dlaczego stąd nie prowadzi żadna droga? Czemu tu stoi ogrodzenie? Dlaczego nikt nie chce mi powiedzieć, co się dzieje?

– Wiem, że masz pytania...

– Gdzie jest mój syn?

– Może zdołam ci pomóc odszukać Bena.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie, ale...

– Gdzie on jest!? – wrzeszczy Theresa. – Muszę...

– Thereso, narażasz się teraz na niebezpieczeństwo. Rzykujesz życie nas obojga. Chcę, żebyś poszła ze mną.

– Dokąd?

– Do mnie, do domu.

– Do twojego domu?

Adam zdejmuje płaszcz przeciwdeszczowy i otula nim ramiona Theresy.

– Dlaczego masz tu dom, Adamie?

– Bo tu mieszkam.

– Od jak dawna?

– Od półtora roku.

– To niemożliwe.

– Wiem, że tak to teraz musi wyglądać. Jestem pewien, że w tej chwili wszystko wydaje ci się dziwne i niewłaściwe. Gdzie są twoje buty?

– Nie wiem.

– Zaniosę cię.

Hassler unosi ją jak piórko.

Theresa patrzy mu w oczy i pomimo grozy ostatnich pięciu dni nie może zaprzeczyć, że widok tej znajomej twarzy przynosi ulgę.

– Dlaczego tu jesteś, Adamie?

– Wiem, że masz mnóstwo pytań. Pozwól, że najpierw zaniosę cię do domu, dobrze? Twój organizm uległ poważnemu wychłodzeniu.

– Powiedz mi, czy ja oszalałam? Nic już nie rozumiem. Ocknęłam się tu w szpitalu, a te ostatnie dni były...

– Spójrz na mnie. Nie jesteś szalona, Thereso.

– Co w takim razie?

– Po prostu jesteś teraz w innym miejscu.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Rozumiem, ale jeśli mi zaufasz, przysięgam, że zaopiekuję się tobą. Dopilnuję, żeby nic ci się nie stało. Pomogę ci też odnaleźć syna.

Mimo otulającego ją płaszczka Theresa gwałtownie drży w ramionach Hasslera.

Adam niesie ją przez ciemny las w ulewnym deszczu.

Ostatnie wspomnienie Theresy przed ocknięciem się w tym miasteczku dotyczy jej domu w Queen Anne, gdzie siedzi naprzeciwko człowieka nazwiskiem David Pilcher. Tamtej nocy urządziła przyjęcie na cześć zaginionego męża, a po wyjściu gości, wcześniej rano, na progu pojawił się Pilcher i złożył jej osobliwą propozycję: jeśli z nim pójdzie, ona i Ben dołączą do Ethana.

Najwyraźniej David Pilcher nie dotrzymał słowa.

* * *

Theresa leży na sofie przyciągniętej do otwartego pieca i patrzy, jak Adam Hassler dokłada do ognia sosnowe drwa. Z jej ciała zaczyna ustępować zięb. Nie spała od czterdziestu ośmiu godzin – odkąd po raz drugi obudziła się w szpitalnym łóżku i ujrzała tę okropną, uśmiechniętą pielęgniarkę – teraz jednak czuje skradającą się senność. Chyba dłużej nie wytrzyma.

Hassler podtrzymuje buzujący ogień, z drewna tryskają gotujące się soki.

Wszystkie światła w salonie są zgaszone.

Na ścianach kładzie się blask ognia.

Theresa słyszy miarowe, usypiające bębnienie deszczu o blaszany dach.

Hassler wraca od pieca, przysiada na sofie.

Patrzy na nią z dobrocią, jakiej nie zaznała od wielu dni.

– Czy mogę ci coś przynieść? – pyta. – Wodę? Więcej koców?

– Wszystko w porządku. Cóż, niezupelnie, ale...

– Wiem, co masz na myśli – mówi Adam z uśmiechem.

– To były najdziwniejsze, najgorsze dni w moim życiu. – Theresa patrzy mu w oczy.

– Wiem.

– Co się ze mną dzieje?

– Nie mogę tego wyjaśnić.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Zniknęliście z Seattle w noc upamiętniającą życie Ethana. Ty i Ben.

– Zgadza się.

– Domyśliłem się, że pojechałaś do Wayward Pines szukać Ethana, więc postanowiłem cię odnaleźć.

– Psiakrew. Jesteś tu z mojego powodu.

– Dwa dni przed Bożym Narodzeniem przyjechałem do miasteczka. Pamiętam tylko, jak nie wiadomo skąd pojawiła się ciężarówka i zmiotła mój samochód. Tak jak ty ocknąłem się w szpitalu. Bez telefonu, bez portfela. Próbowалаś dzwonić do Seattle?

– Nie wiem, ile razy usiłowałam się dodzwonić do mojej siostry Darli z budki telefonicznej obok banku, ale zawsze albo numer jest zajęty, albo brak sygnału.

– Mnie przytrafiło się to samo.

– Więc jakim cudem masz tu dom?

– Nie tylko dom, ale i pracę.

– Co takiego?

– Masz przed sobą zastępcę szefa kuchni w Aspen House, najelegantszej restauracji w Wayward Pines.

Theresa szuka na jego twarzy oznak zgrywy, ale Adam jest zupełnie poważny.

– Przecież jesteś agentem specjalnym i kierujesz biurem tajnych służb w Seattle. Ty...

– Wiele się zmieniło.

– Adamie...

– Wysłuchaj mnie, proszę. – Hassler kładzie jej dłoń na ramieniu. Theresa czuje jej ciężar. – Miałem te same pytania i lęki, co ty. Nadal je mam. To się nie zmieniło. Ale w tej dolinie nie znajdziesz odpowiedzi. Tutaj możesz tylko żyć jak trzeba albo zginąć. Thereso, mam nadzieję, że wysłuchasz mnie jako przyjaciela. Jeśli nie przestaniesz uciekać, to miasto cię zabije.

Przenosi wzrok od Hasslera na ogień.

Płomienie rozmywają się z powodu łez.

Przerażające, naprawdę przerażające jest to, że mu wierzy.

Wierzy mu w stu procentach. Z tą miejscowością jest coś nie w porządku, czuje się tu zło.

– Jestem taka zagubiona.

– Wiem. – Ściska jej ramię. – Sam przez to przechodziłem i pomogę ci, jak tylko będę mógł.

ETHAN

Wieczorem znalazł Kate siedzącą w salonie, wpatrzoną w zimny, ciemny kominek.

Usiadł przy niej, strzelbę odłożył na podłogę.

Wcześniej wdarły się tu aberracje. Okna od frontu zostały wybite, wewnątrz zdemolowane, wciąż unosiła się ostra, obca woń tych stworów.

– Co tu robisz? – spytał Ethan.

– Chyba czuję, że jeśli posiedzę tu dostatecznie długo, on przejdzie przez ten próg. – Kate wzruszyła ramionami.

Ethan ją objął.

– Ale on już nigdy nie przestąpi tego progu, prawda?

Chyba tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywała łzy.

Ethan potrząsnął głową.

– Bo ty go znalazłeś.

Za wybitymi szybami ciemniało. Wkrótce w dolinie miała zapaść noc.

– Jego grupę napadnięto w jednym z tuneli – powiedział Ethan.

Łzy wciąż nie płynęły.

Kate tylko miarowo oddychała.

– Chcę go zobaczyć – powiedziała.

– Oczywiście. Przez cały dzień zbieramy zmarłych, robimy wszystko, żeby przygotować ich na...

– Nie boję się zobaczyć jego zmasakrowanego ciała, Ethanie. Po prostu chcę go zobaczyć.

– Dobrze.

– Ilu ludzi straciliśmy?

– Nadal odnajdujemy zwłoki, więc na razie liczymy tylko tych, którzy przeżyli. Z czterystu sześćdziesięciu jeden mieszkańców miasteczka zostało stu ośmiu. Siedemdziesięciu pięciu wciąż jest zaginionych.

– Cieszę się, że dowiaduję się o tym właśnie od ciebie – powiedziała.

– Wszystkich, którzy przeżyli, przenoszą na kilka nocy do wnętrza góry.

– Zostaję tutaj.

– Tu nie jest bezpiecznie, Kate. W dolinie ciągle grasują abiki. Nie załatwiliśmy wszystkich. Nie ma prądu. Nie ma ogrzewania. Po zachodzie słońca zrobi się bardzo ciemno i zimno. Aberracje po naszej stronie ogrodzenia wrócą do miasta.

– Mam to gdzieś – rzuciła, patrząc mu w oczy.

– Chcesz, żebym trochę z tobą posiedział?

– Chcę zostać sama.

Ethan wstał, obolały na całym ciele, kompletnie wycieńczony.

– Na wszelki wypadek zostawiam ci strzelbę – powiedział, ale nie miał pewności, czy usłyszała.

Kate była myślami gdzieś daleko.

– Twoja rodzina jest bezpieczna? – spytała.

– Tak.

Skinęła głową.

– Wrócę rano. Zabiorę cię do Harolda – powiedział i ruszył do wyjścia.

– Hej – odezwała się nagle Kate.

Ethan odwrócił głowę.

– To nie twoja wina.

* * *

Tej nocy Ethan leżał u boku Theresy w ciepłym, ciemnym pokoju, głęboko we wnętrzu superstruktury.

W nogach łóżka, na polówce, spał Ben, cicho pochrapując.

Ethan wpatrywał się w półmrok, rozświetlany tylko słabym, niebieskim światłem nocnej lampki.

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów mógł spać w ciepłym, bezpiecznym pomieszczeniu, bez śledzącego go oka kamery. Sen był blisko, ale Ethan nie potrafił się mu poddać.

Theresa przełożyła rękę przez bok męża i położyła mu dłoń na brzuchu.

– Nie śpisz? – szepnęła.

Ethan przekręcił się twarzą do żony i w świetle lampki ujrzał błyski w jej oczach, wilgoć na twarzy.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyznała.

– Dobrze.

– Dopiero miesiąc temu pojawiłeś się znowu w naszym życiu.

– Tak.

– My mieszkaliśmy tu już wcześniej przez pięć lat. Nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy. Nie wiedzieliśmy, czy w ogóle żyjemy.

– Wiem już to wszystko.

– Próbuję ci powiedzieć, że... Zanim się pojawiłeś, ktoś już był.

– Ktoś – powtórzył Ethan, czując w piersiach ucisk zatykający dech.

– Myślałam, że umarłeś. Albo że ja nie żyję.

– Kto?

– Kiedy pojawiłam się w miasteczku, nie znałam tu żywej duszy. Ocknęłam się tak jak ty, Bena nie było i...

– Kto?

– Widziałaś, że jest tu Adam Hassler.

– Hassler?

– On uratował mi życie, Ethanie. Pomógł mi odnaleźć Bena.

– Mówisz serio?

Theresa płakała.

– Ponad rok mieszkałam z nim w tamtym domu przy Szóstej, aż do dnia, kiedy wysłali go za ogrodzenie.

– Żyłaś z Hasslerem?

– Sądziłam, że nie żyjesz. – Szloch uwiązał jej w gardle. – Wiesz, co to miasto potrafi zrobić z człowiekiem.

– Spaliście w jednym łóżku?

– Ethanie...

– Spaliście?

Przytaknęła.

Ethan odsunął się od żony, przekręcił się na plecy i utkwiał wzrok w suficie. Nie miał pojęcia, jak przyswoić tę wiadomość. Do głowy cisnęły mu się pytania, obrazy Hasslera i żony. Wrząca mieszanka dezorientacji, lęku i gniewu groziła eksplozją.

– Rozmawiaj ze mną – powiedziała Theresa. – Nie zamykaj się.

– Kochałaś go?

– Tak.

– Nadal go kochasz?

– Jestem zagubiona.

– To nie jest odpowiedź przecząca.

– Chcesz chronić własne uczucia, Ethanie, czy chcesz, żebym była szczerą?

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– Bo nie czułam się gotowa na taką rozmowę. Jesteś tu dopiero od miesiąca. Dopiero zaczynaliśmy znów się do siebie zbliżać.

– Nigdy się do mnie nie zbliżyłaś. Twój kochanek pojawił się znikąd i kazał ci postawić sprawę na ostrzu noża.

– To nieprawda, Ethanie. Przysięgam, że bym ci powiedziała. Zapewniano mnie, że Adam Hassler nie wróci. A tak przy okazji... Byłam z Hasslerem, kiedy sądziłam, że nie żyjesz. Ty pieprzyłeś Kate

Hawson, kiedy ja jak najbardziej żyłam. Kiedy byłam twoją żoną. Dlatego spróbujmy na to patrzeć z właściwej perspektywy, dobrze?

– Chcesz z nim być?

– Gdyby mnie nie znalazł, uciekałabym z miasteczka dopóty, dopóki by mnie nie zamordowali. Nie mam co do tego wątpliwości. Hassler mnie wspierał, opiekował się mną, kiedy nikt inny tego nie robił. Kiedy ciebie nie było.

Ethan znów przewrócił się na bok, twarzą do żony, zetknęli się nosami, czuł jej oddech na twarzy, emocje wezbrały w nim z taką siłą, że wątpił, czy zdoła je opanować.

– Chcesz z nim być? – spytał ponownie.

– Sama nie wiem.

– Nie wiesz? Czy to znaczy: może?

– Nikt nigdy nie kochał mnie tak jak ten człowiek – powiedziała. Ethan wstrzymał oddech. – Jeśli trudno ci tego słuchać, Ethanie, przykro mi, ale byłam całym jego światem i... – Pozwoliła, by słowa rozmyły się w pustce.

– Co?

– Nie powinnam mówić...

– Nie, dokończ myśl.

– Nigdy nie przeżyłam czegoś podobnego. Odkąd cię poznałam, kochałam cię całym sercem. Mogę być szczerą? Zawsze kochałam cię bardziej niż ty mnie.

– Nieprawda.

– Dobrze wiesz, że to prawda. Moja lojalność, oddanie dla ciebie były bezgraniczne. Jeśli nasze małżeństwo było liną, z tobą na jednym końcu i ze mną na drugim, zawsze ciągnęłam trochę mocniej. Czasem znacznie mocniej.

– To jest kara, prawda? Za Kate.

– Nie wszystko obraca się wokół ciebie. Tu chodzi o mnie i o człowieka, którego pokochałam pod twoją nieobecność. Teraz wrócił, a ja nie mam pieprzonego pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Czy choć na dwie sekundy możesz postawić się w moim położeniu?

Ethan usiadł na łóżku, odrzucił koce.

– Nie odchodź – poprosiła.

– Muszę zaczerpnąć powietrza.

– Nie powinnam była ci tego mówić.

– Nie, powinnaś była to powiedzieć pierwszego dnia.

Ethan, w skarpetkach, spodniach od piżamy i podkoszulku, wstał z łóżka i wyszedł z pokoju.

O drugiej czy trzeciej nad ranem Poziom 4 świecił pustkami, jarzeniówki szumiały cicho pod

sufitem.

Ethan szedł korytarzem. Za każdymi mijanymi drzwiami spali bezpieczni mieszkańcy Wayward Pines. Otuchy dodawała myśl, że przynajmniej niektórych udało się uratować.

W zamkniętej stołówce panował mrok.

Zatrzymawszy się przed przeszklonymi drzwiami, zajrzał do sali gimnastycznej. W słabym świetle ujrzał kosze do koszykówki i boisko zastawione łózkami polowymi. Ludzie z wnętrza góry oddali pokoje na Poziomie 4 na użytek uchodźców, a Ethan miał nadzieję, że ten gest dobrze wróży na niełatwo zapowiadającą się przyszłość.

Na poziomie 2 przesunął kartę przez czytnik i wszedł do pomieszczeń nadzoru.

Przed konsolą siedział Alan, wpatrzony w ekrany.

Na widok wchodzącego Ethana odwrócił się i stwierdził:

– Już późno, a ty wciąż na nogach.

Szeryf zajął miejsce obok blondyna.

– Coś nowego? – zapytał.

– Zablokowałem czujniki ruchu włączające kamery, więc teraz działają przez cały czas. Jestem pewien, że baterie wkrótce się wyczerpią. W mieście wytropiłem kilkadziesiąt aberracji. Rano pójdę z ludźmi, żeby je wykończyć.

– Co z ogrodzeniem?

– Pełna moc. Zielone światło na wszystkich poziomach. Naprawdę powinieneś się przespać.

– W najbliższej przyszłości nie przewiduję długich godzin smacznego snu.

– Mnie to mówisz. – Alan się zaśmiał.

– Tak przy okazji, dziękuję – dodał Ethan. – Gdybyś wczoraj mnie nie poparł...

– Uszanowałaś moją przyjaciółkę.

– Ludzie z miasteczka...

– Zachowaj to dla siebie, ale nazywamy ich mieszcuchami.

– Będą uważać mnie za autorytet – powiedział Ethan. – Coś mi mówi, że ludzie z góry będą słuchać ciebie.

– Na to wygląda. W przyszłości czekają nas trudne decyzje, do których można podejść właściwie albo niewłaściwie.

– Co masz na myśli?

– Pilcher kierował miasteczkiem w pewien sposób.

– Tak. Swoją własny.

– Nie bronię tego człowieka, ale w dramatycznych momentach, gdy waży się życie i śmierć, jedna czy dwie silne osoby muszą podjąć decyzję.

– Myślisz, że we wnętrzu góry są zagorzali zwolennicy Pilchera? – spytał Ethan.

– Kogo masz na myśli? Ludzi, którzy wierzą?

– Otóż to.

– Wszyscy w tej górze wierzą. Masz pojęcie, z czego musieliśmy zrezygnować, żeby tu trafić?

– Nie.

– Ze wszystkiego. Uwierzyliśmy człowiekowi, który twierdził, że stary świat umiera i mamy szansę stać się częścią nowego. Sprzedałem dom, spieniżyłem polisę na życie, porzuciłem rodzinę. Oddałem mu wszystko, co miałem.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Mogłeś to przeoczyć w ogólnym rozgardiaszu, ale wczoraj wrócił nomada.

– Tak, Adam Hassler.

– Czyli go znasz.

– Niezbyt dobrze. Jestem zdumiony, że zdołał wrócić.

– Chciałbym wiedzieć więcej na jego temat. Czy zanim wyruszył z misją, był mieszczuchem?

– Nie potrafię powiedzieć. Powinieneś pomówić z Francisem Levenem.

– Kto to taki?

– Steward superstruktury.

– Czyli...

– Nadzoruje dostawy, dba o spójność całego systemu, status ludzi w zawieszeniu i obudzonych. Jest chodzącą kopalnią wiedzy o całej organizacji. Szefowie wszystkich działów raportują Levenowi, a on raportuje, raczej raportował, Pilcherowi.

– Nigdy go nie spotkałem.

– To odludek. Prawie z nikim nie utrzymuje kontaktów.

– Gdzie go znajdę?

– Ma biuro w głębi arki.

Ethan wstał.

Środki przeciwbólowe przestawały działać.

Wyczerpanie wywołane wydarzeniami ostatnich czterdziestu ośmiu godzin runęło na niego jak rozpędzony pociąg towarowy. Gdy zmierzał w stronę drzwi, Alan rzucił:

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– W końcu znaleźliśmy Teda. Wepchniętego do szafy w swoim pokoju, zadźganego na śmierć. Pilcher wyciął jego chip i zniszczył.

Ethan spodziewał się, że po takim dniu jeszcze jedna główniana wiadomość spłynie po nim jak woda po kacze, ale mocno go poruszyła.

Wyszedł na korytarz i skierował się schodami w stronę sypialni na Poziomie 4, lecz nagle się zatrzymał.

Zawrócił i zszedł na parter.

Margaret, aberracja, której inteligencję Pilcher badał od kilku miesięcy, nie spała i chodziła po oświetlonej jarzeniówkami klatce.

Ethan zbliżył twarz do okienka i zajrzał. Na szybie powstała mgiełka od jego oddechu.

Ostatnim razem, gdy ją widział, siedziała spokojnie w kącie.

Potulna. Niemal ludzka.

Teraz wyglądała na pobudzoną. Nie złą ani złośliwą. Po prostu była zdenerwowana.

„Dlatego, że tylu twoich braci i sióstr weszło do doliny? – zastanawiał się Ethan. – Dlatego, że tak wielu z nich zabito, nawet na tych korytarzach?” Pilcher mówił mu, że abiki porozumiewają się za pomocą feromonów. Twierdził, że posługują się nimi jak słowami.

Margaret zauważyła Ethana.

Na czworakach podpełzła do drzwi, stanęła na tylnych łapach.

Oczy szeryfa i oczy aberracji po drugiej stronie szybki dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

Oglądane z bliska, oczy Margaret były niemal ładne.

Ethan poszedł dalej.

Minąwszy sześcioro drzwi, zajrzał przez okno do kolejnej klatki.

Bez łóżka, bez krzesła.

Gołe ściany, podłoga i David Pilcher w kącie, ze zwieszoną głową, jakby zasnął na siedząco. Wpadające przez okno światło wydobywało z mroku lewą stronę twarzy biologa.

Pilcherowi odebrano wszystkie przedmioty osobiste, włącznie z brzytwą, toteż jego podbródek zaczynała porastać siwa szczecina.

„To twoje dzieło – pomyślał Ethan. – Zniszczyłeś życie tylu ludzi. Moje życie. Moje małżeństwo”.

Gdyby Ethan miał kartę magnetyczną do drzwi tej celi, wpadłby do środka i pobił tego człowieka na śmierć.

* * *

Wszyscy – mieszcuchy i ludzie z góry – zeszli się, by pochować zmarłych.

Cmentarz nie mógł pomieścić ciał, więc zajęto też pole po południowej stronie ogrodzenia.

Niebo poszarzało.

Nikt się nie odzywał.

Na ludzi padały wirujące drobinki śniegu.

Słysząc było jedynie miarowy chrzęst łopat wbijanych w zimną, twardą ziemię.

Kiedy przygotowano wszystkie mogiły, ludzie padli na przyprószoną śniegiem trawę obok swoich bliskich, czy raczej ich doczesnych szczątków, owiniętych w niegdyś białe prześcieradła. Kopanie grobów pozwoliło skupić się na czymś innym, ale teraz, gdy siedzieli przy zmarłych ojcach, matkach, braciach, siostrach, mężach, żonach, przyjaciołach i dzieciach, dały się słyszeć tłumione szlochy.

Ethan stanął na środku pola.

Oto miał przed sobą rozdzierający serce kolaż obrazów i dźwięków: niewielkie kopczyki, ciała czekające na złożenie do grobów, rozpacz tych, którzy stracili wszystko, stojący za mieszczuchami ludzie z góry, skupieni i poważni, wreszcie słup dymu w północnej części miasta. Ze sterty ciał sześciuset aberracji wzbijały się w niebo mdlące spirale czerni.

Jeśli nie liczyć Davida Pilchera, człowieka odpowiedzialnego za całe to cierpienie, na polu znajdowali się wszyscy pozostali przy życiu ludzie na ziemi.

Także Adam Hassler, który stał na obrzeżach tłumu razem z Theresą i Benem.

Ethana uderzyła jedna przerażająca myśl: „Tracę swoją żonę”.

Powoli się odwrócił, powiódł wzrokiem po twarzach. Żal był wprost obezwładniający, niczym coś żywego.

– Nie wiem, co powiedzieć. Żadne słowa nie sprawią, że poczujemy się lepiej. Straciliśmy trzy czwarte ludzi i teraz przez długi czas będzie bardzo, ale to bardzo ciężko. Zróbmy co w naszej mocy, by pomagać sobie nawzajem, bo zostaliśmy sami na tym świecie.

Kiedy wszyscy zaczęli delikatnie składać ciała do grobów, Ethan ruszył w padającym śniegu w stronę Kate.

Pomógł jej pochować Harolda.

Potem wszyscy chwycili łopaty i zaczęli zasypywać mogiły.

THERESA

Szła z Hasslerem przez las na południe od miasteczka, między sosnami sypał śnieg. Adam zgolił brodę i obciął włosy, ale gładka skóra tylko podkreślała ściągniętą, wychudłą twarz. Sprawiał wrażenie człowieka wycieńczonego niczym uchodźca z terenów dotkniętych klęską głodu. Nie mogła się oswoić z surrealistycznym wrażeniem jego ponownej fizycznej bliskości. Zanim spisała go na straty, wyrobiła sobie nawyk wyobrażania sobie spotkania, ale żadna z tych fantazji nie umywała się do rzeczywistości.

– Dobrze sypiasz? – zapytała.

– Zabawne. Nie masz pojęcia, ile razy, śpiąc w dziczy, marzyłem o spaniu w łóżku. O poduszkach, kołdrach, ciepłe, bezpieczeństwie. Marzyłem, że sięgam w ciemności do nocnego stolika po szklanekę chłodnej wody. Ale od powrotu prawie nie zmrużyłem oka. Chyba przywykłem do spania w śpiworze przywiązany do drzewa dziesięć metrów nad ziemią. A jak jest z tobą?

– Trudno – odparła Theresa.

– Koszmary?

– Wciąż mi się śni, że sprawy potoczyły się inaczej. Że aberracje wdarły się do celu.

– Co z Benem?

– Radzi sobie. Czuję, że usiłuje poukładać sobie to, co się stało. Wielu jego szkolnych kolegów nie przeżyło.

– Widział rzeczy, których nie powinien oglądać żaden dzieciak.

– On ma już dwanaście lat. Wyobrażasz sobie?

– Jest bardzo podobny do ciebie, Thereso. Chciałem częściej się z nim widywać, rozmawiać, ale jakoś nie wydawało się to odpowiednie. Jeszcze nie.

– Chyba postąpiłeś najlepiej, jak mogłeś.

– Gdzie jest Ethan?

– Po pogrzebie zamierzał zamieszkać na pewien czas z Kate.

– Pewne sprawy nigdy się nie zmieniają, co?

– Ona straciła męża. Właściwie nikt jej nie pozostał. – Theresa westchnęła. – Powiedziałam Ethanowi.

– Powiedziałaś mu...

– O nas.

– Aha.

– Nie miałam wyboru. Nie mogłam tak po prostu nadal ukrywać przed nim prawdy.

– Jak to przyjął?

– Znasz Ethana. Jak myślisz?

– Ale rozumie, jaka była sytuacja, tak? Że ty i ja utknęliśmy w tej dziurze. Sądziliśmy, że on nie żyje.

– Wszystko mu wyjaśniłam.

– Ale on ci nie wierzy?

– Nie wiem, chodzi raczej o to, że Ethan próbuje się oswoić z myślą, no wiesz...

– Że pieprzyłem jego żonę.

Theresa się zatrzymała.

W lesie panowała całkowita cisza.

– To było piękne, prawda? – spytał Hassler. – Kiedy byliśmy tylko ty, ja i Ben. Uczyniłem cię szczęśliwą, tak?

– Bardzo.

– Nie masz pojęcia, co jestem gotów dla ciebie zrobić, Thereso.

Spojrzała mu w oczy.

Adam patrzył na nią z bezgraniczną miłością.

Powietrze naładowane energią. Theresa poczuła, że ta chwila jest donioślejsza, niż mogłaby się spodziewać. Niegdyś otworzyła serce przed tym człowiekiem, a jeśli pozwoli mu nadal patrzeć na nią takim wzrokiem, jakby tylko ona się liczyła w jego świecie...

Hassler podszedł do niej.

Pocałował ją.

Początkowo się cofnęła.

Potem mu pozwoliła.

W końcu odwzajemniła pocałunek.

Powoli zaprowadził ją pod sosnę, przywarł do niej całym ciałem. Theresa przeczesła palcami jego włosy.

Kiedy całował jej szyję, odchyliła głowę, spojrzała na spadające śnieżynki, które topiły się na jej twarzy. Po chwili Adam rozpiął jej kurtkę, szybko zabrał się do guzików bluzki, ona sięgnęła do jego koszuli.

Nagle zamarła.

– Co? – spytał bez tchu. – Co się stało?

– Wciąż jestem mężatką.

– Jego to nie powstrzymało.

Część jej istoty pragnęła, by Adam ją do tego namówił. Pragnęła, żeby napierał. Nie przestawał.

– Pamiętasz, jak się przez niego czułaś? Co mi kiedyś powiedziałaś? Twoja miłość do niego

zawsze płonąła goręcej.

– W minionym miesiącu widziałam, jak Ethan się zmienia. Dostrzegłam przebłąski...

– Przebłąski? Czy to właśnie czułaś z mojej strony? Przebłąski?

Potrząsnęła głową.

– Kocham cię całym sercem. Niczego nie zatrzymuję. Nie stawiam warunków. Idę na całość.

W każdej sekundzie każdego dnia.

W oddali ciszę lasu rozdarł wrzask.

Aberracja.

Wysoki, mrożący krew w żyłach krzyk.

Potykając się, Hassler odsunął się od Theresy, zmarszczył brwi.

– Czy to...

– Chyba nie po naszej stronie ogrodzenia – powiedział.

– Mimo wszystko chodźmy stąd – zaproponowała, zapięła bluzkę, zasunęła suwak kurtki.

Ruszyli z powrotem do miasta.

Theresa czuła, jak całe jej ciało płonie, w głowie jej wirowało.

Po dotarciu do szosy poszli po podwójnej ciągłej linii.

W oddali ukazały się zabudowania.

W milczeniu weszli do Wayward Pines.

Theresy nie opuszczał niepokój, mimo to nadal szła u boku Hasslera.

Na skrzyżowaniu Szóstej i Głównej Adam powiedział:

– Możemy pójść i zobaczyć go razem?

– Jasne.

Ruszyli chodnikiem swojej dzielnicy.

Nigdzie żywej duszy.

Domy ciemne i puste.

Wszystko szare, bez śladów życia.

– To miejsce nie pachnie już nami – stwierdził, gdy stanęli u stóp schodów żółtego domu, który kiedyś należał do nich.

Hassler wszedł do kuchni, przeszedł przez salon i wrócił do holu.

– To musi być dla ciebie strasznie trudne, Thereso – powiedział.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Stanął przed nią i uklęknął na jedno kolano.

– Tak to się chyba robi, prawda? – spytał.

– Co ty wyprawiasz, Adamie?

Wziął ją za rękę.

Nie pamiętała, by miał tak szorstkie dłonie, żylaste, twarde jak stal. Pamiątką po wyprawie za ogrodzenie był brud, który tak głęboko wgryzł się pod paznokcie, że nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek dało się go wymyć.

– Zostań ze mną, Thereso, cokolwiek to znaczy w tym nowym świecie, gdzie przyszło nam żyć.

Łzy kapały z jej podbródka na podłogę.

– Ja już mam... – Głos jej zadrżał.

– Wiem, że masz już męża. Wiem, że Ethan tu jest, ale głównie mnie to obchodzi. Ty też nie powinnaś o to dbać. Życie jest zbyt krótkie i trudne, by nie spędzić go z człowiekiem, którego się kocha. Dlatego wybierz mnie.

CZEŚĆ IX

ETHAN

Francis Leven mieszkał w wolno stojącej siedzibie w głębi arki, wbudowanej w nawis skalny. Karta magnetyczna nie zadziałała, więc Ethan załomotał pięścią w stalowe drzwi.

– Panie Leven!

Chwilę później zamek ustąpił.

Drzwi nieznacznie się uchyliły.

Mężczyzna na progu nie mógł mieć więcej niż półtora metra wzrostu, a ząb czasu i brud sprawiły, że jego szlafrok utracił dawną biel. Ethan oceniał jego wiek na czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat, ale Leven był tak zaniedbany, że te szacunki mogły być bardzo niedokładne. Jasne, długie do ramion włosy lśniły od tłuszczu, duże niebieskie oczy wpatrywały się w Ethana z podejrzliwością, niemal złośliwie.

– Czego chcesz? – spytał Leven.

– Muszę z tobą pomówić.

– Jestem zajęty. Innym razem.

Leven próbował zatrzaskać drzwi, ale Ethan pchnął je z całej siły i wdarł się do środka.

Na podłodze walały się papierki po batonikach. W pomieszczeniu panowała woń stęchlizny, przywodząca na myśl zapuszczoną norę szesnastolatka, tyle że tu przebijał się gryzący smród starej kawy.

Jedyne źródło światła stanowiły wbudowane w sufit lampy oraz olbrzymie monitory LED, pokrywające prawie całą powierzchnię ścian. Ethan spojrzał na najbliższy monitor, na którym widniał cyfrowy diagram kołowy. Na pierwszy rzut oka przedstawiał on rozkład ciśnienia atmosferycznego w superstrukturze.

Nie miał pojęcia, co ukazywały inne monitory.

Ethan patrzył na niepojęte zestawy danych.

Gradienty temperatur w skali Kelvina.

Cyfrowy obraz tysiąca modułów zawieszania funkcji życiowych.

Istotne dane statystyczne dotyczące dwustu pięćdziesięciu nadal żyjących ludzi.

Przekazy z dronów.

Pełny odczyt biometryczny aberracji płci żeńskiej trzymanej w niewoli.

To pomieszczenie było centrum monitoringu do entej potęgi.

– Chciałbym, żebyś stąd wyszedł – powiedział Leven. – Nikt mi tu nie przeszkadza.

– Pilcher jest skończony. Na wypadek, gdybyś nie był na bieżąco, teraz pracujesz dla mnie.

– To dyskusyjna sprawa.

– Co to za miejsce?

Leven groźnie spojrział na Burke'a przez grube okulary.

Uparcie. Wyzywająco.

– Nie zamierzam stąd wychodzić – uprzedził Ethan.

– Monitoruję systemy, które utrzymują superstrukturę i Wayward Pines przy życiu. Nazywamy to centrum dowodzenia.

– Jakie systemy?

– Wszystkie. Elektryczny. Kadłubowy. Filtrujący. Nadzoru. Zawieszania. Wentylacyjny. System reaktora pod nami, który zasila wszystko.

Ethan wszedł głębiej do ośrodka nerwowego całej struktury.

– Sam odpowiadasz za to wszystko?

– Mam podwładnych. – Leven pozwolił sobie na uśmiezek. – Wiesz, w razie gdybym wpadł pod autobus.

Ethan uśmiechnął się, wyczuwając zgryźliwe poczucie humoru.

– Słyszałem, że jesteś raczej samotnikiem – powiedział.

– Odpowiadam za silnik, który napędza naszą egzystencję. Pracuję codziennie, osiemnaście godzin na dobę. Do pogrzebów dziś rano od trzech lat nie widziałem nieba.

– To chyba średnio ciekawe życie.

– Cóż, takie wylosowałem. Tak się też składa, że je kocham.

Ethan podszedł do ciemnej niszy, gdzie na monitorach przesuwały się paski danych z szybkością informacji giełdowych.

– Co to takiego? – spytał Ethan.

– Piękne, prawda? Przeliczam tu pewne symulacje.

– To znaczy?

Leven podszedł i stanął obok szeryfa. Razem patrzyli na paski danych spływające po ekranach jak wodospad.

– Próbuję ocenić szanse tego, co zostało z naszego gatunku. Widzisz, już na długo zanim David się wściekł i rzucił swoich ludzi na pożarcie wilkom, sprawy wyglądały groźnie.

– W jakim sensie?

– Chodź ze mną.

Leven zaprowadził Ethana do głównej konsoli. Usiedli w olbrzymich skórzanych fotelach przed imponującym zestawem ekranów.

– Przed masakrą w dolinie we wnętrzu góry mieszkało sto sześćdziesiąt osób – powiedział Leven. – W Wayward Pines czterysta sześćdziesiąt jeden. Co prawda posiadamy dane tylko

z ostatnich czternastu lat, ale pierwszy zabójczy mróz zazwyczaj przychodzi w sierpniu. Jeszcze nie spędziłeś tu żadnej zimy, lecz zapewniam cię, że są długie i ostre. Warstwa śniegu w dolinie może mieć od trzech do pięciu metrów grubości. Nie ma ogrodów, z których dałoby się zbierać wtedy produkty rolne. Zero owoców, zero warzyw. Korzystamy wyłącznie z mrożonych posiłków, suplementów diety i przydziałów mięsa. Chcesz poznać mały, brudny sekret? Teraz, kiedy sam za wszystko odpowiadasz? David Pilcher nigdy nie planował, że zostaniemy w tej dolinie na czas nieokreślony.

– O czym ty mówisz?

– W swoich prognozach nie przewidział, jak bardzo wrogi i nienadający się do zamieszkania okaże się świat przyszłości.

Ethan poczuł, jak zalega w nim mrok.

– Ponownie dokonuję obliczeń, ale wygląda na to, że nasze zapasy na zimę wyczerpią się za niewiele ponad cztery lata – powiedział Leven. – Owszem, możemy poczynić pewne kroki w celu odsunięcia tego, co nieuniknione, na przykład zmniejszyć racje żywności. Ale tak można kupić najwyżej dodatkowy rok czy dwa.

– Nie chcę być gruboskórny, ale czy teraz nie mamy mniej gąb do wyżywienia?

– To prawda, ale abiki pożarły nasze bydło i drób. Nie możemy liczyć na mleko ani mięso. Odtworzenie stada zajęłoby wiele lat.

– Wobec tego musimy znaleźć sposób magazynowania zapasów na zimę.

– Aktualny system nie pozwala na produkowanie takich ilości pożywienia, by starczyło dla nas i na przyszłość.

– Chcesz powiedzieć, że zjadamy to, co wytwarzamy?

– Owszem. I to prawie od razu. Po prostu znajdujemy się za daleko na północy. Dwa tysiące lat temu ten klimat pozwoliłby nam przetrwać, ale pora roku nadająca się do uprawy ziemi stała się krótsza i chłodniejsza. Ostatnie lata należały do najzimniejszych. Coś ci pokażę.

Za pomocą ekranu dotykowego Leven wprowadził nowy kod.

Ethan spojrzął w górę na monitor, gdzie zaczęła się przesuwać lista danych.

Ryż: 17%

Mąka: 6%

Cukier: 11%

Zboże: 3%

Sól jodowana: 32%

Kukurydza: 0%

Witamina C: 55%

Soja: 0%

Mleko w proszku: 0%

Słód: 4%

Jęczmień: 3%

Drożdże: 1%

Lista ciągnęła się dalej.

– To są rezerwy podstawowych produktów? – spytał Ethan.

– Tak. Jak widzisz, osiągnęły poziom krytyczny.

– Co zamierzał Pilcher?

– Przy pełnej liczbie mieszkańców mielibyśmy dość rąk do pracy, aby rozbudować ogrody na tyle szybko, by wyjść naprzeciw potrzebom. Planowaliśmy też sieć cieplarni, ale problemem są opady śniegu. Nadmierne obciążenie szklanych dachów spowodowałoby ich zawalenie. Jak już mówiłem, jesteśmy za daleko na północy.

– Czy ludzie we wnętrzu góry pojmują, co się święci?

– Nie. David nie chciał nikogo straszyć, póki nie znajdziemy rozwiązania.

– Ale nie znaleźliście.

– Nie ma rozwiązania – odparł Leven. – Symulacje na pięć lat naprzód potwierdzają, że ta dolina przestanie się nadawać do zamieszkania. W razie wyjątkowo ostrej zimy może nawet wcześniej. Wszyscy pochodzimy z nowoczesnych czasów. W łagodniejszym klimacie, gdyby przyszło co do czego, moglibyśmy się przestawić na rolniczy tryb życia. Ale przy tej pogodzie? Moglibyśmy przetrwać, jedynie prowadząc koczowniczy, zbieracko-łowiecki tryb życia.

– Ale jesteśmy uwięzieni w tej dolinie.

– Właśnie.

– A co z aberracjami? – spytał Ethan.

– Jako źródłem pożywienia?

– Tak.

– Po pierwsze, ohyda. Po drugie, zrobiliśmy symulacje, z których wynika, że zapuszczanie się poza ogrodzenie, żeby je zabijać, wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem. Gdybyśmy robili to regularnie, stracilibyśmy za dużo ludzi. Posłuchaj, rozumiem, że dopiero teraz dowiadujesz się o tym wszystkim, ale ja zmagam się z problemem od trzech lat. Już wcześniej nie było rozwiązania. Teraz tym bardziej.

– Wiedziałeś, co planuje David?

– Masz na myśli wyłączenie prądu w ogrodzeniu?

– Tak.

– Nie wiedziałem. Tej nocy, kiedy to się wydarzyło, siedziałem tutaj. Dzwoniłem do niego, ale nie

odpowiadał. Zrobił to ze swojego gabinetu, a mnie wyłączył z systemu.

– Czyli nie konsultował tego z tobą wcześniej?

– W ostatnich latach między Davidem a mną nie układało się najlepiej.

– Dlaczego?

Leven odsunął fotel od konsoli i przejechał na nim po podłodze.

– David Pilcher, którego znasz, nie był tym samym człowiekiem, który podkupił mnie z Lockheed Martin. Koniec Wayward Pines zbliżał się od dawna, ale David nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Według mnie to przejaw arogancji, niemożność przyznania się, że nie przewidział potencjalnego kryzysu i nas przed nim nie uchronił. Ostatnio zamknął się w sobie, stał się chaotyczny, emocjonalny. Zabił własną córkę. To było pierwsze poważne pęknięcie. Potem, kiedy przejąłeś kontrolę i wyjawiałeś mieszkańcom prawdę, chyba nie mógł już tego znieść. Stwierdził: „pieprzyć to” i wybrał samozagładę.

– Chcesz powiedzieć, że wszystko skończone. Zagłodzimy się na śmierć.

– O ile abiki nie dopadną nas wcześniej – odrzekł Leven z uśmiechem.

Ethan wstał, spojrzał na listę przetrzebionych zapasów, przywodzącą na myśl pismo proroka zagłady.

– Masz dostęp do wszystkich baz danych w superstrukturze?

– Owszem.

– Słyszałeś, że niedawno powrócił nomada? Adam Hassler.

– Coś mi się obilo o uszy.

– Masz tu dostęp do jego danych?

Leven przekrzywił głowę i wycedził:

– Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa.

– Chcę, żebyś wyciągnął jego dane.

– Dlaczego?

– Przed Wayward Pines Hassler i ja pracowaliśmy razem. Był moim przełożonym w tajnych służbach, to on mnie tu przysłał. Zanim parę dni temu nie ujrzałem go na ulicy, nie miałem pojęcia, że tu jest. Odkryłem, że zanim Pilcher mnie obudził, Hassler już tu mieszkał, co raczej nie jest zbiegiem okoliczności. Coś tu nie pasuje.

Leven wrócił z fotelem do konsoli i zaczął stukać po ekranach dotykowych.

– Co dokładnie chciałbyś wiedzieć? – spytał.

Na monitorze pojawiła się blada twarz Hasslera z zamkniętymi oczami, zdjęcie po odwieszeniu.

– W jaki sposób tutaj trafił?

– Cóż... – Leven przestał stukać i okręcił się na fotelu. – Raczej nie mam dostępu do takich

szczegółów. Będziesz musiał się zwrócić do samego Pilchera.

* * *

Ethan wszedł do klatki, gdzie David Pilcher właśnie jadł kolację – jakieś zamrożone na kość ohydztwo z zapasów na zimę. Z zaczątkami siwego zarostu biolog wyglądał jeszcze starzej, a siadając naprzeciwko niego w ciasnej celi, Ethan zastanawiał się, ile wściekłości kipi pod maską pozornego spokoju Pilchera. Sam nie narzekał na brak gniewu. Nie mógł usunąć z pamięci widoku rodzin pogrążonych w żałobie, chrzestu łopat wbijających się w ziemię. Cały ten bezmiar cierpienia był dziełem tego jednego człowieka.

– To nie pachnie jak dzieło Tima – stwierdził Ethan.

Pilcher podniósł wzrok.

Twarde, gniewne, wyzywające spojrzenie.

– Czuję się, jakbym miał na talerzu gówno szatana. Musisz czerpać z tego wielką frajdę.

– Niby z czego?

– Z oglądania mnie w takim stanie. Zamkniętego w klatce zbudowanej dla potwora.

– Uważam, że znakomicie spełnia swoje zadanie.

– Sądziłem, że o mnie zapomniałeś, Ethanie.

– Nie, ale byłem zajęty sprzątaniami bałaganu po tobie.

– Bałaganu po mnie? – Pilcher się zaśmiał.

– Adam Hassler.

– Co w związku z nim?

– Słyszałem, że zanim mnie zbudzono, Adam mieszkał z moją żoną i synem.

– Przypominam sobie, że byli całkiem szczęśliwi – odrzekł Pilcher.

– Jak to się stało, że został mieszkańcem Wayward Pines?

W oczach biologa błysnęło ożywienie.

– Czy to teraz istotne? – spytał.

– Nie pogrywaj ze mną, kurwa, bo pożałujesz.

Pilcher odstawił talerz.

– Mówiono mi, że po moim zaginięciu Hassler przyjechał tu, żeby mnie szukać – powiedział Ethan. – I że go uprowadziłeś. Potem ocknął się tu tak samo jak ja. Tak samo jak wszyscy mieszkańcy.

– Hmm. Zajmujące. Tak na marginesie, kto poradził ci tu przyjść i wypytywać mnie o te sprawy? Francis Leven?

– Zgadza się.

– Czyżby Francis zdradził ci też szokujące wieści dotyczące naszej przyszłości? Mówiąc „naszej”,

mam oczywiście na myśli ludzkość.

– Opowiedz mi o Hasslerze.

– Za kilka lat staniemy w obliczu śmierci głodowej. Naprawdę uważasz, że sprostasz temu wyzwaniu, Ethanie? Jesteś gotów przyjąć na barki to brzemie? Co właściwie zamierzasz? Poddać sprawę pod głosowanie? Posłuchaj, dałem plamę. Rozumiem to. Ale ty mnie potrzebujesz. Wszyscy mnie potrzebujecie.

Ethan z wysiłkiem wstał i ruszył do drzwi.

– Dobrze, dobrze – powstrzymał go Pilcher. – Początkowo to była standardowa łapówka.

– Co to jest standardowa łapówka?

– Pieniądze. Za milczenie Adama w sprawie ciebie, Kate Hewson i Billa Evansa. Miał umorzyć dochodzenie w sprawie waszego zaginięcia. Tylko że potem coś się zmieniło. Hassler stwierdził, że chce dołączyć do mojej ekipy. Postanowił, że chce wyruszyć z nami w podróż.

Ethan walnął w drzwi.

Krew z knykci poplamiła stal.

Uderzył ponownie.

– Tak między nami – zauważył Pilcher. – Zawsze sądziłem, że Hassler to arogancki fiut. Dałem mu jeden dobry rok w Wayward Pines, a potem posłałem go na samobójczą misję za ogrodzenie. Nigdy nie wrócił.

Ethan zawołał strażnika.

– Potrzebujesz mnie – powtórzył Pilcher. – Wiesz, że tak jest. Jeśli czegoś się nie zrobi, umrzemy w ciągu...

– To już nie jest twój problem.

– Słucham?

Strażnik otworzył celę.

– Jak ci smakowała kolacja? – spytał Ethan.

– Co?

– Kolacja. Dobra była?

– Paskudna.

– Przykro mi, tym bardziej że to twoja ostatnia.

– Co to znaczy?

– Pamiętasz, jak spytałeś, co się z tobą stanie, a ja odparłem, że decyzję podejmą ludzie? Cóż, właśnie zdecydowali. Kilka godzin temu, zaraz po pochowaniu wszystkich, których wymordowałeś, przeprowadziliśmy głosowanie. To się wydarzy dzisiejszej nocy. – Szeryf wyszedł na korytarz, ścigany przez głos Pilchera wołającego jego imię.

Późne popołudnie.

Słońce skryło się już za górami.

Niebo zaciągnęło się jednolitą warstwą chmur, grożących śniegiem.

W miasteczku jeszcze nie włączono prądu, ale garstka ludzi wróciła do domów, by zacząć sprzątać i na nowo składać fragmenty życia, którego już nigdy nie dało się naprawić.

W oddali wciąż płonęły ciała martwych aberracji.

Ethan nie miał pewności, co było tego przyczyną – może późna pora, ciemniejące chmury, szara obojętność piętrzących się skał – ale Wayward Pines, chyba pierwszy raz, odkąd tu przybył, sprawiało wrażenie ostatniego miasta na ziemi. Czym w istocie było.

Zaparkował samochód przy krawężniku, naprzeciw swego domu.

Jego jaskrawa żółć i białe zdobienia wydały mu się dysonansem w kontekście minionych kilku dni.

Nie zamieszkiwali już świata, gdzie życie mogło być barwne i można je było celebrować. Życie stało się czymś, czego człowiek chwycił się kurczowo, zaciskając mocno zęby jak na kawałku gumy podczas elektrowstrząsów.

Ethan pchnął barkiem drzwi jeepa i wysiadł.

W dzielnicy panowała cisza.

Nie czuło się tu radości, lecz napięcie.

Nie było widać zwłok, ale na pobliskim chodniku czerwieniła się spora plama krwi. Zmyć mógł ją tylko obfity, całodzienny deszcz.

Wszedł na chodnik.

Jego dom, przynajmniej oglądany od frontu, sprawiał wrażenie nienaruszonego.

Nie wybito okien.

Nie wyważono drzwi.

Przeszedł po kamiennych płytach i wstąpił na werandę. Deski zaskrzypiały.

Pociągnął siatkowane drzwi, po czym pchnął wewnętrzne, z solidnego drewna.

W środku panował mrok i chłód. Obok wygaszonego pieca na bujanym fotelu siedział Adam Hassler. Wyglądał jak zniszczona wersja człowieka, którego pamiętał Ethan.

– Co, do diabła, robisz w moim domu? – Głos Ethana zabrzmiał jak niski warkot.

Hassler odwrócił głowę w jego stronę. Głód uwydatnił kości policzkowe i oczodoły.

– Wierz mi, twój widok zdziwił mnie w nie mniejszym stopniu.

Nagle runęli na podłogę, Ethan próbował ścisnąć Adama za szyję i wydusić z niego pierdolone życie. Zakładał, że z powodu wycieńczenia Hassler okaże się łatwym przeciwnikiem, ale on stawiał

opór jak napięta sprężyna.

Hassler wykonał obrót i przewrócił Ethana na plecy.

Ethan zamachnął się, ale jego pięść zsunęła się z barku Adama.

Hassler odpowiedział silnym, obezwładniającym ciosem.

Świat Burke'a eksplodował.

W ustach poczuł krew, spływała mu po twarzy, nos piekł.

– Nigdy nie doceniałeś tego, co masz – powiedział Hassler, wyprowadził kolejny cios, ale Ethan złapał go za łokieć i szarpnął gwałtownie, naciągając więzadła stawowe.

Adam krzyknął z bólu.

Ethan pchnął przeciwnika na przewrócony fotel, potem wstał, rozglądając się za czymś twardym i ciężkim.

Hassler zerwał się na równe nogi i przyjął pozycję bokerską.

W salonie było zbyt ciemno, by Ethan mógł dostrzec zbliżające się ciosy.

Adam uderzył go, potem poprawił mocnym prawym sierpowym, który znokautowałby Ethana, gdyby nie osłabienie rywala.

Sierpowy odrzucił głowę Burke'a w bok, szeryf okręcił się o dziewięćdziesiąt stopni, a wtedy Hassler zadał morderczy cios w nerki.

Ethan krzyknął i zatoczył się do sieni. Hassler, spokojny i opanowany, podążył za nim.

– To nierówna walka – stwierdził Adam. – Jestem po prostu lepszy od ciebie. Zawsze byłem.

Palce Ethana oplótły się wokół żelaznego wieszaka na ubrania.

– Nawet twoją żonę kochałem lepiej niż ty – dodał Hassler.

Ethan zrobił zamach ciężką podstawą wieszaka.

Hassler się uchylił.

Wieszak wybił dziurę w gipsowej ścianie.

Adam zaatakował, ale Ethan trafił go łokciem w szczękę, aż pod tamtym ugięły się kolana. Wtedy Burke zadał pierwszy celny cios w twarz byłego szefa, kość policzkowa ustąpiła z chrzęstem, co sprawiło Ethanowi taką rozkosz, że uderzył ponownie. I jeszcze raz. I znowu. Im bardziej Hassler opadał z sił, tym Ethan czuł się mocniejszy, z każdym ciosem rosło w nim pragnienie zadawania bólu. Tłumiony lęk uzewnętrzniał się w postaci niepoahamowanej przemocy.

Lęk przed tym, co ten człowiek mógł uczynić.

Lęk przed tym, co mógł mu odebrać.

Lęk przed utratą Theresy.

Ethan puścił szyję Hasslera, a ten zaczął głośno jęczeć.

Mocno ściskając metalowy wieszak, uniósł ciężką podstawę nad głową Adama.

„Zabiję go”.

Hassler podniósł wzrok. Jego twarz wyglądała jak siekany kotlet, opuchlizna zamknęła jedno oko, w drugim rodziło się zrozumienie tego, co miało nadejść.

– Zrób to – powiedział.

– Posłałeś mnie tu na śmierć – rzucił Ethan. – Zrobiłeś to dla pieniędzy? Czy po to, żeby zabrać mi żonę?

– Ona zasługuje na znacznie więcej, niż możesz jej dać.

– Theresa wiedziała, że ukartowałeś to wszystko, żeby móc z nią być?

– Powiedziałem jej, że przyjechałem tu szukać ciebie i miałem wypadek samochodowy. Ona była ze mną szczęśliwa, Ethanie. Naprawdę szczęśliwa.

Ethan stał nad nim dłuższą chwilę, był o włos od zmiżdżenia mu czaszki.

Chciał to zrobić.

Jednocześnie nie chciał być człowiekiem, który tego dokona.

Cisnął wieszak w głąb salonu, potem osunął się na podłogę obok Hasslera, czując w nerce pulsujący ból.

– Jesteśmy tu z twojego powodu – wykrztusił Ethan. – Moja żona, syn...

– Jesteśmy tu dlatego, że dwa tysiące lat temu przeleciałeś Kate Hewson i zniszczyłeś życie swojej żony. Gdyby Kate nie przeniosła się do Boise, nigdy nie trafiłaby do Wayward Pines. Pilcher nigdy nie uprowadziłby jej i Billa Evansa.

– A ty nigdy byś mnie nie sprzedał.

– Ustalmy, że już byś nie żył, gdybym nie...

– Nieprawda, nadal żylibyśmy w Seattle.

– To, co łączyło cię z Therese, nazywasz życiem? Przecież ona była nieszczęśliwa. Byłeś zakochany w innej kobiecie. Chcesz tu siedzieć i mówić mi, że postąpiłem niewłaściwie?

– Naprawdę to powiedziałeś?

– Nie ma już dobra i zła. Jest tylko przetrwanie. Dotarło to do mnie, gdy przez trzy i pół roku wędrowałem za ogrodzeniem. Dlatego nie wypatruj na mojej twarzy śladów żalu.

– Czyli teraz zabijaj albo giń? Na tym polegają reguły gry?

– Zawsze tak było.

– To czemu mnie nie zabiłeś?

Hassler odłonił w uśmiechu zakrwawione zęby.

– Zeszłej nocy, kiedy szedłeś z domu Kate do superstruktury, byłem w lesie. Było ciemno, tylko ty i ja. Miałem swój nóż myśliwski, ten sam, którym zabijałem aberracje w walce wręcz, o jakiej ci się nie śniło. Nie masz pojęcia, jak blisko ciebie stałem.

Ethan poczuł mrowienie kręgosłupa.

– Co cię powstrzymało?

Hassler otarł krew z oczu.

– Sporo o tym myślałem. Nie zabiłem cię chyba dlatego, że nie jestem aż takim twardzielem, jakim bym chciał. Widzisz, intelektualnie rozumiem, że nie ma dobra i zła, ale nie czuję tego w sercu.

Moje uwarunkowania z XXI wieku sięgają zbyt głęboko. Przeszkadza mi sumienie.

W gęstniejącym mroku salonu Ethan wpatrywał się w swego byłego szefa.

– To właściwie na czym teraz stoimy? – spytał.

– Spędziłem tu najlepsze chwile mojego życia. Z Theresą. Z twoim synem.

Jęcząc, Hassler dźwignął się z podłogi i oparł o ścianę.

Nawet w słabym świetle Ethan widział, że szczeka Adama zaczyna puchnąć. Słowa stawały się niewyraźne, zniekształcone.

– Odejdę – mówił Hassler. – Na zawsze. Pod jednym warunkiem.

– Uważasz, że możesz dyktować warunki?

– Theresa nigdy się nie dowie, co naprawdę zaszło.

– Postąpiłbyś tak tylko po to, by nadal cię kochała.

– Ona wybrała cię, Ethanie.

– Co takiego?

– Wybrała cię.

Ethan poczuł obezwładniającą ulgę.

Gardło ścisnęło mu wzruszenie.

– Teraz, gdy jest po wszystkim, nie chcę, żeby się dowiedziała – ciągnął Hassler. – Uszanuj to życzenie, a sprawię, że niemożliwe stanie się możliwe.

– Istnieje inne rozwiązanie – stwierdził Ethan.

– Mianowicie?

– Mógłbym cię zabić.

– Starczy ci jaj, stary druhu? Jeśli tak, hulaj dusza, piekła nie ma.

Ethan spojrzał na zimny piec. Utkwił wzrok w wieczornym świetle wpadającym przez okna. Zastanawiał się, jakim cudem miałyby znowu poczuć się tu jak w domu.

– Nie jestem mordercą – powiedział w końcu.

– Widzisz? Obaj jesteśmy za słabi na ten nowy świat.

– Przebywałeś za ogrodzeniem trzy i pół roku? – spytał Ethan, wstając z podłogi.

– Zgadza się.

– Czyli pewnie wiesz więcej o tym nowym świecie niż ktokolwiek z nas.

– Pewnie tak.

– A gdybym ci powiedział, że nie możemy dłużej zostać w Wayward Pines? Że musimy opuścić tę dolinę i przenieść się w cieplejsze strony, gdzie można hodować zboże? Sądzisz, że mielibyśmy szansę?

– Przetrwac jako grupa za ogrodzeniem?

– Tak.

– To brzmi jak zbiorowe samobójstwo. Ale jeśli faktycznie nie mamy innego wyjścia? Jeśli mamy do wyboru zostać w dolinie i zginąć albo zaryzykować i ruszyć na południe? Chyba trzeba spróbować.

* * *

W drodze do stołówki Ethan ponownie zatrzymał się przed klatką aberracji. Samica spała w kącie, zwinięta w kłębek, chudsza i bardziej wymizerowana niż ostatnio, gdy ją widział.

Minął go jeden z laborantów zatrudnionych przy abikach. Szedł w stronę schodów.

– Hej! – zawołał za nim Ethan. Człowiek w białym fartuchu zatrzymał się i odwrócił do szeryfa. – Ona jest chora czy coś takiego?

Młody naukowiec uśmiechnął się oblesnie.

– Umiera z głodu.

– Głodzicie ją?

– Nie, odmawia przyjmowania jedzenia i wody.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Laborant wzruszył ramionami. – Może dlatego, że sfajczyliśmy wszystkich jej kuzynów?

Mężczyzna zachichotał pod nosem i poszedł dalej korytarzem.

* * *

Ethan znalazł Theresę i Bena przy narożnym stoliku w zatłoczonej stołówce. Na widok jego posiniaczonej twarzy żona otworzyła szeroko oczy opuchnięte od łez.

– Co się stało? – spytała.

– Płakałaś?

– Później porozmawiamy.

Kolacja składała się z zestawów mrożonego ohydztwa.

Lazania dla Ethana.

Boeuf Stroganow dla Bena.

Bakłazan z parmezanem dla Theresy.

Ethan nie mógł przestać myśleć o tym, ile kosztuje ich ten posiłek.

O jedną kolację bliżej nicości.

Nikt nie miał pojęcia, jak szybko wyczerpywały się zapasy. Ludzie przyjmowali za pewnik, że mogą sobie wejść do stołówki, ogrodów miejskich czy sklepu spożywczego i znaleźć jedzenie.

Co się stanie z ogólną uprzejmością, kiedy skończy się pożywienie?

– Ben, chcesz porozmawiać o tym, co ma się wydarzyć dziś w nocy? – spytał Ethan.

– Raczej nie.

– Nie musisz tam iść, jeśli nie chcesz, kochanie – dodała Theresa.

– Chcę to zobaczyć. To jego kara za to, co zrobił, prawda?

– Tak – potwierdził Ethan. – Widzisz, musimy to zrobić, ponieważ nie ma już sądów. Nie ma sędziów ani ławników. Sami musimy o siebie zadbać, a ten człowiek skrzywdził mnóstwo osób. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Po kolacji Ethan odesłał Bena do ich pokoju, po czym poprosił Theresę, żeby się z nim przeszła.

– Hassler i ja wyjaśniliśmy sobie pewne sprawy – oznajmił, gdy wchodzili po schodach.

– Jezu, Ethanie, jesteście nastolatkami?

Minąwszy wejścia do trzech pomieszczeń po prawej stronie korytarza na Poziomie 4, Ethan przesunął kartę magnetyczną przez czytnik i pociągnął ciężkie stalowe drzwi.

Oboje weszli na niewielką platformę.

– Złap za poręcz – powiedział Ethan i wcisnął guzik ze strzałką w górę.

Platforma pomknęła w wydrążonym w skale szybie z prędkością windy ekspresowej.

Sto trzydzieści metrów prosto w górę.

W końcu się zatrzymali, wysiedli na krótki chodnik, który doprowadził ich do następnych stalowych drzwi. Ethan znów otworzył je za pomocą karty i wyszedł z Theresą na mróz.

– Co to za miejsce? – spytała.

– Odkryłem je kilka nocy temu, kiedy nie mogłem spać.

Wiatr zdążył rozpędzić chmury.

Nad ich głowami rozpościerało się rozgwieżdżone niebo.

Ethan i Theresa stali na ścieżce wykutej w skale na głębokość metra. Po obu stronach zbocza opadały w pustkę.

– Ludzie przychodzą tu chyba zapalić i zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedział. – To najszybszy sposób, by ujrzeć światło dzienne bez potrzeby jechania tunelem do miasta. Nazywają ten chodnik dachem do opalania.

– Jak daleko się ciągnie?

– Na wskroś tych wysokich szczytów. Podobno można nim dojść aż do lasu na zachód od skalnego

kotła.

Oboje ruszyli po ostrej grani.

– Po bijatyce Adam i ja porozmawialiśmy – powiedział Ethan.

– Niezbyt normalne zachowanie dwóch dorosłych mężczyzn.

– Adam powiedział, że wybrałaś mnie.

Theresa zatrzymała się i zwróciła twarzą do męża.

Ethan czuł na policzkach szczypanie mrozu.

– Stałam przed dość prostym wyborem, Ethanie. Kochać czy być kochaną.

– O czym ty gadasz?

– Adam zrobiłby dla mnie wszystko...

– Ja też...

– Może jednak posłuchasz? Powiedziałam ci, że nikt nigdy nie kochał mnie tak jak Adam, i mówiłam prawdę. Jednocześnie nigdy nie kochałam nikogo tak jak ciebie. Czasem nienawidziłam się za to, bo czułam się słaba. Czasami pragnęłam zamknąć przed tobą serce i odejść, ale nie potrafiłam. Nawet po Kate. Zupełnie jakbyś mnie uwięził. To coś cennego, Ethanie, więc lepiej o to dbaj. Już raz mnie zraniłeś. Bardzo.

– Wiem, że w przeszłości spieprzyłem sprawę. Wiem, że nie traktowałem cię tak, jak na to zasługujesz...

– Ethanie...

– Nie, teraz moja kolej. Kurczę, schrzaniłem wszystko. Przez swoją pracę. Przez Kate. Przez to, że nie radziłem sobie z historiami z wojny. Ale ja się staram, Thereso. Odkąd ocknąłem się w tym miasteczku, staram się. Próbuję chronić ciebie i Bena. Próbuję cię kochać najlepiej, jak potrafię. Próbuję dokonywać właściwych wyborów.

– Wiem, że się starasz. Widzę to. Widzę, czym moglibyśmy być. Niczego więcej nie pragnę. Nigdy niczego więcej nie pragnęłam. – Pocałowała go. – Musisz mi coś obiecać, Ethanie.

– Co takiego?

– Że będziesz łagodny wobec Adama. Teraz musimy wszyscy żyć w tej dolinie.

Ethan spojrzał Theresie w oczy, walcząc z pragnieniem, by wyznać jej wszystko, co uczynił ten człowiek.

– Postaram się – rzekł w końcu. – Dla ciebie.

– Dziękuję.

Poszli dalej.

– Co się stało, kochany? – spytała.

– Hm, wszystko?

– Nie, jest coś jeszcze. Coś nowego. Dziwnie się zachowywałeś przy kolacji.

Ethan spojrział w głąb kanionu, leżącego kilometr pod nimi. Zaledwie miesiąc temu po raz pierwszy zetknął się tam z aberracjami i choć stoczył z nimi morderczą walkę, wtedy przynajmniej miał nadzieję. Wciąż wierzył, że gdzieś tam, daleko, jest świat. Wierzył, że jeśli tylko zdoła uciec z tego miasta, z dala od tych gór, w Seattle będzie na niego czekała rodzina i jego dawne życie.

– Ethanie?

– Mamy kłopoty – wyznał.

– Zdaję sobie sprawę.

– Nie, chcę powiedzieć, że nie przetrwamy. Jako gatunek.

Niebo przeciął meteor.

– Ethanie, jestem tu znacznie dłużej niż ty. Czasami brak mi nadziei, teraz bardziej niż kiedykolwiek, ale w Wayward Pines mamy wszystko, czego nam trzeba.

– Zapasy jedzenia są na wyczerpaniu – wyjaśnił. – To żarcie, które dostaliśmy dziś na kolację? Te mrożone posiłki? Nie starczy ich na wieczność, a kiedy się skończą, nie zdołamy wyprodukować w tej dolinie dość żywności, by przetrwać długie, ostre zimy. Gdybyśmy znajdowali się dalej na południe, może by się udało, lecz utknęliśmy w tej dolinie. Przykro mi to mówić, ale niczego nie chcę przed tobą ukrywać. Dość sekretów. Chcę cię mieć w swojej drużynie, bo nie wiem, co robić.

– Ile czasu nam zostało? – spytała Theresa.

– Cztery lata.

– A co potem?

– Potem umrzemy.

HASSLER

Po przekroczeniu rzeki po wschodniej stronie miasta na zeszywniałych nogach wyszedł na brzeg. Na czworakach zaczął się gramolić wśród sosen porastających strome zbocze.

W górę.

W górę.

W górę.

Trzydzieści metrów ponad miastem teren się wyrównał, ale Hassler się nie zatrzymywał, piął się coraz wyżej.

Bez lęku.

Bez troski.

Sam nie wierzył, że wchodzi na zbocze samobójców. W ciągu roku, który spędził z Theresą, dwie osoby wdrapały się na tę skałę i skoczyły w przepaść. Amatorzy samozagłady mogli też znaleźć inne miejsca w górach wokół Wayward Pines, ale ta konkretna przepaść oferowała największą stromiznę. Tutaj człowiek nie musiał się obawiać, że spieprzy skok i niechcący odbije się od skalnej półki. Jeśli tylko zdołał się wspiąć na szczyt, mógł liczyć na niezakłócony lot w zapomnienie.

Hassler wyszedł na długą półkę, położoną prawie dwieście metrów nad doliną.

Padł na zimny granit, czując pulsowanie w szczęce. Pewnie złamana.

Pod nim, pograżone w ciemnościach nocy, leżało miasteczko. Światło gwiazd wydobywało z mroku ulice.

Nogawki zeszywniały na mrozie.

W przenikliwym chłodzie Hassler rozmyślał o swoim życiu. W końcu z trudem się podniósł. Doszedł do kojącej konkluzji: ze wszystkich trzydziestu ośmiu lat przeżył jeden magiczny rok. W domu w kolorze kanarkowym mieszkał z miłością swego życia i każdego dnia, budząc się u boku Theresy, doceniał to, co ma.

Z całego serca pragnął spędzić z nią więcej czasu, ale to, że było go przynajmniej tyle...

Wystarczy.

Jest się czego trzymać.

Po chwili odszukał wzrokiem ich dom w ciemnej dolinie.

Zobaczył nie ten obecny, nieoświetlony i pusty, ale tamten z letnich wieczorów, skąpany w łagodnym świetle, gdy wchodził na werandę ku wszystkiemu, co kochał.

Podszedł do skalnej krawędzi.

Nie bał się.

Nie bał się śmierci ani bólu. Podczas misji za ogrodzeniem przeżył tak wiele momentów, które

wydawały się ostatnimi w jego życiu, że starczyłoby ich na kilka żywotów, a śmierć była czymś, na co już dawno zdążył się przygotować. Przynajmniej niosła ze sobą obietnicę ukojenia.

Ugiął nogi w kolanach, szykując się do skoku.

Nagły dźwięk podrzucił nim jak wstrząs elektryczny.

Odwrócił się, niewiele widział w ciemności, ale pojął, że ktoś płacze.

– Halo? – odezwał się.

Płacz ucichł.

– Kto tam jest? – spytał kobiecy głos.

– Wszystko w porządku?

– Gdyby tak było, siedziałabym tu, na górze?

– No tak, słuszna uwaga. Chcesz, żebym do ciebie podszedł?

– Nie.

Hassler cofnął się i zstąpił na skałę.

– Nie powinnaś tego robić – stwierdził.

– Słucham? A co ty tu, do diabła, wyczyniasz? Mogłabym powiedzieć ci dokładnie to samo.

– Owszem, ale ja powinienem tu być.

– Dlaczego? Bo twoje życie też jest okropne?

– Chcesz posłuchać mojej łzawej bajeczki?

– Nie. Żałuję, że jeszcze nie skoczyłam. W końcu zdobyłam się na odwagę, kiedy jakiś dupek mi przeszkodził. Już drugi raz się tu wspierałam.

– Co się stało za pierwszym razem? – zainteresował się Hassler.

– To było w dzień, a ja mam lęk wysokości. Stchórzyłam.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał.

– Powiem ci, ale pod warunkiem, że nie będziesz próbował mnie ratować.

– Umowa stoi.

– Kiedy aberracje wdarły się do doliny, straciłam męża – wyznała z westchnieniem kobieta.

– Przykro mi. Pobraliście się w Wayward Pines?

– Tak. Wiem, co sobie myślisz, ale go kochałam. Kochałam też innego mężczyznę, który tu jest. Szalone jest to, że znaleźliśmy się w dawnym życiu. On jest tutaj z żoną i synem, a kiedy przyszedł powiadomić mnie o śmierci mojego męża, spytałam, czy jego rodzina ocalała.

– I co?

– Owszem, ocaleli, ale wiesz co? Część mnie, większa część, niż chciałabym przyznać, poczuła smutek na wieść, że ta kobieta przeżyła. Nie zrozum mnie źle, strasznie tęsknię za mężem, ale myślałam...

– Że gdyby jego żona zginęła, wy dwoje...

– Właśnie. Czyli oprócz straty męża, oprócz tego, że nie mogę żyć z ukochanym mężczyzną, wychodzi też na to, że jestem gównianym człowiekiem.

Hassler się zaśmiał.

– Śmiejesz się ze mnie?

– Nie. Myślę tylko, że to słodkie, jeśli coś takiego uważasz za potworność. Chcesz usłyszeć prawdziwą potworność?

– Dawaj.

– W poprzednim życiu kochałem kobietę, ale była żoną człowieka, który dla mnie pracował... Zaplanowałem ciąg zdarzeń, aby usunąć jej męża z pola widzenia. Posłuchaj, dwa tysiące lat temu, kiedy tworzono to miasteczko, wiedziałem, czym ono jest. Dopilnowałem, by David Pilcher uprowadził tę kobietę, potem zgłosiłem się na ochotnika, żeby wprowadzili mnie w stan zawieszenia. Dzięki temu kiedy się zbudziła, mogłem się znaleźć przy niej. Razem żyliśmy w Wayward Pines, a ona nie miała pojęcia, że jest tu z mojego powodu. Rok później wysłano mnie na misję za ogrodzenie, skąd miałem nigdy nie wrócić. Każdego dnia tylko myśl o niej sprawiała, że oddychałem i stawiałem krok za krokiem. Jakkolwiek niewiarygodnie to brzmi, zdołałem wrócić. Myślałem, że przyjdę do niej, a ona powita mnie jak bohatera. Zamiast tego okazało się, że jest tu jej mąż, a miasto leży w gruzach.

W ciemnej dolinie, na Głównej zaczęły się gromadzić punkciki pochodni.

Patrząc na światła, Hassler dodał:

– Więc wdrapałem się tu, by odebrać sobie życie. Ty myślałaś o złych rzeczach, ja je robiłem. Czy to nie stawia spraw we właściwej perspektywie?

– Dlaczego tu jesteś? – spytała kobieta.

– Już ci wyjaśniłem.

– Nie. Przyszedłeś tu, bo nie możesz żyć z myślą o tym, co zrobiłeś, czy dlatego, że nie możesz z nią być?

– Dlatego, że nie mogę z nią być. Widzisz, nie przestanę jej kochać tylko z tego powodu, że jest tu jej mąż. Ludzkie serce tak nie funkcjonuje. Nie mogę amputować własnych uczuć. Nie żyjemy już w szerokim świecie, gdzie mogę przenieść się do innego miasta, innego stanu. Nigdzie nie czeka na mnie alternatywne życie. Jest tylko to. Ilu nas zostało? Dwieście pięćdziesiąt osób? Nie mogę jej unikać, a moje uczucia do niej ukształtowały mnie tak dawno temu, że nie wiem, kim bym się stał, gdybym próbował od niej odejść.

– Rozumiem.

– Zabawne jest to, że chociaż jestem złym człowiekiem, nie mogę się zdobyć na zabicie jej męża. Czy jest coś gorszego, niż bycie tylko w połowie nikczemnikiem?

Przez chwilę słycać było jedynie samotny szept wiatru wśród skał.

– Ja cię znam, Adamie Hasslerze.

– Skąd?

– Kiedyś dla ciebie pracowałam.

– Kate!?

– Życie jest dziwaczne, prawda?

– Mogę dać ci już spokój, jeżeli...

– Nie osądzam cię, Adamie.

Usłyszał, jak Kate wstaje, idzie w jego stronę.

Po chwili wyłoniła się z mroku jak cień, usiadła obok niego, oboje zwiesili nogi w przepaść.

– Twoje spodnie też zamarzły? – spytał.

– Tak, tyłek odpada mi z zimna. Sądzisz, że to coś znaczy, że ty i ja wdrapaliśmy się tu, by skoczyć, tej samej nocy?

– Co masz na myśli? Że wszechświat mówi nam: „nie róbcie tego”? Czy przypadkiem nie doszliśmy do wniosku, że wszechświat ma to w dupie, jak pewnie zawsze było?

Kate przyjrzała się uważnie Adamowi.

– Nie obchodzi mnie, czy skoczymy razem, czy razem zejdziemy na dół. Po prostu nie róbmymy tego samotnie.

PILCHER

Ktoś złapał go za ramię i ściągnął z ciężarówki. Po raz pierwszy od wielu dni znalazł się na dworze, ale czarny kaptur na głowie zasłaniał mu widok.

– Co się dzieje? – spytał Pilcher.

Zdarto mu kaptur.

Wokół siebie ujrzał światła – pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, może sto. Latarki i pochodnie trzymane przez mieszkańców Wayward Pines oraz jego ludzi z góry. Otaczał go szczelny krąg. Kiedy oczy Pilchera przywykły do oświetlenia, ujrzał nad sobą domy przy Głównej, z fasadami i witrynami sklepów skąpanych w blasku ognia.

Wewnątrz kręgu stało obok niego dwóch ludzi: Ethan Burke i Alan Spear, szef ochrony.

Ethan podszedł do biologa.

– Co jest grane? – spytał Pilcher. – Urządzacie dla mnie igrzyska?

Powiódł wzrokiem po skrytych w cieniu twarzach, zniekształconych przez światło pochodni. Gniewnych i spiętych.

– Przeprowadziliśmy głosowanie – powiedział Ethan.

– Kto głosował?

– Wszyscy z wyjątkiem ciebie. Rozważaliśmy igrzyska, ale w końcu uznaliśmy, że skazanie cię na ten sam rodzaj śmierci, jaki narzucałeś mieszkańcom Wayward Pines, nie byłoby właściwe. – Ethan podszedł bliżej, jego oddech parował na mrozie. – Przyjrzyj się tym ludziom, Davidzie. Każda z tych osób straciła rodzinę, przyjaciół. Przez ciebie.

Mimo kipiącej, morderczej wściekłości Pilcher się uśmiechnął.

– Przeze mnie? To paradne – powiedział i odsunął się od Ethana, stając w środku kręgu. – Niby co jeszcze miałbym dla was zrobić, ludzie? Dałem wam jedzenie. Dałem schronienie. Dałem wam cel. Chroniłem was przez wiedzą, której byście nie zniesli. Przed okrutną prawdą o świecie za ogrodzeniem. Każdy z was miał robić tylko jedną rzecz. Jedną! Cholerną! Rzeczą! – wydzierał się. – Mieliście być mi posłuszni.

Nagle pochwycił spojrzenie kobiety stojącej kilka kroków od niego. Po policzkach spływały jej lśniące łzy.

Ileż łez w tym tłumie.

Ile bólu.

Jeszcze kiedyś mogło to go obchodzić, ale dziś widział tylko niewdzięczność. Uzurpację. Bunt.

– Co jeszcze, kurwa, mogłem dla was zrobić?

– Oni ci nie odpowiedzą – stwierdził Ethan.

– To co jest grane?

– Są tu po to, żeby z tobą pójść.

– Dokąd?

Ethan zwrócił się do najbliższych stojących.

– Zrobicie przejście? – Kiedy ludzie się rozstąpili, szeryf powiedział: – Ty pierwszy, Davidzie.

Pilcher utkwiał wzrok w ciemnej ulicy.

Potem spojrzał na Ethana.

– Nie rozumiem.

– Zaczynaj iść.

– Ethanie...

Ktoś pchnął go od tyłu, a gdy biolog odzyskał równowagę, odwrócił się do Alana, który świdrował go nienawistnym spojrzeniem.

– Szeryf kazał ci iść – powiedział Alan. – Teraz ja ci każę, a jeśli nie potrafisz poruszać nogami, chętnie pociągniemy cię za rękę.

Z Ethanem po jednej i Alanem po drugiej stronie, Pilcher ruszył Główną między pogrążonymi w mroku budynkami.

Reszta szła za trzema mężczyznami jak tylna straż, panowało napięte milczenie. Nikt się nie odzywał. Słysząc było jedynie szuranie butów o chodnik i tłumione szloch.

Pilcher próbował zachować spokój, ale jego umysł szalał jak w gorączce.

„Dokąd oni mnie prowadzą?”

„Z powrotem do superstruktury?”

„Na miejsce straceń?”

W końcu minęli Aspen House i szpital.

Kiedy wszyscy ruszyli drogą w las leżący na południe od miasta, Pilcher zrozumiał, co go czeka.

Zerknął na Ethana.

Lęk przeszył go jak łyk ciekłego azotu.

Jakimś cudem szedł dalej.

Na zakręcie wszyscy zeszli z szosy i zagłębili się w las. „Nawet nie obejrzałem się za siebie, nie spojrzałem ostatni raz na Wayward Pines”, pomyślał Pilcher.

W lesie zalegała cienka warstwa mgły. Przeszywające ją światła pochodni wyglądało nieziemsko.

Jak samoistne punkty ognia.

Pilcher czuł narastający chłód.

Słyszał szum ogrodzenia.

Szli wzdłuż niego.

Po chwili stanęli przy bramie. Wszystko działo się tak szybko, że ledwie przed chwilą zdjęli mu z głowy kaptur.

Ethan podał biologowi mały plecak.

– W środku jest trochę prowiantu i woda. Wystarczy na kilka dni, o ile tyle przetrwasz.

Pilcher wpatrywał się w plecak.

– Nie macie jaj, żeby mnie zabić własnoręcznie? – spytał.

– Jest akurat odwrotnie – odparł Ethan. – Wszyscy za bardzo tego pragnęliśmy. Chcieliśmy cię torturować. Każda z osób, które przeżyły, miała wydrzeć ci kawałek ciała. Nie chcesz tego plecaka?

Pilcher chwycił go i zarzucił na ramię.

Ethan podszedł do kontrolki i odciął zasilanie.

Szum ucichł.

W lesie zapadła cisza.

Pilcher spojrzał na swoich ludzi. Tych z miasta. Tych z góry. Ostatnie ludzkie twarze, jakie dane mu było oglądać.

– Niewdzięczne skurwysyny! Gdyby nie ja, zginęlibyście dwa tysiące lat temu. Stworzyłem dla was raj. Jestem waszym Bogiem! Macie czelność wyrzucać Boga z nieba!?

– Twoja znajomość Biblii chyba szwankuje – zauważył Ethan. – To nie Boga wygnano, ale tego drugiego.

Po tych słowach szeryf otworzył bramę.

Wkrótce potem w ogrodzeniu znowu zaszumiał prąd, dający poczucie bezpieczeństwa.

Pilcher patrzył, jak ludzie odwracają się od niego, latarki i pochodnie niktęły we mgle.

Stał sam w zimnym, ciemnym lesie.

Kierując się na południe, szedł tak długo, aż szum ogrodzenia stał się niesłyszalny.

Gwiazdy oświetlały mu drogę zbyt słabo.

Po pewnym czasie nogi odmówiły mu posłuszeństwa, więc usiadł, oparty plecami o sosnę.

W oddali, może kilometr od niego, wrzasnął abik.

Odpowiedział mu inny, znacznie bliżej.

Potem jeszcze jeden.

Usłyszał zbliżające się kroki.

Coś galopowało w ciemności.

Prosto na niego.

ETHAN

O świcie Ethan wyjechał z superstruktury w jednym z należących do ochroniarzy pick-upów marki Dodge Ram. Obok niego siedział Ben.

Między sosny.

Przez głązy.

W końcu znaleźli się na głównej szosie prowadzącej na południe od miasta.

Na ostrym zakręcie Ethan skręcił w las i jechał poboczem, ostrożnie wymijając drzewa.

Gdy dotarli do ogrodzenia, pojechał równoległe do niego, aż znaleźli się przy bramie.

Zgasił silnik.

Nawet w aucie słychać było szum prądu płynącego przez kolczaste druty.

– Myślisz, że pan Pilcher już nie żyje? – spytał Ben.

– Nie mam pojęcia.

– Ale aberracje w końcu go dopadną, tak?

– Tego możemy być pewni.

Ben spojrział za siebie przez szybę na tył pick-upa.

– Nie rozumiem – wyznał. – Czemu my to robimy, tato?

– Bo nie mogę przestać o tym myśleć.

Teraz Ethan zerknął w tył.

Samica aberracji z superstruktury, wpatrzona w las, siedziała bez ruchu w pleksiglasowej klatce.

– Dziwne – powiedział Ethan. – Teraz świat należy do nich, a mimo to posiadamy coś, czego one nie mają.

– Co takiego?

– Dobro. Przyzwoitość. Na tym polega człowieczeństwo, przynajmniej w naszym najlepszym wydaniu.

Ben sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Według mnie ten abik jest inny – ciągnął Ethan.

– Co masz na myśli?

– Ma w sobie inteligencję i łagodność, których nie widziałem u żadnego innego osobnika. Może ona gdzieś ma rodzinę, z którą znów chce się spotkać?

– Powinniśmy ją zastrzelić i spalić razem z innymi.

– I co byśmy osiągnęli? Na kilka minut nasycilibyśmy swój gniew? A gdybyśmy tak zrobili coś przeciwnego? Gdybyśmy odesłali ją do lasu z wiadomością o gatunku, który kiedyś zamieszkiwał tę dolinę? Wiem, że to szalony pomysł, ale kurczowo trzymam się myśli, że drobny akt dobroci może

mieć poważne konsekwencje.

– Niby jakie? – spytał Ben. – Taki akt zmieniłby aberracje? Więcej potworów upodobniłoby się do niej?

Ethan przeszedł na tył dodge'a i opuścił klapę.

– Gatunki ewoluują – mówił. – Na początku człowiek prowadził zbieracko-łowiecki tryb życia. Porozumiewał się chrząknięciami i gestykulacją. Potem wynaleźliśmy rolnictwo i język. Staliśmy się zdolni do dobroci.

– Ale to zajęło tysiące lat. Zanim do tego dojdzie, wszyscy pomrzemy.

– Masz rację, synu – zgodził się Ethan z uśmiechem. – To zajęłoby bardzo, ale to bardzo dużo czasu.

Potem odwrócił się do samicy. Siedziała spokojnie w klatce, w oczach wciąż miała senność po środku uspokajającym, który na polecenie Ethana podali jej naukowcy.

Wyciągając pistolet Desert Eagle z kabury, wszedł na tył pojazdu, otworzył klatkę i uchylił drzwi.

Z gardła aberracji dobył się ni to warkot, ni to pomruk.

– Nie zrobię ci krzywdy – zapewnił Ethan.

Powoli się wycofał i zszedł z wozu.

Aberracja nie spuszczała go z oczu.

Po chwili pchnęła drzwi klatki długą lewą ręką i wypełzła.

– A jeśli ona coś zrobi? – spytał Ben. – Jeśli na nas skoczy?

– Ona nas nie skrzywdzi. Wie, co zamierzam. – Ethan pochwycił jej spojrzenie. – Prawda, że wiesz?

Zaczął iść w stronę ogrodzenia, samica powłokła się za nim, utrzymując dystans kilku kroków.

Przy bramie wstukał kod odcinający zasilanie i odczekał chwilę, zanim sworznie ustąpiły.

Ogrodzenie ucichło.

Ethan pchnął bramę butem.

– No, dalej – powiedział. – Jesteś wolna.

Obserwując go nieufnie, samica przemknęła obok i precyzyjnie się przez bramę w szeroki świat.

– Myślisz, tato, że zdołamy żyć obok nich?

Trzy metry za ogrodzeniem samica obejrzała się na Ethana.

Przekrzywiła głowę.

Przez chwilę przyglądała się szeryfowi, który mógłby przysiąc, że chciała coś powiedzieć, jej oczy błyszczały inteligencją i zrozumieniem.

Nie padły żadne słowa.

Mimo to Ethan zrozumiał.

Nagle zrodziła się w nim odpowiedź.

– Tak, myślę, że zdołamy – rzekł.

Mrugnął...

Aberracja czmychnęła.

* * *

Ethan i Theresa siedzieli na jednej z ławek parkowych, obserwując Bena, który stał na łące wpatrzony w niebo. Około stu metrów nad ziemią tańczył na wietrze latawiec. Dopiero po kilku próbach chłopcu udało się wznieść go nad nieruchomą warstwę powietrza przy ziemi, a teraz czerwona plamka drgała na błękitnym tle.

Miło było siedzieć i patrzeć na dziecko z latawcem, poza tym był to pierwszy poranek od wielu dni, może nawet tygodni, gdy w powietrzu nie czuło się zimy.

– To szaleństwo, Ethanie.

– Jeśli zostaniemy w dolinie, w ciągu kilku lat zginiemy – powiedział. – To nie ulega wątpliwości.

Po co więc poddawać sprawę pod głosowanie?

– Pozwól ludziom podjąć decyzję.

– Ludzie wszystko przekręcą.

– To prawda, ale musisz się dowiedzieć, jakim przywódcą zamierzasz być.

– Wiem, jaka jest właściwa decyzja, Thereso.

– Wobec tego przekonaj ich do swojego pomysłu.

– Trudno do tego przekonywać. Sprawa jest ryzykowna. A jeśli podejmą błędną decyzję? Nawet ty się wahasz.

– Decyzja jest może błędna, ale nasza, kochanie. Jeśli zamierzasz narzucić ludziom swoją wolę, jaki sens miało wyjawianie im prawdy o Wayward Pines?

– Sam to wszystko spowodowałem – powiedział Ethan. – Śmierć, zniszczenie, straty. Wywróciłem nasze życie do góry nogami. Teraz chcę tylko to naprawić.

– I dobrze się z tym czujesz?

– Jestem przerażony.

Theresa wzięła go za rękę.

– Nie prosisz mnie tylko o to, żebym zaufał ludziom i powierzył im ich własny los. Prosisz mnie, żebym powierzył im los twój i Bena.

Ich roześmiany syn przebiegł po murawie, ciągnąc latawiec.

– W dniu, kiedy włamałem się do superstruktury, Pilcher powiedział mi, że pewnego dnia zrozumie, co zrobił. Zrozumie wybory, których dokonał.

– I rozumiesz?

– Zaczynam odczuwać ciężar, jaki spoczywał na jego barkach.

– On nie ufał ludziom, nie wierzył, że są zdolni do podejmowania właściwych decyzji – powiedziała Theresa. – Dlatego, że się bał. Ale ty nie musisz się bać, Ethanie. Jeśli zrobisz to, co dyktuje ci serce, jeśli pozwolisz ludziom wybrać własny los, własne przeznaczenie...

– Wtedy możemy umrzeć z głodu w tej dolinie.

– To prawda. Ale nie stracisz uczciwości, prawości. Tylko tego tak naprawdę musisz się obawiać.

* * *

Tej nocy Ethan stanął w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło, na pustej scenie opery, w blasku reflektorów. Przed sobą widział oczy ostatnich dwustu pięćdziesięciu ludzi na ziemi.

– Oto jesteśmy: resztki ludzkości pod koniec świata – zaczął. – Jesteśmy tu teraz, ponieważ postanowiłem wyjawić wam prawdę o Wayward Pines. Nie sądźcie, że o tym zapomniałem. Wielu z was straciło bliskich. Wszyscy cierpieliśmy. Do końca życia będę żył ze swoją decyzją i jej konsekwencjami, ale teraz nadszedł czas, by zastanowić się nad przyszłością. Właściwie o niczym innym nie myślę od tygodnia.

Na lewo od sceny siedzieli najbliżsi współpracownicy Pilchera – Francis Leven, Alan, Marcus, Mustin – wpatrzeni w Ethana.

W sali panowała całkowita, pełna napięcia cisza.

– Wiem, że wszyscy staramy się odgadnąć, co dalej – mówił Ethan. – Zastanawiamy się, jak będzie wyglądało nasze życie. Musimy spojrzeć trudnym prawdom w oczy i musimy to zrobić razem. Teraz. Oto pierwsza z nich. Nasze zapasy jedzenia są na wyczerpaniu.

W tłumie rozległy się ciche okrzyki i szepty.

– Na jak długą starczą? – zawołał ktoś.

– Mniej więcej na cztery lata – odparł Ethan. – Co prowadzi nas do kolejnej trudnej prawdy. Nie możemy zostać w tej dolinie. To znaczy moglibyśmy. Do następnej awarii ogrodzenia. Do kolejnej zimy przekraczającej nasze wyobrażenie. Moglibyśmy tu zostać aż do całkowitego wyczerpania zapasów. Jest tu z nami Francis Leven z superstruktury, który może przedstawić wam szczegóły, wyjaśnić, dlaczego nasze dalsze życie w Wayward Pines jest niemożliwe. Nie ściągnąłem was tu jednak tylko po to, żeby przekazać złe nowiny. Mam też propozycję działania. Coś radykalnego, niebezpiecznego i śmiałego. Skok w ciemność. – Ethan odszukał wzrokiem Theresę. – Szczerze mówiąc, zastanawiałem się nawet, czy przedstawić to jako wybór. Niedawno jeden z moich przyjaciół powiedział, że czasem znajdujemy się w sytuacjach, gdy waży się życie i śmierć, a wówczas jeden czy dwóch silnych przywódców musi podjąć decyzję. Myślę jednak, że etap, gdy inni decydowali o naszym życiu, mamy już za sobą. Nie wiem jak, ale odnajdziemy drogę. Dla mnie sprowadza się to

do tego, że wolę, abyśmy dokonali błędnego wyboru jako grupa, niż żyli w zniewoleniu. Zniewolenie było dawnym sposobem życia. Sposobem oferowanym przez Pilchera. Proszę więc tylko, żebyście mnie wysłuchali, a potem zdecydujemy, co robić. Wspólnie. Jak wolni ludzie.

CZEŚĆ X

MIESIĄC PÓŹNIEJ

ETHAN

Wciąż jeszcze bywały chwile takie jak ta, gdy płynął prąd, z kuchni dolatywał zapach kolacji gotowanej przez Theresę, a wszystko wyglądało normalnie. Ot, dowolny wieczór w poprzednim życiu Ethana.

Ben w swojej sypialni na piętrze.

Ethan robił w gabinecie notatki na następny dzień.

Za oknem, w wieczornym półmroku, widział ciemny dom Jennifer Rochester. Sąsiadka zginęła podczas ataku, a niedawny mróz unicestwił jej ogród.

Za to latarnie uliczne znów się paliły.

Z głośników na odległym krzaku dobiegała muzyka świerszczy.

Ethan tęsknił za pianinem Hectera Gaithera, którego grę słychać było dawniej w radiach wszystkich domów w Wayward Pines.

Siedząc w olbrzymim fotelu, Ethan zamknął oczy i na krótką chwilę zanurzył się w normalności.

Za wszelką cenę starał się wyprzeć myśl o kruchości ich wszystkich.

Nie było to jednak możliwe.

Nie sposób było pogodzić się z faktem, że należał do gatunku, któremu groziło rychłe wymarcie.

Ta myśl przesyciała każdą chwilę.

Każdą chwilę przepełniała grozą.

* * *

W kuchni powitała go woń gotującego się makaronu i aromat gęstniejącego sosu do spaghetti.

– Pachnie niesamowicie – stwierdził.

Stając za Theresą przy kuchence, objął ją w pasie i pocałował w kark.

– Ostatni posiłek w Wayward Pines – powiedziała. – Dzisiaj idziemy na całość. Czyszczę lodówkę.

– Zaprzęgnij mnie do pracy. Mogę umyć naczynia.

– Chyba możemy je zostawić – odparła, mieszając sos.

Ethan się roześmiał.

Jasne.

Oczywiście, że mogli.

Theresa otarła oczy.

– Ty płaczesz – zauważył.

– Nic mi nie jest.

Ethan ujął ją za ramię, delikatnie odwrócił i spytał:

– Co się stało?

– Po prostu się boję.

* * *

Po raz ostatni siedzieli przy stole w jadalni.

Ethan spojrział na żonę.

Na syna.

Potem wstał.

Uniósł szklankę z wodą.

– Chciałbym powiedzieć kilka słów dwóm najważniejszym osobom w moim życiu. – Głos mu drżał. – Nie jestem idealny. Prawdę mówiąc, daleko mi do ideału. Ale zrobię wszystko, żeby cię chronić, Thereso. I ciebie, Benie. Wszystko. Nie wiem, co przyniesie jutrzejszy dzień. Nie wiem, co będzie pojutrze. I jeszcze później. – Walcząc ze łzami, zmarszczył brwi. – Jestem po prostu ogromnie wdzięczny, że jesteśmy tu teraz razem.

Oczy Teresy błyszczały.

Gdy Ethan usiadł, głęboko poruszony, żona wzięła go za rękę.

* * *

To była ich ostatnia noc na miękkim materacu.

Ethan i Theresa leżeli spleceni pod stertą kołder.

Mimo późnej godziny nie spali. Ethan czuł na piersi łaskotanie jej rzęs.

– Możesz uwierzyć, że to jest nasze życie? – szepnęła.

– Jeszcze to do mnie nie dotarło. Chyba nigdy nie dotrze.

– A jeśli plan się nie powiedzie? Jeśli wszyscy zginiemy?

– To całkiem możliwe.

– Jakaś część mnie chce wybrać bezpieczne rozwiązanie – wyznała. – Może istotnie zostały nam tylko cztery lata. To może wykorzystajmy je jak najlepiej? Smakujmy każdą chwilę. Każdy kęs jedzenia, każdy oddech. Każdy pocałunek. Cieszymy się z każdego dnia, kiedy nie doskwiera nam głód albo nie musimy uciekać w obawie o własne życie.

– Ale potem z całą pewnością byśmy umarli. Nasz gatunek by się skończył.

– Może to nie takie złe. Mieliśmy szansę. Nie udało się.

– Musimy próbować. Musimy walczyć dalej.

– Dlaczego?

– Bo to właśnie robimy.

– Nie wiem, czy stać mnie na coś takiego.

Drzwi ich sypialni skrzypnęły.

– Mamo? Tato? – rozległ się głos Bena.

– Co jest grane, stary? – spytała Theresa.

– Nie mogę spać.

– Połóż się z nami.

Ben wślizgnął się pod kołdry i umościł między rodzicami.

– Tak lepiej? – zapytał Ethan.

– Mhm, o wiele lepiej – odparł Ben.

Cała trójka leżała w ciemności, nikt się nie odzywał.

Ben zasnął pierwszy.

Potem Theresa.

Ethan wciąż nie mógł spać.

Wsparty na łokciu, patrzył na swoją rodzinę, przyglądał się jej przez całą noc, aż za oknami wstał świt i zaczął się ich ostatni dzień w Wayward Pines.

* * *

We wszystkich domach w miasteczku rozdzwoniły się telefony.

Ethan, z filiżanką czarnej kawy w dłoni, wyszedł z kuchni do salonu i po trzecim sygnale podniósł słuchawkę.

Chociaż wiedział, jakiej wiadomości należy się spodziewać, poczuł skurcz żołądka, gdy przytknął słuchawkę do ucha i usłyszał własny głos:

– Mieszkańcy Wayward Pines. Już czas.

* * *

Ethan otworzył frontowe drzwi i Theresa wyszła na werandę, niosąc tekturowe pudło z oprawionymi zdjęciami ich rodziny, jedynym, co postanowili zabrać.

Żegnał ich piękny poranek.

Na ich ulicy sąsiedzi wychodzili z domów, jedni z niewielkimi pudłami z najcenniejszym dobytkiem, inni nie mieli nic prócz ubrań na sobie.

Burke'owie zeszli z werandy, minęli podwórze przed domem, wyszli na ulicę.

Wszyscy mieszkańcy zebrali się na Głównej i jak jeden mąż ruszyli w kierunku lasu za południowymi rogatkami miasta.

Ethan dostrzegł Kate, z plecakiem przerzuconym przez ramię, idącą na przedzie obok Adama

Hasslera.

Poczuł dziwne ukłucie i przyszło mu na myśl, że niektóre uczucia są zbyt złożone. Gdyby jednak miał określić charakter tego, co poczuł, stwierdziłby, że to coś w rodzaju nostalgii.

Puszczając dłoń Theresy, rzekł:

– Za chwilę wrócę.

Dogonił swoją dawną partnerkę, gdy grupa mijiała Aspen House.

– Dzień dobry – powiedział.

Kate zerknęła przez ramię i spytała z uśmiechem:

– Jesteś gotów?

– To szaleństwo, prawda?

– Odrobinę.

– Cześć, Ethanie – powiedział Hassler. Miesiąc w cywilizowanym świecie odmienił go nie do poznania. Adam przytył na tyle, że niemal odzyskał dawny wygląd.

– Hej, Adamie. Jak się wam wiedzie?

– Chyba w porządku.

– Czuję się, jakbym się wybierała na szaloną przejażdżkę – wyznała Kate. – Nie mam pojęcia, dokąd mnie zaprowadzi.

Gdy mijali szpital, Ethan wrócił myślami do tamtego pierwszego dnia, kiedy się obudził i ujrzał nad sobą uśmiechniętą twarz siostry Pam. Przypomniawszy sobie początkowy okres, gdy włóczył się po mieście jak pijany, zdezorientowany, próbując dodzwonić się do domu, nie mogąc skontaktować się z rodziną. Pierwszy raz, kiedy ujrzał Kate, o dziewięć lat starszą, niż powinna być.

Co za podróż.

Ethan spojrzał na Kate.

– Niedługo znajdziemy się w panoptikum – powiedział. – Może powinniśmy się tutaj pożegnać.

Kate przystanęła pośrodku jezdni, mijali ich ostatni mieszkańcy Wayward Pines. Uśmiechnięta, mrużąc oczy w porannym słońcu, wyglądała jak dawna Kate. Z Seattle. Kate: najgorszy i najlepszy błąd, jaki popełnił w życiu.

Objęli się.

Żarliwie.

– Dziękuję, że przyjechałeś mnie szukać przed laty – powiedziała Kate. – Przykro mi, że tak to się skończyło.

– Niczego bym nie zmienił.

– Postąpiłeś właściwie – szepnęła. – Nigdy w to nie wątp.

Theresa znalazła się przy nich.

Uśmiechnęła się do Kate.

Potem podeszła do Hasslera i objęła go.

Kiedy się rozłączyli, Theresa spytała:

– Chcecie pójść z nami kawalek?

– Z przyjemnością – odparł Adam.

Stojąc tak z żoną, synem, dawną kochanką i człowiekiem, który kiedyś go zdradził, Ethan myślał: „Czy tak wygląda rodzina w tym nowym świecie?”. Ponieważ bez względu na to, co się wydarzyło w bolesnej przeszłości, wszyscy potrzebowali się nawzajem.

Mijali ich już ostatni ludzie, a oni wciąż stali w miejscu, gdzie główna droga z Wayward Pines zagłębiała się w ciemny las.

Za nimi leżało opuszczone miasto.

Ulice jaśniały w porannym słońcu.

Po zachodniej stronie Głównej błyszcząły witryny sklepów.

Chłonęli widok ślicznych wiktoriańskich domów okolonych płotami.

Góry wokół miasta.

Topole osikowe, z których wiatr strącał ostatnie złociste liście.

W tej chwili wszystko to przypominało idyllę.

Genialny, szalony twór Pilchera.

W końcu odwrócili się i razem ruszyli drogą w las, z dala od Wayward Pines.

* * *

Ethan siedział przy głównej konsoli w centrum nadzoru. Po jego bokach zajęli miejsca Alan i Francis Leven.

– Po co właściwie nadawać tę wiadomość? – spytał Leven.

– Na wypadek gdyby ktoś tu się zaplątał – odparł Ethan.

– To wydaje się wielce nieprawdopodobne.

– Wiesz, co chcesz powiedzieć? – spytał Alan.

– Zeszłej nocy napisałem kilka słów.

Alan postukał w ekran dotykowy i zameldował:

– Jestem gotów.

– Zaczynamy.

– Nagrywamy.

Z tylnej kieszeni Ethan wyjął kartkę, rozłożył, pochylił się do mikrofonu i przeczytał.

Kiedy skończył, Alan wyłączył nagrywanie.

– Dobra robota, szeryfie.

Dwadzieścia pięć monitorów nad ich głowami wciąż wyświetlało materiał z kamer rozmieszczonych w dolinie.

Puste korytarze w szpitalnej piwnicy.

Pusty korytarz szkolny.

Pusty park.

Porzucone domy.

Opustoszałe ulice.

– Jesteśmy gotowi? – zwrócił się Ethan do Levena.

– Wszystkie zbędne systemy zostały wyłączone.

– Wszyscy zostali poinstruowani?

– Proces już się rozpoczął.

* * *

Ethan szedł korytarzem Poziomu 1, a światła sufitowe gasły jedno po drugim. Wreszcie dotarł do rozsuwanych szklanych drzwi prowadzących do arki i obejrzał się w chwili, gdy ostatnie światło w głębi korytarza zgasło.

Ponieważ system wentylacyjny i grzewczy odłączono, dawał się już odczuć chłód.

Pod bosymi stopami czuł lodowatą kamienną podłogę olbrzymiej jaskini.

Temperatura w komorze zawieszania wynosiła zaledwie kilka stopni powyżej zera. Wszędzie panowało poruszenie, błękitna mgiełka falowała.

Urządzenia pomrukiwały, wyrzucając strumienie białego gazu.

Ethan zagłębił się w mgłę, skręcił i ruszył przejściem między dwoma rzędami urządzeń.

Ludzie w białych fartuchach laboratoryjnych pomagali mieszkańcom Wayward Pines wchodzić do modułów zawieszających.

Przy module na końcu rzędu Ethan stanął.

Na cyfrowym wyświetlaczu widniał napis:

KATE HEWSON

BOISE, ID

DATA ZAWIESZENIA: 19.9.12

REZYDENT: 8 LAT, 9 MIESIĘCY, 22 DNI

Kate była już w środku.

Ethan zajrzał przez pięciocentymetrowej grubości szybę modułu.

Zamknięta w module Kate popatrzyła na niego.

Drżała na całym ciele.

Ethan przytknął dłoń do szyby.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

Kate przytaknęła.

Szybkim krokiem Ethan przeszedł trzy rzędy modułów, przeciskając się przez tłum ludzi w białych kombinezonach.

Theresa klęczała przed Benem, tuliła go, szeptała mu coś na ucho.

Ethan objął ich, przyciągnął ku sobie.

Popłynęły łzy.

– Nie chcę tego robić, tato – płakał Ben. – Boję się.

– Ja też się boję – przyznał Ethan. – Wszyscy się boimy i nie ma w tym nic złego.

– A jeśli to koniec? – spytała Theresa.

– W takim razie wiem, że cię kocham. Już czas – powiedział Ethan, pomógł Benowi wstać i trzymał go za rękę, gdy chłopiec wchodził do modułu.

Jego syn dygotał z zimna i strachu.

Ethan posadził go na plastikowym siedzeniu.

Ze ścian wysunęły się blokady, które zamknęły się na kostkach i przegubach Bena.

– Tak mi zimno, tato.

– Kocham cię, Ben. Jestem z ciebie bardzo dumny. Teraz muszę zamknąć drzwi.

– Jeszcze nie. Proszę.

Ethan pochylił się i pocałował go w czoło. „To może ostatni raz, kiedy dotykam syna”, pomyślał. Patrzył Benowi prosto w oczy.

– Spójrz na mnie, synku. Bądź dzielny.

Ben skinął głową.

Ethan otarł łzy i wyszedł z modułu.

– Kocham cię, Ben – powiedziała Theresa.

– Ja też cię kocham, mamo.

Ethan pchnął drzwi, wewnętrzny mechanizm zablokował moduł Bena.

Rodzice widzieli przez szybę, jak wewnątrz komory Bena wypełnia się gazem.

Oboje uśmiechali się przez łzy, gdy Ben zamknął oczy.

– Utulisz mnie do snu? – zwróciła się Theresa do męża.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do modułu. Drzwi były już otwarte, Theresa spojrzała na czarne plastikowe siedzenie, poręcz, zwisające ze ścianki czarne rurki zakończone grubą igłą, która miała

opróżnić jej żyły z krwi.

– Dobry Jezu – wyszeptała Theresa, weszła do modułu i usiadła.

Urządzenie się zamknęło.

– Do zobaczenia po drugiej stronie – powiedział Ethan.

– Myślisz, że naprawdę tam dotrzemy?

– Zdecydowanie.

Potem pocałował żonę tak, jakby dotykał ją po raz ostatni.

* * *

Wchodząc do modułu, Ethan myślał o tym, co minionej nocy napisał w gabinecie, a następnie przeczytał i nagrał w centrum nadzoru.

Niewykluczone, że było to ostatnie nagrane oświadczenie w historii ludzkości.

„Świat jest okrutny. Świat jest wrogi, a w tej dolinie żyliśmy wydani na pastwę aberracji. Żyliśmy jak więźniowie, co kłóciło się z każdą cząstką naszej istoty. Ludzkość ma odkrywać, mamy zdobywać i wędrować. To jest zapisane w naszym DNA i dokładnie to zamierzamy zrobić”.

Usiadł na plastikowym siedzeniu.

„Czeka nas długa podróż i nie sposób przewidzieć, co odkryjemy u jej celu”.

Blokady zamknęły się wokół jego kostek.

„Boję się. Wszyscy się boimy”.

Wokół przegubów.

„Jaki świat czeka na nas po drugiej stronie tego długiego snu? W pewnym sensie to nie ma znaczenia. Ponieważ mieszkańcy Wayward Pines stawiają mu czoło razem. Bez sekretów. Bez kłamstw. Bez królów”.

Drzwi jego modułu zamknęły się z chrzęstem, zamek zaskoczył.

„Wszyscy się pożegnaliśmy. Wszyscy wiemy, że to może być koniec, ale pogodziliśmy się z tym tak, jak to tylko możliwe”.

Sykowi sprężonego gazu towarzyszył komputerowy kobiecy głos, który, o dziwo, dodawał otuchy:

– Proszę oddychać głęboko. Tak długo, jak możesz, wdychaj woń kwiatów.

„Mówią, że czas leczy rany... Cóż, teraz mamy mnóstwo czasu... Dość czasu, by imperia powstały i upadły. Wystarczająco dużo czasu, żeby gatunek ewoluował, a świat stał się bardziej przyjaznym miejscem”.

Gaz pachniał różami, lawendą i bzem, a gdy Ethan wciągnął go w płuca, poczuł, że traci przytomność.

„Wszyscy wyruszamy w podróż, ciekawi, co leży za horyzontem, co czeka za następnym

zakrętem. Koniec końców, czy nie to właśnie popycha nas do działania?”

Powieki Ethana zaczęły opadać, przywołał w pamięci obraz żony i syna.

„Znowu mamy nadzieję”.

W ten długi, długi sen zabrał Theresę i Bena ze sobą.

„Ponieważ teraz świat należy do aberracji, ale przyszłość...

Przyszłość może być nasza”.

EPILOG

Siedemdziesiąt tysięcy lat później Ethan Burke nagle otworzył oczy.

PODZIĘKOWANIA

Z całego serca dziękuję następującym osobom: Davidowi Hale’owi Smithowi, Richardowi Pine’owi, Alexis Hurley, wszystkim z wydawnictwa Inkwell Management oraz moim bojownikom z West Coast, Angeli Cheng Caplan i Joelowi VanderKlootowi. Jesteście niezwykłym zespołem, a Wasza opieka nad moimi książkami to prawdziwe błogosławieństwo.

Ludzie z Thomas & Mercer oraz Amazon Publishing – Alan Turkus, Daphne Durham, Jeff Belle, Kristi Coulter, Danielle Marshall, Gracie Doyle, Andy Bartlett, Sarah Tomashek, Reema Al-Zaben, Philip Patrick, Tiffany Pokorny, Nick Loeffler i Jodi Warshaw – to najbardziej nieustraszony zespół, z jakim kiedykolwiek przyszło mi pracować. Wspaniale jest odbywać z Wami tę podróż.

Dziękuję Jacque’owi Ben-Zekry’emu, który zredagował tę książkę i uchronił ją przed tysiącem wpadek.

Dziękuję Michelle Hope Anderson za świetną korektę.

Ann Voss Peterson, Joe Konrath, Marcus Sakey i Jordan Crouch udzielali mi znakomitych rad i pomogli przenieść książkę na inny poziom. Na koniec najważniejsze: podziękowania dla mojej pięknej, cudownej rodziny.